

Najslawniejsi barbarzyńcy
— najlepsi pisarze



Barbarzyńcy

ANTOLOGIA

BARBARZYŃCY

TOM I

TYTUŁ ORYGINAŁU: BARBARIANS

Przekład:

Zbigniew A. Królicki,

Ewa Tokarska,

Elżbieta Wilczyńska



1991

Spis treści

Karta tytułowa

WPROWADZENIE

Larry Niven NIEDŁUGO PRZED KOŃCEM

Karl Edward Wagner KTOŚ INNY

Fritz Leiber CÓRKA SCYLLI

George Alec Effinger MAUREEN BIRNBAUM, BARBARZYŃCA Z MIECZEM

Ardath Mayhar THURIGON AGONISTES

Katherine Kurtz MARLUK

Hank Reinhardt WIEK WOJOWNIKA

Robert E. Howard CONAN ZA CZARNĄ RZEKĄ

..2..

..3..

..4..

..5..

..6..

..7..

..8..

WPROWADZENIE

Jedno z najbardziej rozpowszechnionych wyobrażeń barbarzyńców przedstawia człowieka odzianego w skóry, zarośniętego i z długimi włosami, brudnego, muskularnego i często gruboskórnego, który niszczy wszystko, czego nie zna, za pomocą pałki albo kamiennego topora, a w najlepszym wypadku ogromnego i ciężkiego miecza. Ale wyobrażenie to pochodzi z pierwszej ćwierci siedemnastego wieku, przynajmniej w obrębie angielskiego obszaru językowego.

Sam wyraz pochodzi od greckiego słowa „*barbaros*” , a ponieważ oznaczał on człowieka, który nie był Grekiem i nie posługiwał się mową helleńską, często używano go do określenia ludzi lub grupy ludzi, których kultura była nieco starsza od greckiej.

W miarę upływu czasu okazało się, że grecka arogancja, wzgarda i wyniosłość nie mogły równać się z siłą, ostrą stalową bronią i wygórowaną ambicją władców ówczesnego świata. W rezultacie Grecy zostali podbici przez Rzymian, a wszystkie ich ziemie i osady dostały się w ręce Rzymian. Rzymianie przejęli w spadku ową grecką arogancję. Grecki wyraz „*barbaros*” przekształcili w „*barbarus*” — od tego czasu oznaczał on każdego, kto nie miał szczęścia być Rzymianinem lub mówić po łacinie.

Ponieważ Republika Rzymska i Cesarstwo trwały znacznie dłużej i obejmowały większe terytorium niż Grecja, to i więcej ludzi zostało obdarzonych mianem barbarzyńców.

Tą nazwą Rzymianie obdarzali prawie każdego we współczesnym im świecie: Kartagińczyków, Germanów, Egipcjan, Maurów, Celto-Iberów, Luzytanów, Cyrenajczyków,

wszelkiego rodzaju Celtów Galijskich, Belgów, Brytów, Piktów Kaledonskich, Germanów, Franków, Gotów, Alemanów, Alanów, Hunów, Scytów, Partów, Galatów, Markomanów, Kwadów, Daków, Traków, Ormian, Cylicjan, Arabów, Numidów, Kapadocyjczyków, Likyczyków, Sarmatów i innych.

Doszło nawet do tego, że zaczęli oni nazywać barbarzyńcami Greków, którzy stworzyli tę nazwę. Niektórych Greków przygnębiło to tak bardzo że publicznie dali wyraz swemu oburzeniu i ślubowali wstrzymać oddech do momentu uzyskania przeprosin Jak się okazało, wstrzymali oddech na przeciąg prawie dwóch tysięcy lat Czyż to nie zadziwiające ile można dokonać, jeżeli zaangażuje się w to swój umysł?

Spadkobiercy Cesarstwa Rzymskiego, kiedy już uporządkowali swoje sprawy, zaadaptowali to słowo i przyjęli nazywać nim ludzi nie wyznających religii chrześcijańskiej czy nawet tej samej odmiany chrześcijaństwa do której przyznawał się człowiek stosujący ten epitet Ten zwyczaj utrzymuje się i dziś w niektórych rejonach świata.

W zasadzie jednak współczesne użycie tego słowa kojarzy się z wojną (dyplomacją lub innymi wyrażeniami określającymi stosunki między państwami) a także z geopolityką Nadal jednak wydaje się, że stosowanie pojęcia „barbarzyńca” zależy od tego kto je stosuje.

W tej antologii na szczęście nie występują barbarzyńcy z realnego świata. Wszystkie zawarte w niej opowiadania należą do gatunku *heroic fantasy*. Prostymi i nieskomplikowanymi środkami autorzy przenoszą czytelnika ze świata śmiertelnie poważnych zagrożeń dwudziestego wieku do stosunkowo prostego świata silnych mężczyzn, pięknych służących, złych czarowników, mrocznych bóstw i wściekłych bestii, gdzie nie ma

bomb nuklearnych.

„Barbarzyńcy” są zbiorem opowiadań napisanych przez najznamienitszych autorów, o najsławniejszych — w złym i dobrym sensie tego słowa — postaciach gatunku. Wśród nich znajdziemy teksty Roberta E Howarda, syna lekarza z Cross Plains, w Teksasie, twórcy Conana, prototypu barbarzyńcy, który zawładnął wyobraźnią kilku pokoleń i uczynił z Arnolda Schwarzeneggera co najmniej drugorzędną gwiazdę. Dalej mamy Fritza Leibera i jego wspaniałego barbarzyńcę Fafhrda oraz jego kompana, Szarego Myszaka, którzy występowali w kilku zabawnych opowiadaniach, napisanych w 1939 roku i wydanych w niewychodzącej już i opłakiwanej przez wielu serii „Nieznane Światy” Jest także Kane — bezpośredni potomek Conana, stworzony przez Karla Wagnera, jedyne go psychiatrę lubiącego opowiadania o barbarzyńcach. Wśród autorów znajdujemy także Poula Andersona, człowieka o dużym talencie literackim, który w dodatku umie posługiwać się pałaszem i wreszcie Andre Norton (Alice Mary Norton), której książki o czarodziejach, wiedźmach i czarnej magii przez dziesięciolecia straszyły miliony czytelników.

Na następnych stronach znajdą Państwo opowiadania, które są czymś w rodzaju baśni dla dorosłych, formą czystego eskapizmu.

Już od dłuższego czasu wyznaję pogląd, że w obecnych czasach dorośli dużo bardziej potrzebują ucieczki w świat baśni niż dzieci. Zachęcam więc do ucieczki w barbarzyński świat barbarzyńców.

Robert Adams
przełożyła: Elżbieta Wilczyńska

Larry Niven

NIEDŁUGO PRZED KOŃCEM

Pewnego razu barbarzyńca walczył z czarodziejem.

W tamtych czasach takie bitwy zdarzały się często. Między barbarzyńcami a czarnoksiężnikami istnieje jakaś naturalna antypatia, tak jak między kotami a ptaszkami lub szczurami i ludźmi. Zwykle barbarzyńca przegrywał i średni poziom ludzkiej inteligencji podnosił się o ułamek procenta. Czasem barbarzyńca wygrywał — i znów ludzkość tylko na tym zyskiwała; bo czarodziej, który nie może sobie poradzić z jednym nędznym barbarzyńcą zakała z szacownego zawodu.

Jednak ta walka różniła się od innych. Z jednej strony, barbarzyńca miał zaczarowany miecz. Z drugiej, czarnoksiężnik znał wielką i straszliwą prawdę.

Będziemy go nazywali Czarodziejem, bowiem jego imię jest równie trudne do zapamiętania, jak do wymówienia. Jego rodzice wiedzieli, co robią. Ten, kto zna twoje imię, ma nad tobą władzę — lecz by jej użyć, musi je najpierw wymówić.

Czarodziej był już w średnim wieku, gdy odkrył swoją straszliwą prawdę. Do tego czasu wiele podróżował. Nie robił tego z własnej chęci. Po prostu był potężnym magiem, używał swoich zdolności i lubił mieć przyjaciół.

Znał zaklęcia, które zmuszały ludzi, by kochali czarnoksiężników. Próbował ich, ale nie podobały mu się efekty uboczne. Tak więc zazwyczaj używał swej mocy, żeby pomagać

ludziom tak, by mogli go kochać bez przymusu.

Stwierdził, że jeśli pozostawał w jednym miejscu przez dziesięć czy piętnaście lat i używał magii tak, jak dyktował mu kaprys, to po pewnym czasie jego moc słabła. Kiedy przenosił się gdzie indziej, odzyskiwał swoje zdolności. Dwukrotnie musiał się przenosić i za każdym razem osiedlał się w nowej krainie, uczył się nowych zwyczajów i zawiązywał nowe przyjaźnie. To samo przydarzyło mu się po raz trzeci i znów przygotował się do przeprowadzki. Jednak coś sprawiło, że zaczął się zastanawiać.

Dlaczego opuszczała go moc? Przydarzało się to całym narodom. Historia zna wiele przypadków, że ziemie najbardziej obfitujące w siły magiczne zostawały opanowane przez barbarzyńców z mieczami i maczugami. Ta smutna prawda nie wydawała się warta dłuższego namysłu, ale ciekawość Czarodzieja była naprawdę wielka.

Tak więc pomyślał trochę i rozpoczął pewne eksperymenty. Ostatni z nich polegał na telekinetycznym zawieszeniu w powietrzu metalowego krążka i wprawieniu go w ruch obrotowy. Kiedy tego dokonał, poznał prawdę, której nie mógł zapomnieć.

Przeprowadził się. W ciągu następnych dziesięcioleci przenosił się raz po raz. Czas zmienił jego charakter, chociaż nie ciało, a jego czary stały się solidniejsze, jakkolwiek mniej ostentacyjne. Odkrył wielką i straszliwą prawdę i trzymał ją w tajemnicy jedynie przez współczucie. Bowiem jego prawda oznaczała kres cywilizacji i nikomu nie mogła przynieść żadnego pożytku.

Tak przynajmniej sądził. Jednak po blisko pięćdziesięciu latach (jakieś 12 000 lat p.n.e.) doszedł do wniosku, że prędzej czy później każda prawda może się przydać. Zrobił następny dysk i wyrecytował nad nim odpowiednie zaklęcia, tak by (podobnie

jak numer telefoniczny wykręcony bez ostatniej cyfry) był gotowy w razie potrzeby.

Miecz zwał się Glirendree. Liczył sobie kilkaset lat i cieszył się sporą sławą.

Jeżeli chodzi o barbarzyńcę, jego imię to żaden sekret. Nazywał się Belhap Sattlestone Wirldess ag Miracloat roo Conoson. Jego przyjaciele, których szybko tracił, nazywali go Hap.

Był barbarzyńcą jak należy. Cywilizowany człowiek miałby dość oleju w głowie, by nie dotykać Glirendree i nie zadźgałby bez skrupułów śpiącej kobiety. A w taki właśnie sposób Hap wszedł w posiadanie swego miecza. Lub może na odwrót — miecz posiadał barbarzyńcę.

Czarodziej wyczuł go o wiele wcześniej, niż mógł zobaczyć. Właśnie pracował w jaskini, którą wykuł pod wzgórzem, gdy zadziałało urządzenie alarmowe. Włosy zjeżyły mu się na głowie.

— Mamy gości — rzekł.

— Niczego nie słyszę — powiedziała Sharla z pewnym niepokojem w głosie.

Sharla była dziewczyną z wioski i żyła z Czarodziejem. Tego dnia namówiła go, by ją nauczył paru prostych zaklęć.

— Nie czujesz, jak włosy stają ci dęba na głowie? To działa instalacja alarmowa. Niech sprawdzę.

Użył sensora przypominającego zawieszoną w powietrzu srebrną obręcz.

— Będą kłopoty, Sharla. Musisz uciekać.

— Ale — zaprotestowała niepewnie, wskazując ręką na stół, przy którym pracowali.

— Ach, to. Możemy zostawić tak, jak jest. Nie jest niebezpieczny.

Wykonywali właśnie amulet przeciw miłosnemu urokowi, dość pracochłonny, ale bezpieczny, łagodny i skuteczny w użyciu. Czarodziej wskazał na włócznie światła przeszywającą obręcz sensora.

— To jest niebezpieczne. Niezwykle silne skupisko *mana* zbliża się po zachodnim stoku wzgórza. Ty zejdziesz wschodnim stokiem.

— Mogę w czymś pomóc? Przecież nauczyłeś mnie trochę magii.

Czarodziej zaśmiał się nerwowo.

— Przeciw temu? To Glirendree Spójrz na wielkość, na kolor i kształt. Nie. Zmykaj stąd, i to już. Na wschodnim zboczu masz wolną drogę.

— Chodź ze mną.

— Nie mogę. Nie teraz, kiedy Glirendree znów złapał jakiegoś idiotę i szaleje po świecie.

Muszę zostać.

Z jaskini przeszli do rezydencji, w której mieszkali. Wciąż protestując Sharla nałożyła szaty i ruszyła w dół. Czarodziej pośpiesznie zgarnął naręczne rekwizytów i wyszedł na zewnątrz.

Intruz był już w połowie stoku: wielki mężczyzna niosący coś długiego i błyszczącego. Do szczytu wzgórza pozostało mu jeszcze kwadrans drogi. Czarodziej nastawił srebrzystą obręcz i spojrzał przez nią.

Miecz płonął ogniem wyładowań *mana* raniąc oczy igłami białego światła. Zgadza się, Glirendree. Znał inne, równie silne skupiska *mana* ale żadne z nich nie było przenośne i nie wyglądało jak miecz.

Powinien był powiedzieć Sharli, żeby powiadomiła Bractwo. Na tyle znała się na magii.

Teraz już za — późno.

Wokół świetlistej włóczni nie dostrzegł kolorowej otoczki.

Brak zielonego obramowania oznaczał, że nie użyto ochronnych zaklęć. Posiadacz miecza nie próbował się zabezpieczyć przed tym, co niósł. Z pewnością intruz nie był czarodziejem i nie miał na tyle rozumu, by poprosić kogoś z nich o pomoc. Czyżby nie zdawał sobie sprawy, czym jest Glirendree?

Nie, żeby to miało pomóc Czarodziejowi. Ten, kto nosi Glirendree, jest odporny na działanie wszystkich innych sił. A przynajmniej tak mówiono.

— Sprawdzimy — rzekł do siebie Czarodziej. Pogrzebał w stercie swojego wyposażenia i wyjął coś drewnianego, podobnego do organków. Zdmuchnął z przedmiotu kurz, zacisnął w garści i skierował na człowieka. Jednak zawahał się. Czar posłuszeństwa był prosty i bezpieczny, ale miał pewne uboczne skutki. Obniżał inteligencję ofiary.

— Samoobrona — powiedział do siebie Czarodziej i dmuchnął w organki.

Barbarzyńca nie zwolnił kroku. Glirendree nawet nie zaświecił mocniej; z taką łatwością wchłonął zaklęcie.

Za kilka minut przybysz miał się znaleźć na szczycie wzgórza. Czarodziej pospiesznie rzucił proste zaklęcie prognostyczne. Przynajmniej dowie się, kto wygra zbliżającą się walkę.

Niestety, nie uformował się żaden obraz. Sceneria nie zmieniła się ani o jotę.

— No tak — powiedział Czarodziej. — No tak!

Sięgnął do swojego stosu czarodziejskich akcesoriów i znalazł metalowy dysk.

Pogrzebawszy jeszcze chwilę, wyjął obosieczny nóż, gęsto

pokryty inskrypcjami w nieznanym języku i bardzo ostry.

Na szczycie wzgórza tryskało źródło, dając początek strumieniowi, który przepływał obok domu Czarodzieja. Barbarzyńca stanął nad wodą, opierając się na mieczu. Dyszał ciężko, bo podejście było trudne. Ciało miał potężnie umięśnione i pokryte bliznami. Czarodziejowi wydało się dziwne, że tak młody człowiek zdążył już odnieść tyle ran. Czarodziej obserwował, jak barbarzyńca wchodził na szczyt. Miał ciemnoniebieskie, błyszczące oczy, jak na gust Czarodzieja osadzone o pół cala zbyt blisko siebie.

— Jestem Hap! — zawołał przybysz. — Gdzie ona jest?

— Mówisz o Sharli, oczywiście. Tylko co cię to obchodzi — Przybyłem, by uwolnić ją z haniebnej niewoli, starcze.

— Hej, hej, hej! Sharla jest moją żoną.

— Zbyt długo wykorzystywałeś ją do swych niecznych i wszetecznych celów.

— Została ze mną z własnej woli, tępaku!

— Sądysz, że w to uwierzę? Taka piękna kobieta jak Sharla miałaby kochać niedołęźniatego starca?

— Wyglądam na niedołęźnego?

Czarodziej wcale nie wyglądał na starego człowieka. Wydawał się być dwudziestolatkiem, rówieśnikiem Hapa i dorównywał mu wzrostem oraz muskulaturą. Wychodząc z jaskini nie zadał sobie trudu ubierania się. Nie miał blizn tak jak Hap, ale czerwono-zielono-złoty tatuaż na plecach, złożony z zawitych, splątanych ze sobą linii, układających się w hipnotycznie monotony wzór pentagramu.

— Wszyscy w wiosce wiedzą, że jesteś stary — rzekł Hap. — Masz co najmniej dwieście lat.

— Hap — powiedział Czarodziej. — Belhap coś-tam-coś-tam

roo Cononson. Teraz sobie przypominam. Sharla mówiła mi, że zaczepiła ją, kiedy ostatnio zeszła ze wzgórza.

Powinienem być od razu coś z tym zrobić.

— Łżesz, starcze. Rzuciłaś urok na Sharlę. Każdy zna siłę czaru posłuszeństwa.

— Nie używam go. Nie lubię ubocznych skutków. Któż chciałby, żeby otaczali go przyjaźni kretyni? — Czarodziej wskazał na Glirendree. — Wiesz, co to jest?

Hap złowieszczo skinął głową.

— Powinienesz być rozsądniejszy. Może jeszcze nie jest za późno. Sprawdź, czy możesz go przełożyć do lewej ręki.

— Już próbowałem. Nie mogę go wypuścić — Hap niecierpliwie machnął w powietrzu sześćdziesięciofuntowym mieczem. — Muszę spać z tym przeklętym żelastwem w dłoni.

— No tak, więc już za późno.

— Jednak nie żałuję — rzekł ponuro Hap. — Bo teraz mogę cię zabić. Zbyt długo ta niewinna kobieta była narażona na twe towarzystwo...

— Wiem, wiem — przerwał mu Czarodziej i nagle przemówił w innym języku. Prawie przez minutę mówił coś szybko i głośno, po czym znów powiedział po rynaldańsku: — Czy odczuwasz jakiś ból?

— Nie, wcale — rzekł Hap. Nie poruszył się. Stał z przyszykowanym do ciosu mieczem, przeszywając spojrzeniem przeciwnika.

— Żadnej gwałtownej chęci udania się w podróż? Wyrzutów sumienia? Żadnych zmian temperatury ciała? — dociekał Czarodziej, lecz Hap tylko uśmiechał się nieprzyjemnie.

— Tak myślałem. No nic, trzeba było chociaż spróbować.

Błyskawica oślepiającego światła przeszła powietrze.

Meteoryt stopniał do rozmiarów piłki, zanim dotarł do wzgórza. Powinien zakończyć swój lot stykając się z głową Hapa, lecz eksplodował o ułamek sekundy wcześniej. Kiedy opadł kurz, barbarzyńcę otaczał pierścień małych kraterów.

Hapowi opadła niesymetryczna szczeka. Zamknął rozdziawione usta i ruszył naprzód.

Miecz zamruczał cicho.

Czarodziej odwrócił się plecami do napastnika. Ten skrzywił się na jego tchórzostwo.

Nagle odskoczył parę kroków w tył. Z pleców Czarodzieja zeskokczył cień.

Tak czarna mogłaby być sylwetka człowieka na oświetlonej słońcem ścianie jaskini.

Humanoidalny kształt przypominał postać z nieprzeniknionych mroków po końcu świata.

Glirendree wydawał się obdarzony własną wolą. Przeciął demona w poprzek i wzdłuż, podczas gdy ten daremnie tłukł o niewidzialną tarczę, do końca próbując osiągnąć Hapa.

— Sprytne — wysapał barbarzyńca. — Pentagram na plecach i uwięziony w nim demon.

— To było sprytne — zgodził się Czarodziej — ale nie przyniosło sukcesu. Noszenie Glirendree zapewnia sukcesy, ale nie jest sprytne. Pytam jeszcze raz: czy wiesz, co to jest?

— Najpotężniejszy miecz, jaki kiedykolwiek wykuto! — rzekł Hap podnosząc oręż wysoko nad głowę. Jego prawe ramię było o wiele lepiej umięśnione niż lewe i o kilka cali dłuższe — jakby Glirendree już zaczął działać. — Miecz, który czyni mnie równym każdemu czarodziejowi i to bez pomocy demonów. Żeby go zdobyć, musiałem zabić kobietę, którą kochałem, ale z radością zapłaciłem tę cenę. Kiedy wyślę cię tam, gdzie zasługujesz,

Sharla...

— Napluje ci w oko — przerwał mu Czarodziej. — Wysłuchasz mnie wreszcie?

Glirendree jest demonem. Gdybyś miał choć odrobinę rozumu, uciąłbyś sobie rękę w łokciu.

Hap wyglądał na zdumionego.

— Chcesz powiedzieć, że w tym metalu jest uwięziony demon?

— Wbij sobie do głowy, że nie ma żadnego metalu. To nie miecz, ale demon — złośliwy i pasożytniczy. Jeżeli się od niego nie uwolnisz, w ciągu roku zestarzejesz się i umrzesz.

Czarownik z północy uwięził go w obecnej postaci i podarował jednemu ze swoich bękartów, Jeery'emu Jakośćam. Ten podbił pół kontynentu, zanim zmarł ze starości na polu bitwy. Rok przed moimi narodzinami oddano Glirendree pod opiekę Tęczowej Czarownicy, bo nie było drugiej takiej kobiety, która równie mało interesowałaby się ludźmi, a zwłaszcza mężczyznami.

— Tak się składa, że to nieprawda.

— To pewnie sprawka Glirendree. Znów dodał jej wigoru, co? Powinna była się zabezpieczyć.

— Rok — mrucał do siebie Hap. — Jeden rok. Jednak miecz niecierpliwie poruszał się w jego dłoni.

— To będzie wspaniały rok — rzekł Hap i ruszył naprzód.

Czarodziej szybko podniósł miedziany dysk.

— Cztery — powiedział i dysk zawirował w powietrzu. Zanim barbarzyńca przebrnął przez strumień, dysk był już rozmazaną plamą. Czarodziej stanął tak, by krąg znajdował się między nim a Hapem, który nie odważył się dotknąć dysku, wirującego z zawrotną szybkością. Próbował go obejść, ale Czarodziej umknął na drugą stronę. W międzyczasie wyjął coś jeszcze: srebrzysty

nóż, gęsto pokryty inskrypcjami.

— Cokolwiek to jest — rzekł Hap — nie może mi nic zrobić. Żadne czary nie działają na tego, kto nosi Glirendree.

— Słusznie — rzekł Czarodziej. — Dysk i tak za minutę przestanie się kręcić. Tymczasem chciałbym ci wyjawić tajemnicę, jakiej nigdy nie powierzyłbym przyjacielowi.

Hap oburącz uniósł miecz nad głowę i spuścił z rozmachem na wirujący dysk. Ostrze zatrzymało się tuż nad krawędzią.

— Glirendree cię chroni — powiedział Czarodziej. — Gdybyś teraz uderzył w dysk, odrzuciłoby cię aż do wioski. Słyszysz ten szum?

Hap słyszał świst rozcinanego powietrza. Odgłos stawał się coraz bardziej przenikliwy.

— Grasz na czas — powiedział.

— To prawda. I co z tego? Chyba ci to nie przeszkadza?

— Nie. Mówiłeś, że znasz jakąś tajemnicę...? — Z uniesionym mieczem Hap ustawił się tuż przy dysku, który na krawędziach rozżarzył się do czerwoności.

— Już od dawna chciałem komuś o tym powiedzieć. Od stu pięćdziesięciu lat. Nawet Sharla nic o tym nie wie.

Mówiąc to, Czarodziej stał przygotowany do ucieczki, gdyby barbarzyńca rzucił się na niego z nienacka.

— Już wtedy znałem się trochę na magii — niewiele w porównaniu do tego, co wiem dziś, ale robiłem efektowne, widowiskowe sztuczki. Zamki unoszące się w powietrzu. Smoki ze złotymi łuskami. Armie zaklęte w kamień lub rażone błyskawicami, zamiast prostych czarów sprowadzających śmierć. Takie numery zużywają wiele mocy, wiesz?

— Słyszałem coś o podobnych sztuczках.

— Robiłem je ciągle: dla siebie, dla przyjaciół, dla królów lub

tych, których kochałem. I stwierdziłem, że jeśli osiadam na dłużej w jednym miejscu, to opuszcza mnie moc. I żeby ją odzyskać, musiałem się przenieść gdzie indziej.

Rozgrzany od tarcia dysk płonął jasnopomarańczowym blaskiem. Już dawno powinien się rozsypać lub stopić.

— Wiedziałem też, że istnieją martwe miejsca, gdzie czarodzieje nie odważają się chodzić.

Miejsca, gdzie nie działają czary. Zazwyczaj są to pola, wsie lub pastwiska — lecz jeśli się dobrze popatrzy, można znaleźć ruiny dawnych miast, gruzy zamków unoszących się niegdyś w powietrzu i pobielające kości smoków, podobnych do olbrzymich jaszczurów z minionych epok. Zacząłem się nad tym zastanawiać.

Hap cofnął się trochę, unikając żaru bijącego od dysku, który płonął teraz białym światłem, jak małe słońce sprowadzone nad ziemię. Czarodziej zniknął za migotliwą poświatą.

— Zrobiłem dysk podobny do tego i zawiesiłem w powietrzu, żeby się kręcił. To prosty czar kinetyczny — ruch jednostajnie przyspieszony bez górnej granicy szybkości. Wiesz, co to jest *mana*?

— Co się dzieje z twoim głosem? — zapytał Hap.

— *Mana* to nazwa, jaką nadajemy sile stojącej za wszelką magią.

Głos Czarodzieja stał się słaby i piskliwy. W umyśle Hapa zakiełkowało straszliwe podejrzenie — Czarodziej umknął pozostawiając tylko swój głos! Hap truchtem obiegł dysk, osłaniając oczy przed żarem.

Po drugiej stronie siedział na ziemi stary człowiek. W zreumatyzowanych, powykręcanych palcach o opuchniętych stawach, trzymał pokryty runami nóż.

— Odkryłem, że... Ach, tu jesteś! No, teraz już za późno.

Hap podniósł miecz do ciosu i oręż zmienił się nagle w ogromnego, czerwonego demona z rogami i kopytami, trzymającego w zębach rękę Hapa. Demon zaczekał kilka sekund, aż barbarzyńca pojmie, co się dzieje i spróbuje wyrwać dłoń. Wtedy odgryzł barbarzyńcy rękę w przegubie.

Zaskoczony Hap nawet nie zdążył zareagować, gdy demon wyciągnął ku niemu ramiona.

Poczuł szponiaste palce zaciskające się na jego gardle.

Nagle zobaczył zdziwienie i trwogę pojawiające się na twarzy potwora. Zaciśnięte na jego szyi szpony rozluźniły chwyt.

Dysk eksplodował. Bez ostrzeżenia zamienił się gwałtownie w płaski obłok metalowych cząsteczek i rozpląnął się w powietrzu. Błysnęło i zagrzmiało, jakby piorun uderzył we wzgórze. Rozszedł się zapach topionego metalu.

Demon stawał się coraz mniej widzialny jak kameleon wtapiający się w tło. Znikając, wolno upadł na ziemię i skurczył się. Kiedy Hap chciał go trącić czubkiem buta, kopnął tylko proch.

Dalej ciągnął się pas spalonej ziemi. Źródło przestało tryskać. Skaliste dno potoku szybko wysychało w słońcu. Jaskinia Czarodzieja zawaliła się. Całe wyposażenie jego rezydencji z trzaskiem wpadło do powstałej ogromnej dziury, a sam budynek zniknął bez śladu.

Hap ścisnął paskudnie okaleczoną rękę i rzekł: — Ale co się właściwie stało?

— *Mana* — odparł Czarodziej, wypluwając komplet poczerniałych zębów. — *Mana*.

Odkryłem, że zasoby siły stojącej za wszelką magią są ograniczone, tak jak woda w zbiorniku. Można ją zużyć.

— Ale...

— Rozumiesz, dlaczego trzymałem to w tajemnicy? Pewnego dnia cała *mana* na świecie zostanie zużyta. Nie będzie *mana*, nie będzie magii. Wiesz, że Atlantyda jest niestabilna tektonicznie? Kolejni królowie–magowie co pięćdziesiąt lat odnawiają zaklęcia, powstrzymujące ten kontynent przed zapadnięciem się w morze. Co się stanie, kiedy czary przestaną działać? Nie zdążą na czas ewakuować się. Lepiej, żeby o tym nie wiedzieli.

— Ale... ten dysk?

Czarodziej uśmiechnął się bezzębnymi ustami i przesunął dłonią po śnieżnobiałych włosach. Wszystkie wypadły pod dotknięciem palców, zostawiając nagą i poznaczoną plamami czaszkę.

— Starość jest jak alkohol. Aa, dysk? Mówiłem ci. Prosty czar kinetyczny bez limitu szybkości. Dysk wciąż przyspiesza, dopóki nie zużyje całej *mana* znajdującej się w pobliżu.

Hap zrobił krok naprzód. Szok pozbawił go połowy siły. Poruszył się niepewnie, jakby zwiotczały mu mięśnie.

— Chciałeś mnie zabić!

Czarodziej skinął głową.

— Doszedłem do wniosku, że jeśli dysk nie eksploduje, kiedy będziesz próbował go obejść, to zabije cię Glirendree, jak tylko osłabnie siła trzymająca go w karbach. O co ci chodzi? Wprawdzie kosztowało cię to dłoń, ale uwolniłeś się od demona.

Hap zrobił następny krok, i jeszcze jeden. Ręka zaczęła go boleć i ból dodał mu sił.

— Starcze — powiedział ochryple. — Masz dwieście lat. Mogę ci skrócić kark jedną ręką.

I zrobię to.

Czarodziej podniósł się, ściskając pokryty inskrypcjami nóż.

— To ci nic nie pomoże. Koniec z magią — rzekł Hap, odtrącając jego rękę i ściskając chudą szyję.

Ramię Czarodzieja opadło bezwładnie, po czym znów uniosło się w górę. Barbarzyńca chwycił się oburącz za brzuch, otworzył szeroko oczy i zatoczył się w tył. Ciężko usiadł na ziemi.

— Nóż jest zawsze skuteczny — rzekł Czarodziej.

— Och! — jęknął Hap.

— Sam go wykułem, zwykłymi narzędziami, tak żeby się nie rozpadł, gdy wyczerpie się *mana*. To nie są magiczne runy.

Hap znowu jęknął przeraźliwie, zachwiał się i runął na ziemię.

Czarodziej wolno położył się na wznak. Przysunął nóż do oczu i przeczytał znaki pisma, znanego jedynie przez członków Bractwa.

WSZYSTKO PRZEMINIE

Nawet w tym momencie był to straszny banał.

Opuścił rękę i leżał patrząc w niebo. Wreszcie jakiś cień przesłonił błękit.

— Mówiłem ci, żebyś stąd uciekała — szepnął.

— Powinieneś wiedzieć, że nie usłucham. Co ci się stało?

— Zakłęcie zapewniające wieczną młodość przestało działać. Musiałem to zrobić... Kiedy zakłęcie prognostyczne nic nie dało, byłem pewny...

Z trudem wciągał powietrze.

— Jednak warto było. Zabiłem Glirendree.

— Odgrywać bohatera, w twoim wieku! Co mogę zrobić? Jak ci pomóc?

— Sprowadź mnie na dół, zanim umrę. Nigdy nie mówiłem ci, ile mam naprawdę lat...

— Wiem. Wszyscy we wsi wiedzą — Sharla podniosła go do pozycji siedzącej i przełożyła sobie jego ramię przez szyję. Było bezwładne jak ręka trupa. Zadrżała, ale objęła go w pasie i zebrała siły. — Jesteś taki chudy! Chodź, kochany. Musimy wstać.

Wzięła na siebie większą część wysiłku i podnieśli się na nogi.

— Idź wolno. Wydaje mi się, że serce chce mi wyskoczyć z piersi.

— Jak daleko mamy iść?

— Chyba tylko do stóp wzgórza. Tam zaklęcia znów będą działać i odpoczniemy.

Potknął się.

— Zaczynam ślepnąć.

— Mamy łatwą drogę. Ścieżka biegnie prosto w dół.

— Właśnie dlatego wybrałem to miejsce. Wiedziałem, że pewnego dnia będę musiał użyć dysku. Każda wiedza może się przydać. Zawsze przychodzi taki czas, kiedy trzeba jej użyć.

— Tak bardzo się zmieniłeś. Jesteś taki... taki brzydki. I śmierdzisz.

Na boku jego szyi zauważyła niebieską, pulsującą jak trzepot ptasich skrzydełek, żyłkę.

— Pewnie już mnie teraz nie będziesz chciała, skoro widziałas mnie takiego...

— Możesz znów stać się młody, prawda?

— Pewnie. Mogę zmienić, co zechcesz. Jakiego koloru oczy mam mieć?

— Ja też będę kiedyś taka stara — powiedziała.

W jej głosie usłyszał zgrozę.

— Nauczę cię właściwych zaklęć, kiedy przyjdzie czas. To

niebezpieczne. Naprawdę niebezpieczne.

Sharla milczała chwilę. Później spytała: — A jakiego koloru oczy miał on? Wiesz, ten Belhap Sattlestone coś — tam.

— Zapomnij o nim — rzekł lekko dotknięty Czarodziej. I nagle odzyskał wzrok.

Jednak nie na zawsze, myślał, kuśtykając w dół. Kiedy skończy się *mana*, zgasnę jak świeca, a ze mną cywilizacja. Koniec z magią, koniec przemysłu opartego na czarach. Cały świat pogrąży się w barbarzyństwie, dopóki ludzie nie odkryją nowego sposobu oszukiwania natury. Tak, barbarzyńcy — ci przekłeci, głupi barbarzyńcy w końcu wygrają.

przełożył: Zbigniew A. Królicki

Karl Edward Wagner

KTOŚ INNY

Jest taka historia, często opowiadana, o zbójcach, którzy schronili się pod drzewem, a gdy nadchodził mrok i nadciągała burza, zasiedli wokół ogniska i powiedzieli do swego herszta: „Opowiedz nam coś, aby szybciej minęła noc na tym bezludziu”, zaś ich herszt rzekł: „Kiedyś zbójcy schronili się pod drzewem, a gdy nadchodził mrok i nadciągała burza, zasiedli wokół ogniska i powiedzieli do swego herszta: „Opowiedz nam coś, aby szybciej minęła noc na tym bezludziu”, zaś ich herszt rzekł: „Kiedyś zbójcy schronili się pod drzewem...” Czarniejsze od mroczniejącego nieba, tysiącpalczaste konary ogromnego figowca kołysały się i szumiały w podmuchach burzy. Pierwsze krople deszczu zabębniły o kamienie rozciągającego się za kryjówką pustkowia — padając jak grad strzał wysyłanych przez armię łuczników, z gromowym pomrukiem toczącą się przez leżącą dalej równinę.

Ktoś rozpałił ognisko. Żółte płomienie trzaskały i syczały liżąc mokre gałązki; szary dym leniwie rozpełzł się wśród konarów figowca i rozwiął się na wietrze. Wokół ogniska było ich kilkunastu — wyrzutków i renegatów, których brudne zbroje i niedobry oręż nosiły ślady długotrwałego i częstego użytkowania.

Jeszcze setka takich gości mogłaby się zmieścić pod tym drzewem, schować w plątaninie korzeni i gałęzi. Od

niepamiętnych czasów rosnąc w górę i na boki, figowiec rozpościerał swą koronę i wbijał korzenie w ziemię. W kierunku, z którego nadeszli banici, rozciągały się długie mile tropikalnej puszczy. Z drugiej strony, tam dokąd wiódł ich szlak, leżało równie rozległe pustkowie. Za szarą kurtyną nadciągającej burzy można było dostrzec odległą ścianę lasu otaczającego równinę. Na tej okolonej dżunglą równinie, gdzie jeszcze przed stuleciem leżały troskliwie uprawiane pola, młody las porastał obalone głązy, a w miejscu, w którym niegdyś wznosiło się wielkie miasto leżały sterty gruzów. Nie zostały po nim żadne mury ni wieże; zostało zniszczone tak doszczętnie, że trudno byłoby znaleźć kamień na kamieniu.

Bezmiar unicestwienia — pustynia potrzaskanych kamieni i zgliszczy. Nawet po przeszło stu latach, tylko chwasty, zarośla i karłowate drzewka porastały to rumowisko. Minie jeszcze stulecie, nim ostatni kopczyk gruzu zniknie pod naporem zaborczej zieleni.

Zebrali się przy ognisku, kładąc u boku wysłużony rynsztunek i wyciągając co który miał na wieczorny posiłek. Trzy dni marszu, może cztery — obiecał im herszt — a będzie więcej łupów do zdobycia. Tej nocy perspektywa ta nie budziła entuzjazmu. Z niepokojem spoglądali na nadciągającą burzę i leżące opodal ich obozowiska ruiny. Albowiem były to ruiny Przekłętego Andalaru i każdy człowiek czuł się nieswojo na tym pustkowiu.

— Największe miasto tej krainy — mruknął w zadumie jeden z nich. — A teraz nic prócz potrzaskanych kamieni i próchniejących kości. Nawet sęp niczego tu nie znajdzie.

— Kiedyś znajdowały się tu bogactwa, o jakich ci się nie śniło — rzekł inny. — Andalar był najdumniejszym miastem świata.

— 1 bogowie zniszczyli Andalar za jego pychę — zawtórował im następny z szyderstwem w głosie — przynajmniej tak słyszałem.

— Ja słyszałem wiele opowieści — spierał się pierwszy zbójca.

— Wydaje się, iż nikt już nie pamięta, jak było naprawdę.

— Ja pamiętam — mruknął ich herszt.

— Czy naprawdę znasz historię zagłady tego miasta? Opowiedz nam ją.

Herszt zaśmiał się, jak z głupiego żartu, i zaczął mówić.

Wieść o śmierci króla Andalaru nie była zbyt wielkim zaskoczeniem dla Kane'a — Luisteren VII był już dobrze po osiemdziesiątce. Wiadomość ta nie była też — z początku — ciężkim ciosem dla Kane'a, bo podjął już pewne kroki, aby władca Andalaru nie dożył dziewiątego krzyżyka. Kane, Lord Minister Andalaru, jak powszechnie wiadano, był ulubieńcem przygłupiego pierworodnego starego króla, natomiast — o czym wiedzieli tylko nieliczni — najmłodsza żona władcy, Haeen, była wielką ulubienicą Kane'a.

Gdy pierwsze niepokojące pogłoski o śmierci Luisterena rozeszły się po pałacu, a żałobne pienia kapłanów Inglarna odbiły się echem w mrocznych uliczkach miasta, Kane uśmiechnął się, napełnił złoty puchar i uczcił pamięć zmarłego milczącym toastem. Śmierć króla przypadła kilka miesięcy wcześniej, niż przewidywał jego plan. Może Kane powinien był z większym umiarem stosować proszki, a może stare serce despoty po prostu zatkało się nieświeżą krwią. Cokolwiek się stało, Luisteren VII nie żył. Pozycja Kane'a była pewna.

Kiedy ulubiony syn króla zasiądzie na tronie jako Middosron III, nowy władca z najwyższą przyjemnością pozostawi Kane'owi rządy Andalaru.

Kane dokończył brandy, wyciągnął potężne ciało w fotelu i zaczął wspominać miniony rok. Nawet jak na niego, była to zawrotna kariera — ale Andalar był niezwykle łakomym kąskiem, co pozwalało Kane'owi zapomnieć o tym, że wielokrotnie powtarzany schemat postępowania czynił jego karierę nużącą.

Jako kapitan oddziału najemników, Kane zaciągnął się na andalarską służbę przed niespełna rokiem. Powodzenie w bitwie zwróciło nań uwagę starego króla i spowodowało szybkie wyniesienie na stanowisko generała armii miasta–państwa. Gdy bój o granice Andalaru został zakończony zwycięstwem, Kane — wykorzystując łaski króla — objął wysokie stanowisko na królewskim dworze. Rozsądnie stosowane eliksiry, o składzie znanym tylko Kane'owi, przywróciły Luisterenowi tężyznę i męskie siły, umacniając wpływ przybysza na starego władcę. Później wszystko było jedynie kwestią zręcznej strategii: kiedy główni rywale Kane'a zostali przez niego zdemaskowani jako zdrajcy, spiskujący przeciwko królowi, wyniesienie Kane'a na stanowisko Lorda Ministra było równie nieuchronne jak nadchodząca śmierć Luisterena.

Mimo że przebieg wypadków nie był dla Kane'a niczym nowym, czerpał pewną dumę z faktu, że nigdy przedtem żaden cudzoziemiec nie zrobił tak błyskawicznej kariery na królewskim dworze.

Andalar był najstarszym i najświetniejszym z rozrzuconych po świecie miast — państw dzierżących suwerenną władzę nad tym pokrytym dżunglą obszarem, a jeśli tradycjonalizm i ksenofobię jego mieszkańców można by nazwać obsesyjnymi, to równie wielką była fortuna zgromadzona w ciągu długich wieków w królewskich kufkach. Kane właśnie zastanawiał się leniwie, jak

wykorzysta zasoby andalarskiego skarbcza, gdy do jego komnaty wpadła Haeen.

Najmłodsza żona Luisterena nie miała nawet jednej czwartej lat swego królewskiego małżonka. Była szczupła, wzrostem niemal dorównując mierzącemu sześć stóp Kane'owi — lecz jej sylwetka nie była ani chłopięca, ani nazbyt smukła. Jej figura dorównywała doskonałością marmurowym posągom bogiń. Poruszała się z gracją. Niegdyś była tancerką w świątyni Inglarna. Miała to rzadkie połączenie jasnozielonych oczu i kruczoczarnych włosów.

W tej chwili jej długie włosy były w nieładzie, a zmartwiona, delikatna twarzyczka zdradzała trawiącą ją rozpacz. Kane zdumiał się widokiem jej łez, bo podczas tajemnych schadzek Haeen nie okazywała specjalnych dowodów przywiązania do swego małżonka.

— Wiesz? — zapytała, z szelestem jedwabi padając mu w ramiona.

Kane zdziwił się słysząc rozpacz w jej głosie. W jego komnatkach nie musiała przecież udawać.

— Powiedziano mi, że nad ranem popadł w jeszcze głębszą apatię. Kiedy przed chwilą kapłani zaczęli swoje przekłete zawodzenia, wypilem za twoje wdowieństwo.

Haeen wydała zduszony jęk i objęła ramionami potężny tors Kane'a.

— Gdyby tylko przetrzymał ten ostatni atak gorączki. Moglibyśmy mieć jeszcze tyle kradzionych nocą godzin uniesienia.

Kane zaśmiał się.

— No tak, oczywiście przyzwoitość nakazuje jakąś rozsądną przerwę, ale po...

Przerwała jego śmiech pocałunkiem.

— Ostatni uścisk, mój ukochany! Om zaraz po nas przyjdą.

— O czym ty mówisz? — zaczął Kane, nagle uświadamiając sobie, że jej rozpacz jest aż nazbyt prawdziwa. Lecz tamci właśnie po nich przybyli.

Odziani w swe szkarłatne jak ogień togi, kapłani Inglarna wkroczyli do komnat zajmowanych przez Kane'a. Ich rytualnie uczernione na znak żałoby, trupioblade twarze nie zdradzały żadnego wyrazu, gdy spoglądali na parę kochanków.

— Pójdź z nami, królewska oblubienico — powiedział ich przywódca. — Twój pan wzywa cię, abyś zamieszkała wraz z nim w Pałacu Inglarna, w Raju Wybrańców.

— Wydałem rozkazy, żeby mi nie przeszkadzano — warknął Kane, usiłując zrozumieć, o co chodzi. Straż przyboczna — sami specjalnie dobrani ludzie — powinna wykopać tych głupców z jego domu i zaalarmować go, że intryga zakończyła się niepowodzeniem. Jednak zerknąwszy w stronę drzwi stwierdził, że jego żołnierze najspokojniej w świecie schodzą ze swoich posterunków.

Pogardliwe słowa Kane'a przerwały górnolotną przemowę kapłana.

— Jesteś cudzoziemcem, Lordzie Kane. Zajmujesz stanowisko, jakiego jeszcze nigdy nie powierzono przybyszowi. Jednak, mimo iż jesteś cudzoziemcem, spoczywa na tobie jeszcze jeden, ostatni i najbardziej zaszczytny obowiązek względem twego władcy.

Kane, który niedawno przybył do tej krainy, zaledwie z grubsza orientował się w jej niezliczonych prawach i zwyczajach. Jeżeli podejrzewali otrucie, to dlaczego przysłali kapłanów, a nie uzbrojonych strażników?

— O co chodzi, Haeen?

— Nie wiesz? — zapytała ponuro. — To prawo Inglama. Kiedy król Andalaru zostaje wezwany do Raju, jego świta oraz doradcy muszą mu towarzyszyć. W ten sposób będą nadal służyć swemu panu, a nowy król rozpocznie swoje święte panowanie nieskrępowany więzami zadzierzgniętymi przez swego poprzednika.

— Oczywiście — przytaknął spokojnie Kane, lecz jego nieruchoma twarz kryła burzę kłębiących się myśli. Bardzo powierzchownie poznał zwyczaje panujące w tej krainie. In — glarn był tylko lokalnym bóstwem i Kane nie trudził się zgłębianiem sekretów jego kultu.

Luisteren VII wstąpił na tron jako dziecko, przeszło siedemdziesiąt lat temu. Pochłonięty dworskimi intrygami, Kane nie zajmował się wydarzeniami z przeszłości, zapomnianymi przez niemal wszystkich mieszkańców miasta.

— Pójdź teraz z nami do świątyni Inglarna — zaprosił go arcykapłan. Jego dwaj towarzysze wyjęli rytualne, złote pęta. — Tej nocy złożysz ostatni ziemski hołd swemu władcy przed jego pogrzebowym stosem. Zaś rankiem przejdiesz przez ogień, by połączyć się z nim w Błogosławionym Pałacu Inglarna.

— Oczywiście — uśmiechnął się Kane. Oprócz kapłanów, w korytarzu przed jego kwaterą nie było w tej chwili nikogo. Nie przeszkadza się przecież podczas świętego obrzędu.

Kark arcykapłana pękł z trzaskiem, nie głośniejszym od jego okrzyku zdumienia. Kane odrzucił trupa na bok jak dziecko pozbywające się niechcianej zabawki, a jego pięść spadła z zabójczym impetem na szyję drugiego kapłana, wybałuszającego z niedowierzaniem oczy.

Trzeci kapłan rzucił się do drzwi, nabierając tchu w piersi, aby krzyknąć. Kane dopadł go jednym susem i stalowymi palcami

zdusił okrzyk wraz z życiem.

Haeen wydała przeraźliwy wrzask.

Nie było czasu na dyskusje, Kane ogłuszył ją jednym silnym ciosem. Przystanąwszy tylko po to, żeby przymocować sobie miecz na plecach, Kane owinął nieprzytomną dziewczynę swoim płaszczem i niepostrzeżenie jak cień „wymknął się z pałacu.

Ciemności i zamieszanie wywołane wieścią o śmierci króla umożliwiły Kane’owi ucieczkę. Te przyczyny oraz ogrom popełnionego przez niego świętokradztwa wprost niewyobrażalnego dla przywiązanych do tradycji mieszkańców Andalaru sprawiły, iż nie zareagowano od razu na tak potworną zbrodnię.

Kane dotarł do bram miasta, zanim Haeen w pełni odzyskała przytomność i zanim wiadomość o jego występku zaalarmowała zbitego z tropu strażnika. Przekroczyłby granicę Andalaru, zanim by zorganizowano pościg, ale leśne ścieżki są nocą zdradliwe i choć Kane dobrze widział w ciemności, to jego koń nie.

Kane zaklął i pogonił okulawionego wierzchowca, który utykając zniknął w mroku.

Fałszywy ślad może na jakiś czas zmylić pogoń i umożliwić im ucieczkę. Haeen wciąż wydawała się być w szoku — wywołanym uderzeniem lub popełnionym świętokradztwem — ale w milczeniu poszła za Kanem, gdy ruszył dalej na piechotę.

Po pewnym czasie zwolnił tempo marszu, aby Haeen mogła dotrzymać mu kroku i zdawało się, że przez całą wieczność szli w gęstych ciemnościach, aż wreszcie przez bezgwiazdny pułap drzew zaczęła wolno przenikać szarość.

Gdzieś przed nimi słychać było stłumiony łoskot wodospadu, a w powietrzu pojawiła się zimna mgiełka. W szarówce przedświt

podeszli do krawędzi wąwozu. Kane zwolnił kroku, nie wiedząc jak dotrzeć do rzeki w dole. W trakcie walk o granice dobrze poznał ziemie miasta — państwa i nieźle orientował się w terenie. Jednakże tego miejsca nie rozpoznawał.

Przygnębiona Haeen przysiadła na głazie, patrząc jak Kane kręci się po spowitej mgłą skarpie.

— Gdy nadejdzie świt, odnajdziemy drogę na dół — powiedział jej. — Są tam bystrzyny, ale jeśli pójdziemy wzdłuż rzeki, znajdziemy miejsce, gdzie woda płynie na tyle spokojnie, by unieść tratwę. Zwiążemy w pęk kilka gałęzi i dopłyniemy poza granice Andalaru, zanim ci głupcy zorientują się, gdzie nas szukać.

— Kane, Kane — jęknęła bezradnie Haeen. — Nie możesz uciec. Nawet nie wiesz, jaki grzech chcesz popełnić. Kane, to jest złe!

Odpowiedział niecierpliwym zmarszczeniem brwi, czego — w panującym półmroku — domyśliła się raczej po tonie jego głosu.

— Haeen, nie żyłem tak długo, by skończyć na ofiarnym stosie. Niech ci głupcy palą żywych wraz z martwymi, jak nakazuje tradycja. Ty i ja będziemy się z tego śmiać w krainach, w których Andalar jest nieznanym słowem.

— Kane — potrząsnęła czarną jak noc grzywą. — Ty tego nie rozumiesz. Jesteś cudzoziemcem. Nie możesz wiedzieć.

— Wiem, że wasze obyczaje i święte prawa to blaga i komedianctwo. I wiem, że cię kocham. A ty kochasz mnie.

— Och, Kane! — na twarzy Haeen malowała się udręka.

— Gardzisz naszymi prawami. Gardzisz naszymi bogami. Ale jedno musisz zrozumieć.

— Haeen, jeżeli naprawdę chcesz umrzeć dla większej chwały swojego męża, którego starczych dotknięć brzydziłaś się jak...

— Kane! — jej okrzyk przerwał szyderczą przemowę. — To jest złe!

— Tak samo jak cudzołóstwo w niektórych społeczeństwach — zaśmiał się Kane, próbując zmienić jej nastrój.

— Czy wysłuchasz mnie nareszcie? To, z czego szydzisz, jest częścią mnie.

— Oczywiście.

— Andalar jest najstarszym miastem na świecie.

— Jedym z najbogatszych, z tym się zgodzę, ale na pewno nie najstarszym.

— Kane! Jak mogę ci to wytłumaczyć, jeśli wciąż ze mnie kpisz!

— Przepraszam. Proszę, mów dalej.

Kane'owi zdawało się, że dostrzega ścieżkę wiodącą na dół, lfecz mgła była zbyt gęsta, by mógł być tego pewien.

— Andalar został zbudowany przez Inglarna u zarania świata — wyrecytowała Haeen.

— 1 Andalar po dziś dzień oddaje cześć Inglamowi — ponaglił ją Kane. W odizolowanych zakątkach Ziemi, takich jak ten, dość często czczono jakieś lokalne bóstwo jako jedyne Boga.

— Kiedy Inglarn odszedł w Fontannie Płomieni do Raju Za Słońcem — recytowała Haeen — zostawił część swego świętego ognia w ciele królów Andalaru.

Kane słyszał fragmenty tej legendy. Jednak już dawno przestał się interesować niezliczonymi wersjami mitu o przybyszach.

— Dlatego też — ciągnęła Haeen — otoczenie każdego króla Andalaru składa się w ofierze Ogniewi Inglarna. A skoro Ognista Część Ciała króla opuszcza Ciało i powraca do Ognia Inglarna, tak samo i wszyscy, którzy są częścią Światłości monarchy muszą wkroczyć wraz z nim w Ogień, aby ponownie się narodzić w Raju Wybranych.

— Niedaleko stąd musi być ścieżka wiodąca do rzeki — głośno zastanawiał się Kane. — Najlepiej będzie, jeśli poszukam jej sam, a potem po ciebie wrócę.

— Kane, czy zaczniesz mnie słuchać? Oto grzech, jaki popełniłeś! Naruszyłeś Święte Prawo Inglarna. Chciałeś uciec przed losem, jaki przeznaczył ci Inglarn. A Prawo głosi, że jeśli ktokolwiek z otoczenia króla zbezcześci Inglarna, uciekając przed świętym obowiązkiem względem swego króla i boga, to Inglarn powróci z Ognia — przybędzie, aby całkowicie zniszczyć Andalar i jego lud!

Kane czuł jej cierpienie, słuchał niespokojnej przemowy i próbował zrozumieć. Jednak był człowiekiem nie uznającym żadnych bogów, nie mającym szacunku dla żadnych bóstw ani praw. I wiedział, że w ciągu najbliższych godzin muszą uciec jak najdalej, inaczej dopadną ich fanatyczni prześladowcy.

— Słyszałem takie legendy w stu krajach — odrzekł jej spokojnie. Jednak wiedział już, że lud Andalaru nie będzie szczędził wysiłków, by ich schwytać i zaprowadzić na stos.

— Ale to mój kraj.

— Już nie. Zabiorę cię do tysiąca innych.

— Obejmij mnie jeszcze raz.

I Kane wziął wtedy Haeen na omszałych głazach wąwozu — a rzeka w dole toczyła się z hukiem, zaś niebo nad nimi szarzało. A Haeen krzyczała z rozkoszy do gasnących gwiazd i Kane zapomniał na chwilę o samotności związanej z nieśmiertelnością.

Później Kane wysunął się z jej objęć i ucałował ją.

— Zaczekaj tu, aż wrócę. Jesteś bezpieczna — odnajdą nasz ślad dopiero, gdy wzejdzie słońce. Zanim to nastąpi, znajdemy dojdziecie do rzeki. Nim minie dzień, pożegnamy granice Andalaru i

jego zwariowane zwyczaje.

Pocałowała go i szepnęła coś cicho.

Świtało już, gdy Kane znalazł prowadzącą na dno wąwozu ścieżkę, którą Haeen była w stanie zejść. Mogli przez jakiś czas iść z biegiem rzeki — gubiąc pościg — a potem Kane skleciłby tratwę, która uniosłaby ich poza granice Andalaru. Chociaż ta droga ucieczki wcale nie była tak pewna, to jednak mieli przynajmniej jakąś szansę. Zachowując czujność, Kane wrócił do głazów, między którymi ukrył dziewczynę.

Z początku wmawiał sobie, że trafił w inne miejsce, lecz po chwili znalazł wiadomość wydrapaną przez Haeen na głazie.

„Nie mogę pozwolić, aby moje miasto zostało zniszczone przez mój grzech. Idź swoją drogą, Kane. Jesteś cudzoziemcem i Inglarn ci wybaczy”.

Kane wydał nieartykułowany pomruk bóleści i zwrócił złowrogie spojrzenie ku Andalarowi.

Nie zważając na nic, ruszył jej śladem, mając nadzieję, że jakiś głupiec zastąpi mu drogę i modląc się o wierzchowca. Znalazł miejsce, gdzie Haeen napotkała pościg i konie galopem zawróciły do miasta.

Jednak zanim dokuśtykał na skraj dżungli, skąd mógł dojrzeć mury Andalaru, dym z pogrzebowego stosu Luisterena VII i jego świty przysłonił już niebo...

Niebo pociemniało, zasnutę nocą i chmurami. Deszcz przeciekał przez gęstą koronę figowca i z sykiem padał na ognisko. Spoglądali na ruiny Przeklętego Andalaru i drżeli, nie tylko z zimna.

— Czy legenda mówiła prawdę? — zapytał herszta jeden ze zbójców. — Czy Inglarn zniszczył miasto z powodu świętokradztwa popełnionego przez cudzoziemca?

— Nie. Ich bóg oszczędził miasto — odparł z goryczą Kane. — Jednak ja wróciłem tam ze stutysięczną armią. I nie pozostawiłem żywej duszy ani kamienia na kamieniu z całego Andalaru.

przełożył: Zbigniew A. Królicki

Fritz Leiber

CÓRKA SCYLLI

Z matczyno–szczodrym zachodnim wiatrem, wypełniającym brązowe trójkątne żagle, płynęła wąska wojenna galera i pięć szerokokadłubowych statków wiozących zboże.

Znajdowały się dwie noce od Lankhmaru i posuwały się jeden za drugim wprost na północ przez Wewnętrzne Morze starożytnego świata Nehwon.

Było późne popołudnie jednego z tych łagodnych niebieskich dni, kiedy niebo i morze są tego samego koloru, dostarczając niezbitego dowodu dla hipotezy cieszącej się w owym czasie ogromną popularnością wśród filozofów Lankhmaru. Głosiła ona, że Lankhmar to gigantyczna bańka powstała z wód wieczności, z własnymi kontynentami, wyspami i ogromnymi klejnotami, które w nocy są gwiazdami, pływającymi w pewnym porządku po jej powierzchni.

Na rufie ostatniego, a zarazem największego statku wiozącego zboże Wielki Myszak wypluł skórkę od śliwki na stronę zawietrzną i pochwalił się: — Tłuste czasy w Lankhmar! Nawet na jeden dzień nie powróciłem do Miasta Czarnej Togi i to po miesiącach spędzonych daleko na przygodach! A teraz od samego Pana wystarałem się dla nas o tę intratną robotę!

— Od dawna żywię podejrzliwość wobec intratnej roboty — odparł Fafhrd ziewając i szerzej rozchylił futrem obrębianą kurtkę, tak aby łagodny wiatr mógł łatwiej poruszać się po polu skłębionych włosów. — Przez ciebie tak szybko opuściliśmy

Lankhmar, że nie mieliśmy nawet czasu na złożenie hołdu paniom. Niemniej muszę przyznać, że mogłeś zrobić coś gorszego. Pełna kiesa to najlepszy balast dla żeglarza, szczególnie gdy zawiera list kaperski przeciw kobietom.

Kapitan statku, Slinoor, rzucił spod kaptura spojrzenie na małego, ale gibkiego człowieka ubranego na czarno oraz na jego barbarzyńskiego towarzysza, wyższego i barwniej odzianego. Kapitan „Kałamarnicy” był w średnim wieku i zwykle nosił się na czarno. Stał tuż obok dwóch krępych i bosych żeglarzy, przepasanych czarnymi tunikami, którzy nieruchomo trzymali wielki, wysoko wygięty w łuk rumpel.

— Co wy hultaje naprawdę wiecie o tej intratnej robocie? — Slinoor zapytał łagodnie. — A raczej, ile zdecydował się wam powiedzieć arcyszlachetny Glipekero o celu i przeszłości tej wyprawy?

Wydawało się, że po dwóch dniach szczęśliwego żeglowania kapitan statku nareszcie odzyskał nastrój sprzyjający wymianie poufałości lub co najmniej zadawaniu pytań i mówieniu kłamstw.

Z uplecionej z liny torby, wiszącej na rumplu, Myszak wyłowił ciemnofioletową śliwkę za pomocą haczykowatego sztyletu, nazwanego przez niego Kocim Pazurem. Potem odpowiedział swobodnie: — Flota ta wiezie dar w postaci zboża od Lorda Glipekera dla Movarla z Ośmiu Miast w podzięce za wypędzenie piratów mingolskich z Morza Wewnętrznego i zapobieżenie napaści Mingoli zamieszkujących stepy na Lankhmar, przez Tonący Łąd. Movarlowi potrzebne jest zboże, aby jego rolnicy i myśliwi mogli szybciej przemienić się w żołnierzy mieszkających w miastach, a zwłaszcza, aby zaopatrzyć swoją armię niosącą pomoc granicznemu miastu Klelg Nar, obleganemu przez

Mingoli. Fafhrd i ja jesteśmy, jakby Lord to ujął, małą ale silną strażą wyznaczoną do pilnowania zboża i innych, bardziej delikatnych rzeczy wchodzących w skład daru Glipkeria.

— Czy je masz na myśli? — Slinoor zgiął kciuk w kierunku relingu na lewej burcie statku.

Znajdowało się tam dwanaście olbrzymich białych szczurów, ulokowanych w czterech srebrnych klatkach. Z jedwabną sierścią, niebieskimi oczami w jasnej obwódce, a zwłaszcza z krótkimi, wygiętymi w łuk górnymi wargami i dwoma ogromnymi górnymi siekaczami wyglądały jak kilku wyniosłych i znudzonych arystokratów. Właśnie w tym typowo znudzonym arystokratycznym stylu przyglądały się kościstemu czarnemu kotu, który usadowił się na relingu po prawej stronie statku, wbiwszy w niego swe ostre pazury.

Wyglądał, jakby chciał znaleźć sobie miejsce jak najdalej od tych szczurów, bowiem przyglądał się im z największym niepokojem.

Fafhrd wychylił się i powiódł palcem wzdłuż grzbietu czarnego kota. Kot wygiął się na kształt łuku, na chwilę oddawszy się zmysłowej rozkoszy, ale zaraz odsunął się chyłkiem i na powrót zaniepokojony wbił oczy w szczury. Taką samą pozę przybrali sternicy odziani w czarne tuniki. Obaj byli wyraźnie niechętnie usposobieni wobec szczurów, a nawet przejęci strachem przed znajdującymi się w klatce na rufie pasażerami.

Myszak oblizwał mokre od soku palce i szybko wyciągnął koniec języka, aby zdążyć zgrabnie przechwycić kroplę spływającą w kierunku podbródka.

— No, nie mam na myśli głównie tych wysokourodzonych szczurów wiezionych w darze — odpowiedział Slinoorowi i

niespodziewanie zgiąwszy kolana, dotknął dwoma palcami wyszorowanego dębowego pokładu i wyjaśnił: — Mam na myśli głównie ją, tę która znajduje się poniżej, która wyrzuciła kapitana z kajuty, i tę co teraz podkreśla, że wiezione w darze szczury potrzebują słońca i świeżego powietrza — co wydaje mi się dziwnym sposobem rozpieszczania szkodników, mieszkających zwykle w norach i w najgłębszym cieniu.

Słowa te uruchomiły fantazję Myszaka. Wyobraził sobie siebie jako małego szczura, odbywającego pojedynek ze szczurami noszącymi falbanki na kołnierzach i przy mankietach, przemykającego tunelami tworzącymi labirynt w ich podziemnych miastach, stającego się koneserem żółtego sera, wędzonego mięsa, a może nawet umizgującego się do szczupłej królowej szczurów i nakrytego przez jej męża, króla szczurów, którego zmuszony był zasztyletować podczas walki w ciemnościach. Wtem napotkał wzrok jednego z białych gryzoni, który przyglądał mu się uważnie spoza srebrnej kraty swymi zimnymi, niebieskimi oczami, i nagle cały ten pomysł przestał być dla niego zabawny Myszaka przeszedł dreszcz, choć stał przecież w pełnym blasku słońca.

Slinoor kontynuował.

— To niedobrze, gdy zwierzęta starają się zachowywać jak ludzie — szyper statku handlowego spojrział na ponurych arystokratów — Czy kiedykolwiek ktoś opowiadał wam legendę o. — zaczął, zawahał się, potem przerwał kręcąc głową, jakby uświadomił sobie, że chciał za dużo powiedzieć — Żagiel — nadleciał odległy krzyk z bocianiego gniazda — Czarny żagiel od strony nawietrznej!

— Jaki rodzaj statku — krzyknął Slinoor — w tamtym kierunku.

— Nie wiem, panie Widzę tylko czubek żagla.

— Miej go na oku, chłopcze — rozkazał Slinoor.

— Mam go na oku, panie.

Slinoor pobiegł w stronę relingu po prawej stronie burty i już po chwili był z powrotem.

— Żagle Movarla są zielonego koloru — rzekł zadumany Fdfhrd SImoor potwierdzająco skinął głową — Ilthmara są białe, Piratów najczęściej czerwone Żagle Lankhmaru kiedyś były czarne, ale teraz ten kolor przysługuje tylko żałobnym Wyskubane brwi SImoora uniosły się Podszedł bliżej do klatek i szepnął: — Myślisz, że panienka Hisvet może nie być tylko opiekunką i przewodniczką szczurów, ale stanowić także część daru Glipkena dla Movarla? Dlaczego? Jest przecież córką największego handlarza zbożem w całym Lankhmar, który wzbogacił się sprzedając Glipkenowi brązowe zboże⁷

Myszak uśmiechnął się tajemniczo i nic nie powiedział Wtedy Slinoor zachmurzył się i rzekł jeszcze bardziej przyciszonym głosem — Zgadza się Słyszałem historię o tym, że Hisvet już była przekazana przez swego ojca, Hisvena, w darze dla Glipkena, w celu zyskania jego poparcia Fafhrd — od pewnego czasu usiłujący pogłaskać kota, ale bez większego skutku, bowiem musiałby wdrapać się za mną na maszt — obrócił się i rzekł prawie z oburzeniem — Jak to? Przecież Hisvet to jeszcze dziecko? Najbardziej godna i przyzwoita panienka Nie znam Glipkena Wydaje się być dekadentem — w Lankhmar to słowo nie było obraźliwe — ale na pewno Movarl, leśny człowiek choć z Północy, lubuje się tylko w pełnych ciepła, dojrzałych i rozwiniętych kobietach — To chyba twój własny gust — zauważył Myszak, przypatrując się Fafhrdowi spod na wpół przymkniętych oczu.

— Żadnego zadawania się z młodymi kobietami! — Fafhrd przymrużył oczy, jakby Myszak wbijał mu palec w bok. Wzdrygnął się i powiedział głośno — Co jest takiego nadzwyczajnego w tych szczurach? Co one robią na statku?

— Cóż — odrzekł na to z niesmakiem Slnoor — udają, że są ludźmi. Hisvet nauczyła je tańczyć w rytm muzyki, pić z filiżanek, władać miniaturowymi włóczyniami i mieczami, a nawet uprawiać szermierkę. Nigdy tego nie widziałem nawet ani nie zależało mi na tym barkom, a poza tym nie mogą nigdy zniknąć z pola widzenia z lądu. Przynajmniej nigdy nie dowiedziałem się...

Myszak wpadł mu w słowo: — Wspomniałeś o ciemnej przeszłości tej wyprawy. Co przez to rozumiesz?

Slnoor cofnął się z nimi w stronę relingu rufowego, jak najdalej od krępych sterników.

Fafhrd musiał się trochę zgiąć przechodząc przez łukowaty rumpel. Wszyscy trzej z pochylonymi głowami przyglądali się wijącemu śladowi, jaki pozostawił za sobą statek.

Wówczas dopiero odezwał się Slnoor: — Byliście poza Lankhmarem. Czy wiadomo wam, że to nie pierwsza flota wioząca zboże w podarunku Movarłowi?

Myszak twierdząco kiwnął głową.

— Mówiono nam, że wcześniej była inna. W jakiś sposób zaginęła — przypuszczam, że w czasie sztormu. Glipekrio to trochę bagatelizował.

— Były dwie — Slnoor dodał zwięźle. — Obie zaginęły. Nie pozostawiając żadnego śladu. Nie było żadnego sztormu.

— W takim razie, co innego mogło być przyczyną? — spytał Fafhrd, rozglądając się naokoło, podczas gdy szczury za — chrobotwały cicho. — Piraci?

— Movarl już dawno pognał ich na wschód, a każdej z tych flot strzegła galera — podobnie jak naszą. I każda wypłynęła podczas sprzyjającej pogody, gnana pomyślnym wiatrem — Slinoor uśmiechnął się niemrawo. — Niewątpliwie Glipekero nie powiedział wam o tym w obawie, byście nie zrezygnowali. My żeglarze i obywatele Lankhamru podporządkowujemy się z poczucia obowiązku i dla honoru naszego Miasta, ale ostatnio Glipekero miał kłopoty z zatrudnieniem takiego typu ludzi jak wy. Ma tęgą głowę ten nasz Pan, oj ma, ale głównie zaprzęta ją sobie marzeniami o odwiedzeniu innych światowych baniek i podróżowaniu w ogromnym dzwonie nurkującym lub podwodnym statku. Sam siedzi tymczasem w otoczeniu dziewcząt, patrząc na popisy tresowanych szczurów oraz przekupuje złotem wrogów Lankhmaru i płaci coraz bardziej niecierpliwym przyjaciółom Lankhmaru zbożem, a nie zbrojną pomocą.

Slinoor chrząknął i kontynuował dalej: — Wiecie, Movarl traci powoli cierpliwość. Odgraża się, że jeśli zboże nie nadejdzie, wezwie patrole pirackie sprzymierzone z Mingolami i pośle je do Lankhmaru.

— Ludzie z Północy sprzymierzeni z Mingolami? — zaprotestował Fafhrd — Niemożliwe!

Slinoor przyjrzał mu się.

— Powiem tylko tyle, żywiący się lodem człowieku z Północy, że gdybym nie wierzył w możliwość takiego przymierza i wynikającego stąd dla Lankhmaru ogromnego niebezpieczeństwa — nigdy nie wypłynąłbym z tą flotą. Na mój honor i obowiązek — nigdy!

To samo dotyczy Lukeena, który dowodzi galerą. Myślę, że w przeciwnym wypadku Glipekero nie wysłałby do Kvarch Nar

swoich szlachetnie urodzonych i wykształconych szczurów — ani delikatnej Hisvet.

Fafhrd warknął z niedowierzaniem: — Mówisz, że obie floty zaginęły bez śladu?

Slinoor pokręcił głową przecząco.

— Pierwsza tak — co do drugiej, jakieś jej szczątki widział pewien handlarz z Ilthmaru związany z Lankhmarem. Jedynie pokład jednego statku wiozącego zboże. Kadłub miał cały oderwany jakby odłupany. W jaki sposób i przez kogo — tego nie śmiał nawet zgadywać. Do połamanego kawałka relingu przywiązany był kapitan statku, z twarzą całą oskubaną, a ciałem ogryzionym.

— Przez rybę? — zapytał Myszak.

— Przez ptaki morskie? — zgadywał Fafhrd.

— Przez smoki? — zasugerował trzeci głos, wysoki, zadyszany, rozbawiony jak u małej dziewczynki. Wszyscy trzej odwrócili się.

Panienska Hisvet wzrostem dorównywała Myszakowi, ale sądząc po jej twarzy, nadgarstkach i kostkach u nóg, była znacznie szczuplejsza. Twarz miała bardzo delikatną, o spiczastym podbródku i małej buzi z górną wargą podniesioną do góry na tyle, że można było zobaczyć podwójną linię perłowych zębów. Cera przybrała kolor jasnokremowy za wyjątkiem dwóch punkcików o ciemniejszym zabarwieniu widocznych wysoko na policzkach. Proste, śnieżnobiałe włosy, opadające nisko na czoło, nosiła zaczesane do tyłu i ściągała je srebrnym pierścieniem na wysokości szyi, skąd luźno opadały na plecy, przypominając ogon jednoroźca. Oczy miała porcelanowobiałe za wyjątkiem ciemnoróżowych tęczywek wokół dużych czarnych źrenic. Ciało jej opasywała luźna tunika z fioletowego jedwabiu i tylko wiatr zarysowywał płaską linię jej

dziewczęcej figury. Głowę przykrywał fioletowy kaptur, zsunięty tylko do połowy. Rękawy miały kształt bufiasty, ale zwężały się i przylegały ściśle do nadgarstków. Stąpała bosą, ale skóra jej stóp była koloru kremowego jak na twarzy, za wyjątkiem różowego odcienia na palcach.

— Szeptaliście o flotach, które zaginęły — zaczęła tonem nieco oskarżycielskim. — Wstyd panie Slinoor. Musimy wszyscy okazać odwagę.

— Zawsze — zgodził się Fafhrd. — Nawet smoki nie powinny przestraszyć dzielnego mężczyzny. Często przyglądałem się potworom wodnym — grzebieniastym, rogatym, a nawet o dwóch głowach — bawiącym się w falach otwartego oceanu i baraszkującym pomiędzy skałami nazwanymi przez żeglarzy Szponami. Nie należało się ich bać, pod warunkiem że zawsze pamiętało się, aby utkwic w nich rozkazujący wzrok. Tymczasem one figlowały beztrąsko. Smok-samiec gonił samice i wydawał z siebie... — W tym momencie Fafhrd zaczerpnął głęboki oddech i zawył tak głośno i z takim zawrotem głowy, że aż dwaj sternicy podskoczyli z miejsca: — Hoongk! Hoongk!

— Wstyd, szermierzu Fafhrdzie — powiedziała zmieszana Hisvet, a rumieniec pokrył jej policzki i czoło. — Jesteś nadzwyczaj niedelikatny. Płec smoków...

Przerywając jej, Slinoor rzucił się na Fafhrda, chwycił go za przegub i krzyknął: — Spokój! Ty głupia bestio! Czy nie wiesz, że dzisiaj w nocy przy księżycu będziemy przepływali obok Smoczycich Skał? Jeszcze sprowadzisz na nas te potwory!

— W Wewnętrznym Morzu nie ma żadnych smoków — śmiejąc się zapewniał go Fafhrd.

— Ale jest coś, co rozbija statki — obstawał przy swoim Slinoor.

Korzystając z tej gwałtownej wymiany słów, Myszak przybliżył się do Hisvet, po drodze trzy razy schylając się w pokłonie.

— Brakowało nam twego towarzystwa na pokładzie, panienko — odezwał się przymilnie.

— Niestety panie, słońce mnie nie lubi — odpowiedziała równie miło. — Teraz, gdy gotowe jest zachodzić, promienie jego są złagodzone. Wtedy też — dodała opanowując drżenie — ci gruboskórni żeglarze... — w tym miejscu przerwała, gdyż spostrzegła, że Fafhrd i kapitan „Kałamarnicy” przestali się klócić, odwracając się ku niej.

— Och, nie was miałam na myśli, drogi panie Slinoor — zapewniła go, wyciągając rękę i niemal dotykając jego czarnej szaty.

— Czy panienka miałaby ochotę na czarną śliwkę z Sarheenmanu, ogrzaną słońcem, oziębioną wiatrem? — zaproponował Myszak, delikatnie rysując w powietrzu jakiś kształt Kocim Pazurem.

— Sama nie wiem — odrzekła Hisvet, wpatrując się w ostrze sztyletu. — Muszę pomyśleć o zniesieniu Białych Cieni na dół, zanim nadejdzie chłodny wieczór.

— Racja — przytaknął Fafhrd z przymilnym uśmiechem, gdy uświadomił sobie, że miała przecież na myśli białe szczury.

— Było to bardzo mądre z twojej strony, mała panienko, że pozwoliłaś im spędzić cały dzień na pokładzie, gdzie z pewnością nie tęsknią tak bardzo za figlowaniem z Czarnymi Cieniami. Oczywiście myślę tutaj o ich bardziej pospolitych czarnych braciach żyjących na wolności i szczupłych czarujących siostrach, z pewnością kryjących się to tu, to tam pod pokładem.

— Na moim statku nie ma żadnych szczurów — natychmiast zapewnił Slinoor, wypowiadając to głośno i gniewnie. — Czy

śmiesz sugerować, że prowadzę szcurzy burdel?

Wybacz, panienko — dodał szybko w stronę Hisvet — to znaczy, nie ma żadnych pospolitych szcurów na pokładzie „Kałamarnicy”.

— W takim razie twój statek jest pierwszym statkiem zbożowym, który spotyka takie szczęście — odparł Fafhrd z nutą pobłażania w głosie.

Jaskrawoczerwona tarcza słońca pochyliła się na wschodzie ku morzu i stała się płaska jak mandarynka. Hisvet plecami oparła się o reling rufowy pod rumplem. Po jej prawej stronie stał Fafhrd, a po lewej Myszak, a tuż nad nimi, obok srebrnej klatki wisiały śliwki. Slinoor gwałtownie ruszył przed siebie, chcąc pogadać ze sternikiem lub tylko udać, że z nim rozmawia.

— Teraz miałabym ochotę na śliwkę, nożowniku Myszaku — miękko odezwała się Hisvet.

A gdy tylko Myszak odwrócił się gorliwie i delikatnie obmacywał worek, próbując znaleźć najbardziej miękki owoc, Hisvet podniosła prawą rękę i nawet nie rzuciwszy jednego spojrzenia na Fafhrda, powoli przesunęła dłonią po jego torsie. Zatrzymała ją po drugiej stronie jego piersi i chwyciwszy pełną garść włosów wykręciła je gwałtownie, aby potem znowu łagodnie musnąć palcami ich gąszcz.

Jej dłoń powróciła na miejsce akurat w momencie, kiedy Myszak odwrócił się. Zdjęła czarny owoc z ostrza sztyletu, na którym specjalnie jej go podał. Wessała się delikatnie w przekłute miejsce pozostawione przez Koci Pazur i wzdrygnęła się.

— A fe, Panie — wyduła wargi — powiedziałaś, że będzie ciepła od słońca, a to nieprawda. Wszystko stało się chłodne z nastaniem wieczoru.

Rozejrzała się zatroskana wokół siebie.

— Dlaczego szermierz Fafhrd ma gęsią skórkę? — zauważyła i wnet zaczerwieniła się, dotykając z wyrzutem swoich warg.

— Zapnij swoją kurtkę, panie, to uchroni cię przed katarem i może także przed dalszym zakłopotaniem dziewczyny, nie — przyzwyczajonej do widoku męskiego ciała.

— Proszę, ta będzie smaczniejsza — zawołał Myszak.

Hisvet uśmiechnęła się do niego i rzuciła w jego kierunku poprzednią śliwkę. On zaś wyrzucił ją za burtę i podał jej drugą. Złapała ją zgrabnie, lekko ścisnęła, dotknęła swoich warg, przecząco potrząsnęła głową i nadal uśmiechając się odrzuciła mu ją z powrotem.

Myszak, także łagodnie się uśmiechając, złapał ją, upuścił za burtę i rzucił jej następną. Przez jakiś czas kontynuowali tę zabawę. Rekin, który podążał w ślad za „Kałamarnicą”, dostał chyba z tego powodu rozstroju żołądka. Wzdłuż relingu na prawej burcie posuwał się ku nim czarny kot, ze wzrokiem utkwionym w przeciwnej burcie. Fafhrd w oka mgnieniu pochwycił go, tak jak dobry generał korzysta ze sposobności w ogniu bitwy.

— Czy widziałaś pokładowego kociaka, mała panienko? — zawołał posuwając się z kociakiem niemal — ukrytym w jego wielkich dłoniach — ku Hisvet. — A może raczej nazwać „Kałamarnicę” kociakowym statkiem, jako że to on sam ją wybrał, wskakując na pokład w momencie, gdy wypływaliśmy? Proszę, panienko. Patrz, jaki nagrзany przez słońce, cieplejszy niż jakakolwiek śliwka — mówiąc to wyciągnął ku niej rękę z kociakiem na dłoni.

Ale Fafhrd zapomniał o nastawieniu kota, któremu włosy stanęły dęba na widok szczurów, a teraz, gdy Hisvet odsłaniając

w uśmiechu swe górne zęby rzekła: — Mała biedna przybłąda — zasyczał dziko i wyciągnął się na sztywnych łapach i rozczapierzonych pazurach.

Hisvet cofnęła wyciągniętą ku niemu rękę z przerażeniem. Zanim Fafhrd zdążył upuścić kota lub odrzucić go w bok, kot skoczył mu na czubek głowy, a stamtąd na najwyższy punkt na rumplu.

Myszak rzucił się w kierunku Hisvet, wrzeszcząc w tym czasie na Fafhrda: — Głupku! Prostaku! Wiedziałeś, że to półdzika bestia! — A potem zwracając się do Hisvet: — Pani, czy nie jesteś ranna?

Fafhrd ze złością uderzył kota. Jeden ze sterników też odwrócił się, chcąc dać kotu lanie, prawdopodobnie dlatego, że za niewłaściwe uważał przebywanie kota na rumplu. Wtedy kot wykonał bardzo długi skok na prawą stronę burty, prześliznął się nad nią i trzymając się burty pazurami, zawisł nad falującą wodą. Hisvet trzymała rękę daleko od Myszaka, który nalegał: — Pani, lepiej pozwól miją zobaczyć. Nawet najdrobniejsze zadrażnienie przez brudnego pokładowego kota może okazać się niebezpieczne.

Odpowiedziała niemal zalotnie: — Nie, nożowniku, mówię ci, to nic.

Fafhrd dużymi krokami poszedł w stronę relingu na prawej burcie, mając szczyry zamiar strzepnąć kota za burtę, ale gdy dotarł na miejsce, zamiast tego chwycił go ręką od tyłu i umieścił z powrotem na relingu. Wówczas kot wbił mu swe zęby głęboko w miejsce tuż pod kciukiem, po czym uciekł na maszt. Fafhrd z trudem opanował okropny jęk. Slinoor zaśmiał się.

— Tym niemniej obejrzę twoją rękę — rzekł Myszak chytrze i siłą podniósł rękę Hisvet.

Przez moment pozwoliła mu ją trzymać, ale później wyrwała ją i prostując się oznajmiła chłodno: — Nożowniku, zapominasz się. Nawet osobisty lekarz nie dotyka Pani Lankhmaru, on tylko dotyka ciała służącej, na którym Pani wskazuje bolesne miejsce i symptomy bólu.

Zostaw mnie, nożowniku.

Rozdrażniony Myszak stał odwrócony tyłem do rufowego relingu. Fafhrd lizał ranę na swym kciuku. Hisvet podeszła do Myszaka i stanęła przy nim. Nie patrząc na niego, rzekła łagodnie: — Powinieneś poprosić mnie o wezwanie mej służącej. Ona jest całkiem ładna.

Na horyzoncie pozostał już tylko skrawek czerwonego słońca. Slinoor skierował się w stronę bocianiego gniazda.

— Co z czarnym żaglem, chłopcze?

— Utrzymuje odległość, panie — doleciała odpowiedź z góry.
— Płynie równo z nami.

Słońce schowało się, pozostawiając słaby, zielonkawy odblask. Hisvet odrzuciła głowę w bok i pocałowała Myszaka w szyję, tuż pod uchem. Jej język łaskotał.

— Teraz tracę go z oczu, panie — krzyknął głos z bocianiego gniazda. — Na północym– zachodzie rozciąga się mgła, a na północnym–wschodzie... mała chmura... jak czarny statek upstrzony światłem poruszającym w powietrzu. A teraz i to znika. Wszystko znikło, kapitanie.

Hisvet wyprostowała głowę Slinoor zbliżył się do rozmawiających mamrocząc — To bocianie gniazdo za dużo widzi.

Dziewczyna wzdrygnęła się.

— Białe Cienie zaziębią się. One są bardzo delikatne. Pani, jesteś Ekstazą Białych Ciem westchnął Myszak, a potem

spokojnie podszedł do srebrnych klatek, głośno krzycząc, tak aby jego słowa dotarły do Sliinoora.

— Może dostąpilibyśmy przywileju oglądnięcia ich występu, pani. Jutro, tutaj — na rufie?

Byłoby to bardzo pouczające oglądać ciebie kierującą nimi.

Następnie uczynił ruch, jakby pieścił powietrze otaczające klatkę i powiedział kłamiąc wierutnie: — Oj, co za przystojni goście’

W rzeczywistości wypatrywał małych włóczni i mieczy, o których wspomniał. Sliinoor Dwanaście szczurów spoglądało na mego bez zainteresowania Jeden nawet chyba ziewnął Na jego propozycję zareagował Slmoor — Jestem przeciwny temu, pani Marynarze wściekle boją się i nienawidzą szczurów Lepiej byłoby ich nie złościć.

— Ale one są arystokratami — sprzeciwił się Myszak, podczas gdy Hisvet powtórzyła tylko: One się przeziębą.

Słyszając to Fafhrd pospiesznie podszedł do Hisvet odzywając się w te słowa: — Panienko, czy mogę zanieść je pod pokład? Będę ostrożny jak siostra Kleshite.

Na kciuku i trzecim palcu umosł klatkę z dwoma szczurami w środku Hisvet wynagrodziła mu to uśmiechem mówiąc: — Bardzo bym chciała, abyś podołał, szlachetny szermierzu. Zwykli żeglarze postępują z nimi zbyt szorstko. Jednak bezpiecznie możesz przenieść tylko dwie klatki. Będzie ci potrzebna jakaś pomoc? Rzuciła znaczące spojrzenie w stronę Myszaka i Sliinoora.

Obaj ostrożnie podnieśli po jednej srebrnej klatce, Fdfhrd zaś dwie i udali się za Hisvet do jej kabiny umiejscowionej pod pokładem rufowym. Myszak nie mógł się powstrzymać, aby nie szepnąć w sekrecie Fafhrdowi.

— Uf, żeby zrobić z nas opiekunki szczurów! Oby cię ugryzł teraz dla odmiany szczur, tak jak wcześniej kot!

Przy drzwiach klatki odebrała czarna pokojówka Hisvet, Frix, a sama Hisvet podziękowała swoim galantom, po czym zamknęła im drzwi przed nosem.

Nad wodą zapanowała ciemność. Zapalono żółtą latarnię i wywieszono ją na bocianim gnieździe Czarna wojenna galera „Rekin” zwinąwszy na jakiś czas swój brązowy żagiel — zawróciła, żeby dać znak „Małżowi” płynącemu przed „Kałamarnicą”, aby nie ociągał się z wywieszeniem światła na szczycie masztu, a następnie wpłynęła tuz za „Kałamarnicę”. Z ciemności dochodziły podniesione głosy Lukeena i SImoora dyskutujących na temat czarnego żagla, mgły, małych czarnych chmur kształtem przypominających statek i Smoczych Skał. Na koniec „Rekin” wysunął się do przodu, aby ponownie objąć prowadzenie kolumny, niosąc na pokładzie lankhmarskich żołnierzy przyodzianych w brązowe stalowe kolczugi. Na niebie zabłysła pierwsza gwiazda, dowód na to, że nie opuściła ich przez morze wieczności dla jakiejś innej łajby, ale znów płynie tak jak powinna na wschód po oceanie nieba a wędrowne promienie oświetlają jej drogę gwiazdnymi klejnotami.

Tej nocy, gdy księżyc już był na niebie, Fafhrd i Myszak, każdy z osobna, starali się znaleźć sposobność zastukania do drzwi Hisvet, ale niestety żadnemu z nich nie udało się tym czynem wiele osiągnąć. Gdy zapukał Fafhrd sama Hisvet otworzyła małe okratowane okienko, znajdujące się w drzwiach i słodko powiedziała: — Wstyd, co za wstyd, szermierzu!

Czy nie widzisz, że się właśnie rozbieram — po czym szybko je zatrzasnęła. Natomiast, gdy Myszak słodko poprosił o chwilę z Ekstazą Białych Cieni, w okienku ukazała się wesółą twarz

czarnej pokojówki, Fnx, która rzekła: — Moja pani prosi o przekazanie w jej imieniu całusa na dłoni. — Co też zaraz uczyniła i zamknęła zakratowane okienko.

Śledzący go Fafhrd powitał zawstydzonego Myszaka sardonicznym epitetem: — Ekstaza Białych Ciemni.

— Mała panienko — odparował jadowicie Myszak.

— Czarna śliwko Sarheenman!

— Sioostro Kleshite!

Tej nocy żaden z bohaterów nie spał spokojnie. Dodatkowo przez dwie trzecie nocy w równych odstępach czasu odzywał się na „Kałamarnicy” gong, któremu odpowiadały gongi innych statków. Kiedy o pierwszym brzasku obaj pojawili się na pokładzie, „Kałamarnica” przedzierała się przez mgłę zasłaniającą czubek żagla. Dwaj sternicy rozglądali się nerwowo dookoła, jakby spodziewając się nadejścia duchów. Żagiel zwisał luźno. Slinoor, z oczami podkrążonymi ze zmęczenia i powiększonymi ze zdenerwowania, wyjaśnił zwięźle, że mgła nie tylko opóźniła, ale i rozproszyła całą flotę.

— To „Tuńczyk” płynie przed nami. Poznają go po brzmieniu gongu. A przed „Tuńczykiem” — „Karp”. A gdzie „Małż”? Co się stało z „Rekinem”? I z pewnością nie minęliśmy Smoczycich Skał! Nie żebym chciał je zobaczyć!

— Czyż niektórzy kapitanowie nie nazywają ich Szczurzymi Skałami? — przerwał mu Fafhrd. — Od kolonii szczurów, która tam pojawiła się na wraku.

— W rzeczy samej — potwierdził Slinoor, uśmiechając się kwaśno do Fafhrda. — Nie najlepszy dzień na pokaz szczurów na pokładzie, nieprawdaż? — dodał — Choć tyle dobrego z tej mgły! Nie mogę znieść tych białych brutali. Chociaż jest ich dwanaście, aż nazbyt przypominają mi „Trzynastkę”. Czy kiedykolwiek

słyszałeś legendę o „Trzynastce”?

— Tak — odpowiedział poważnie Fafhrd. — Kiedyś mądra kobieta z Zimnej Pustyni powiedziała mi, że każdy rodzaj zwierząt — wilki, nietoperze, wieloryby, a odnosi się to do wszystkich osobników i każdego z osobna — ma trzynastu przedstawicieli, którzy cechują się prawie ludzką mądrością i umiejętnościami. Jeśli uda ci się kiedyś odnaleźć i wyszkolić ten wewnętrzny krąg — tak mówiła ta mądra kobieta — wtedy przy ich pomocy będziesz mógł sprawować władzę nad wszystkimi osobnikami tego gatunku.

Shnoor przyjrzał się uważnie Fafhrdowi i rzekł: — Ona nie była wcale taką głupią kobietą.

Myszak zastanawiał się, czy wśród ludzi też można znaleźć taki wewnętrzny krąg trzynastu.

Spośród mgły wyłonił się kot i posuwał się w ich kierunku niczym duch. Miaucząc przeciągle, skierował się ku Fafhrdowi, ale nagle zawahał się i spojrzał na niego podejrzliwie.

— Weź koty, na ten przykład — z grymasem ciągnął Fafhrd — Obecnie gdzieś w Newhon, być może rozrzucone, ale najprawdopodobniej w jednym miejscu, znajduje się trzynaście kotów o nadkociej mądrości, w jakiś sposób wyczuwających i kontrolujących losy całego kociego narodu.

— A co teraz ten tutaj wyczuwa? — delikatnie zapytał Slioor.

Nagle wychudłe ciało kociaka zeszywniało, a włosy stanęły mu dęba na grzbiecie i puszystym ogonie „HOONGK!”

Shnoor obrócił się w stronę Fafhrda chcąc go zwymyślać, gdy tymczasem ujrzał tego człowieka z Północy z zamkniętymi ustami i przerażeniem w oczach.

Po lewej stronie burty zza mgły wychyliła się zielona głowa węża, wielka jak u konia, z wystającymi białymi siekaczami,

zasłaniającymi otwartą, czerwoną paszczę. Z przerażającą zręcznością rzuciła się do przodu, mijając jednak Fafhrda i pokazując niekończącą się długą szyję. Jej dolna szczęka sunęła po pokładzie i w końcu białe siekacze zwarły się na czarnym kocie.

Właściwie to w miejscu, gdzie przed chwilą był kot. Bo w tym momencie wydawało się, że nie tyle podskoczył, co wręcz uniósł się na ogonie, aż do relingu na prawej burcie i w tej samej niemal chwili rozpląnął się we mgle, wskoczywszy najwyżej w trzech susach na sam czubek masztu.

Dwaj sternicy rzucili się przed siebie. Slinoor i Myszak skoczyli na reling, gdzie zwisający nad nimi rumpel dawał pewne poczucie bezpieczeństwa przed potworem. A ten tymczasem uniósł swoją koszmarną głowę i wywijał nią w ich kierunku, za każdym razem zaledwie o kilka centymetrów mijając Fafhrda. Najwidoczniej poszukiwał czarnego kota lub czegoś w tym rodzaju.

Fafhrd zamarł, na początku zaszokowany, potem przerażony na samą myśl, że jakąkolwiek częścią ciała by poruszył, zaraz ją utraci. Jednakże gotów był skoczyć w tym samym kierunku, co kot, także z powodu obrzydliwego smrodu, jaki wydzielał potwor. Nagle zza mgły wyłoniła się druga zielona głowa potwora, cztery razy większa od tej pierwszej, z zębami jak bułat. Na jej czubku władczo siedział człowiek przyodziany był w pomarańcz i purpurę niczym władca Ziem Wschodnich, na nogach miał czerwone buty, a na głowie czapkę i hełm z niebieskim, zrobionym ze szkła, okienkiem.

W grotesce osiąga się taki moment, po którym nie ma już mowy o przerażeniu, natomiast wpada się w szal. Fafhrd osiągnął taki właśnie moment. Ogarnęło go uczucie

narkotycznego snu. Wszystko dookoła było niezaprzeczalnie prawdziwe, ale utraciło już moc wywoływania uczucia strachu.

Jako jeden z najdziwniejszych detali zauważył, że obie te zielonokawozółte szyje rozgałęziają się ze wspólnego pnia. Poza tym ten pstrokato odziany mężczyzna, usadowiony na dużej głowie, robił wrażenie bardzo pewnego siebie, co mogło być dobrym znakiem albo i nie. W tym momencie okładał on tę mniejszą głowę, prawdopodobnie za karę, trzymanym w ręku tępo zakończonym i zakrzywionym pogrzebaczem, i wrzeszczał na cały głos spod lub przez ten niebiesko-czerwony hełm cos, co brzmiało jak *Gottverdammter Ungeheuer* {przeklęty potwór — niemiecki jest językiem zupełnie nieznanym w Newhon}!

Mniejsza głowa skuliła się i zapłakała niczym siedemnaście szczeniaków. Demoniczny człowiek wydobył małą książeczkę i zawołał z góry z silnym akcentem, w łamanym języku lankhmarskim.

— Co to za świat, przyjacielu?

Fafhrd nigdy nie słyszał nikogo zadającego takie pytanie, nawet pijaka na silnym kacu.

Tym niemniej tkwiąc w narkotycznym nastroju, odpowiedział dosyć łatwo: — Kraina Newhon lub kraina czarów!

— *Got sei dank* {dzięki Bogu}! — zaszwargotał ten diabeł w ludzkiej postaci.

Fafhrd rzucił pytanie:

— A z jakiego świata ty przybywasz?

Zdało się, że to pytanie zbiło go z tropu. Po szybkim przejrzeniu swej książeczki odparł: — Czy wiesz cos o innych światach? Czyż nie wierzysz, że gwiazdy są ogromnymi klejnotami?

Na co Fafhrd odrzekł mu:

— Każdy głupi widzi, że te światła na niebie to klejnoty, ale my nie jesteśmy przecież prostaczkami, my znamy inne światy. Lankhmarowie myślą, że ich świat jest bańką w nieskończonej przestrzeni wód. Ja, natomiast, wierzę, że żyjemy w czaszce nieżywego boga, której sklepienie wysadzone jest klejnotami. Ale wątpliwe, czy istnieją jeszcze jakieś inne czaszki, bo wszechświat wszechświatów to po prostu wielkie złodowaciele pole bitwy.

„Kałamarnica” zanurzyła się z lekkim pacnięciem, co zakołysało rumplem, który uderzył mniejszą głowę, wybijając jej wszystkie zęby.

— Powiedz temu czarownikowi, aby oddalił go! — zawołał Slinoor, cały skurczony.

Człowiek — demon szybko przekartkował następne strony i zawołał z góry: — Nie martw się! Bestia zdaje się lubować jedynie w szczurach. Pojmałem ją przy małej skalistej wysepce, gdzie żyje ogromna ilość szczurów. Przeklęta bestia! Pewnie pomyliła się i wzięła waszego pokładowego kota za szczura.

Nadal poddany nastrojowi narkotycznej swobody, Fafhrd zawołał: — Och, czarowniku! Czy chcesz przemienić bestię w swój własny świat — czaszkę czy też w świat-bańkę?

Wydawało się, że tym pytaniem Fafhrd okropnie go zmieszał i podekscytował zarazem.

Człowiek — demon gotów był przypuszczać, że Fafhrd czyta w jego myślach. Jeszcze raz nerwowo przerzuciwszy kartki wyjaśnił, że przybywa ze świata zwanego po prostu „JUTRO”, że zwiedził już wiele światów, bowiem kolekcjonuje potwory dla jednego muzeum czy ZOO, co w jego szwargocie brzmiało: *Hagenbeck's Zeitgarten* {ogród zoologiczny}. W czasie tej ekspedycji szukał zaś potwora, będącego w miarę wiarygodną kopią całkiem mitycznego sześciogłowego potwora morskiego,

który pożerał ludzi z pokładów statków, a przez starożytnego autora, Homera, nazwanego Scyllą.

— Nigdy w Lankhmarze nie było poety zwanego Homerem — wymamrotał Myszak, nie mając chyba najmniejszego pojęcia o tym, co działo się naokoło.

— Wątpliwe, aby był skrybą Quarmallu lub Wschodnich Krain — potwierdził wypowiedź

Myszaka Slinoor. Myszakowi wydawało się, że już nie boi się tak tych głów, a poza tym ogarnęła go zazdrość, że to Fafhrd stanowi centrum zainteresowania. Dlatego wskoczył na szczyt reling i zawołał: — Czarowniku, jakim zaklęciem zwabisz swą małą Scyllę z powrotem... przepraszam, raczej powinienem powiedzieć, do przodu, do swej bańki „Jutro”? Sam trochę znam się na czarach! Precz, robactwo!

Ostatnią uwagę rzucił z gestem pańskiego potępienia w kierunku mniejszej głowy, która zaciekawiona zbliżyła się do niego. Slinoor chwycił Myszaka za kostkę. Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, człowiek — demon klepnął bok swego hełmu tak, jakby zapomniał o czymś bardzo ważnym. Pośpiesznie zaczął wyjaśniać, że swoje podróże między światami odbywa na powietrznym wehikule czasu, cokolwiek miało to oznaczać, który porusza się tuż nad wodą: „taki czarny statek z małymi światłami i masztami” — i że ten statek wczoraj oddalił się od niego w czasie mgły, gdy był zajęty poskramianiem nowo pojmanego potwora morskiego. Od tego czasu człowiek — demon, poruszając się na oswojonym potworze, bezskutecznie poszukuje swego zaginionego pojazdu.

Obraz ten obudził pamięć Slinoora, który zdołał zebrać myśli i głośno wyjaśnić, że przecież podczas ostatniego zachodu słońca, chłopiec z bocianiego gniazda „Kałamarnicy” zauważył, jak taki

statek płynął lub leciał na północny-wschód.

Z ust człowieka — demona popłynęły obfite słowa podziękowań i po gruntownym przepytaniu Slinoora oświadczył — raczej z ulgą dla każdego — że jest już gotowy z nową nadzieją skierować swoje poszukiwania w tym kierunku. Na pożegnanie zaś rzekł: — Prawdopodobnie nigdy nie będę miał okazji odpłacić się wam za waszą grzeczność, ale przynajmniej podczas swoich wojaży po wodach wieczności woźcie ze sobą moje imię: Karl Treuherz z Hagenbecku.

Spod pokładu rozmowom tym przysłuchiwała się Hisvet. Właśnie w tym momencie zdecydowała się wejść na małą drabinę, prowadzącą prosto na rufę. Miała na sobie gronostajowy płaszcz z kapturem chroniącym przed zimną mgłą.

Gdy tylko jej srebrne włosy ukazały się ponad poziomem pokładu i zajaśniała jej piękna twarz, w kierunku tym z szybkością atakującego węża rzuciła się mniejsza głowa potwora.

Hisvet upadła, a drewniany pokład aż zadrżał.

Widząc to, Karl Treuherz — znikający już we mgle wraz z większą głową (tą o łagodniejszym spojrzeniu) — zaszwargotał po swojemu. Dodatkowo zaczął niemiłosiernie okładać mniejszą głowę, aż zmusił ją do odwrotu.

Kilka minut później sylwetka dwugłowego potwora i jego pomarańczowo — purpurowego poganiacza ledwo już malowała się na horyzoncie, niknąc w coraz gęstszej mgle. Słysząc było jeszcze szwargotanie człowieka–demon, który przesyłał słowa przeprosin i pożegnania: — *Es tut mir sehr leid! Aber danke schoen, danke Schoen* {*Tak mi przykro. Ale dziękuję, dziękuję bardzo*}! — Wraz z ostatnim łagodnym „*Hoongk*”, człowiek–demon i dwugłowy potwór zniknęli we mgle.

Fafhrd i Myszak znaleźli się szybko u boku Hisvet i pochylili

się nad rozłupanym relingiem. Jednak ich troska spotkała się z pogardliwym wyrzutem dziewczyny. Sama podniosła się z pokładu, delikatnie pocierając biodro i kuśtykając przez kilka kroków.

— Nie ważcie się do mnie zbliżać, kuchciki — przywitała ich. — To prawdziwy wstyd, by panienska sama musiała się ratować przed zębatym zagrożeniem, padając bezładnie jak kłoda na tę część ciała, którą wstydziłabym się wskazać nawet na Frix. Żaden z was, dostojni rycerze, nie pospieszył z pomocą. W przeciwnym wypadku, głowy tych potworów leżałyby martwe na pokładzie. Wstyd! Wstyd!

W międzyczasie, niebo pojaśniało od zachodu i powiał stamtąd świeższy wiatr. Slinoor skoczył do przodu i wrzasnął do bosmana, aby z pokładu dziobowego pogonił tych żeglarzy, którzy trzęśli portkami przed potworem, zanim jeszcze rzeczywiście „Kałamarnica” popadnie w tarapaty.

Choć niebezpieczeństwo na razie nie zagrażało, Myszak stanął czujnie koło rumpla, a Fafhrd spojrział na główny maszt. Slinoor, wraz z kilkunastoma marynarzami, pobiegł z powrotem w kierunku rufy i z krzykiem skoczył na reling rufowy.

Krawędź mgły z wolna przesuwiała się na wschód. Połacie czystej wody rozciągały się aż po zachodni horyzont. W odległości dwóch strzałów z łuku, na północ od „Kałamarnicy”, zza białej ściany mgły wyłoniły się, bez żadnego uporządkowania, wojenna galera „Rekin” oraz statki zbożowe: „Tuńczyk”, „Karp” i „Wargacz”. Galera kierowała się prosto na „Kałamarnicę”, popędzana usilną pracą wioślarzy.

Jednak Slinoor patrzył bardziej na południe. Tam, ledwie na odległość jednego strzału, płynęły dwa statki: jeden wyraźnie widoczny, drugi do połowy zanurzony we mgle. Ten pierwszy,

„Małż”, tonął od przodu, ale górna część burty statku znajdowała się jeszcze nad powierzchnią wody. Jego grotzagiel, dziwnie uniesiony, malował się brązowym śladem na wodzie. Pusty górny pokład, dziwacznie wygięty w łuk, sterczał do góry. Tym drugim, przesłoniętym mgłą statkiem, był czarny kuter z czarnym masztem.

Pomiędzy statkami, od strony „Małża”, kłębiła się ogromna ilość małych, ciemnych fal.

Fafhrd podszedł do Slinoora, który bez spoglądania w tył rzucił przed siebie: — Szczury! — Fafhrd uniósł brwi.

Za chwilę Myszak przyłączył się do nich mówiąc: — „Małż” jest przedziurawiony. Zboże pęcznieje od wody i wypycha w ten sposób pokład.

Slinoor zgodził się z tym i potakując głową, wskazał na kuter. Z tej odległości z ledwością można było zobaczyć małe stworzenia, chyba szczury, jak z wody wdrapują się na pokład.

— To one wygryzły dziury w „Małżu” — powiedział Slinoor, a następnie wskazał na miejsce pomiędzy statkami, bliżej kutra. Wśród czarnych fal jedna wyraźnie się odróżniała białym kolorem. Nieco później, gdy stworzenia dotarły do kutra, to białe stało się lepiej widoczne na tle czarnej burty.

Dał się słyszeć głuchy odgłos pęknięcia i wygięty pokład „Małża” eksplodował, a dookoła chlusnęły brązowe strugi mazi.

— Zboże — cicho zawołał Slinoor.

— Teraz już wiecie, co rozrywa statki — dodał Myszak.

Czarny kuter przesuwał się na wschód i stawał się coraz mniej widoczny, zanurzając się w odpływającej mgle.

Koło rufy „Kałamarnicy” przepłynęła galera „Rekin” — jej wiosła poruszały się jak nogi skaczącej stonogi. Dochodził z niej wrzaskliwy głos Lukeena: — To była nieczysta sztuczka! „Małża”

podstępnie zwabiono nocą.

Tymczasem czarny kuter wygrał zawody z posuwającą się na wschód mgłą i roztopił się w bieli.

„Małż” zanurzył się, nie zostawiając niemal żadnej zmarszczki na powierzchni wody.

Ciągnięty przez ołowiany kil, znikł w czarnych otchłaniach słonych wód.

Zagrzmiała wojenna trąbka i „Rekin” popłynął za kutrem wprost na jasną ścianę mgły.

Główny maszt „Małża” wyrzeźbił lekką zmarszczkę na falach i również zniknął w odmętach. Wszystko, co pozostało ze statku to wielka, powiększająca się brązowa plama zboża.

Slioor obrócił się — miał zacięty wyraz twarzy — i rzekł do swego pierwszego oficera: — Wejdź do kajuty Hisvet — siłą, jeśli zajdzie taka konieczność — i policz białe szczury!

Fafhrd i Myszak wymienili znaczące spojrzenia.

Trzy godziny później w kabinie Hisvet zebrały się te same cztery osoby oraz Panienska, Frix i Lukeen.

Kajuta ta, choć tak niska, że Fafhrd i Lukeen oraz majtek musieli poruszać się zgięci i siedzieć przygarbieni, była jednak bardzo przestronna jak na statek zbożowy. Teraz była przepełniona po brzegi nie tylko na skutek obecności tak liczного grona, ale i spiętrzonych klatek ze szczurami oraz perfumowanego, owiniętego w srebrny materiał, bagażu Hisvet złożonego na ciemnych meblach Slioor. Stał tam także zamknięty kufer.

Przez trzy okienka na rufie i szczeliny w żaluzjach od strony obydwu burt przenikało do wnętrza przytłumione światło.

Naprzeciw okien, za stołem, siedzieli Slioor i Lukeen. Fafhrd usadowił się na komodzie, a Myszak na stojącej beczulce.

Pomiędzy nimi, jedna na drugiej, stały cztery klatki, których mieszkańcy wydawali się tak samo skupieni na tym, co się dzieje jak ludzie. Myszak nawet bawił się myślą, jakby to wyglądało, gdyby to te białe szczury poddawały próbie ludzi, a nie odwrotnie. Rząd niebieskookich białych szczurów stanowiłby grono najsurowszych sędziów.

Wyobrazil sobie, jak bezlitośnie patrzyłyby z wysoka na małych, płaszcących się Lukeena i Sli-noora, naokoło których przemykaliby paziowie i urzędnicy. Za ludzikami stałby odziany w zbroję szczur, trzymający w łapie niesamowicie kolczastą i ostro zakończoną pikę.

Przy zamkniętych drzwiach stał pochylony oficer, pilnujący, aby nikt ich nie podsłuchiwał.

Panienka Hisvet siedziała huśtając się na koi, z jedną nogą na drugiej, w gronostajowym płaszczu stosownie wetkniętym pod kolana, starając się nadać swej pozie wygląd jak najbardziej dworski i niewzruszony. Od czasu do czasu jej prawa ręka bawiła się czarnymi kręconymi włosami Frix, która siedziała przykucnięta przy jej kolanach.

Przez chwilę było cicho, tylko gdzieś skrzypiały deski i wręgi. Czasami z górnego pokładu dawało się słyszeć szuranie bosych stóp sterników. Nad klapami luków unosił się wszechogarniający zapach zboża, przypominający woń grzanek. Docierał on także poprzez liczne szczeliny w podłodze.

Pierwszy przemówił Lukeen. Był to szczupły mężczyzna, o nieco spadzistych ramionach, mocno umięśniony, wzrostem dorównujący Fafhrdowi. Na prostą czarną tunikę narzucił krótką kolczugę najprzedniejszego gatunku. Jego czarne włosy przytrzymywała czarna szarfa, do której na czole przyczepiony był symbol Lankhmaru — pięcioramienna rozgwiazda z

brązowego żelaza, o zagiętych końcach.

— Skąd wiemy, że „Małż” został uprowadzony? Dwie godziny temu, przed świtem, dwa razy miałem wrażenie, że słyszę dochodzący z oddali odgłos gongu charakterystyczny dla „Rekina”, mimo że wówczas sam stałem obok tego gongu.

Słyszeli to także trzej ludzie z mojej załogi. To było niesamowite. Panowie, dźwięki gongów wojennych galer i statków handlowych Lankhamaru znam lepiej niż głosy własnych dzieci. To, co słyszeliśmy, tak przypominało „Rekina”, że nigdy nawet nie przemknęłoby mi przez myśl, że był to gong innego statku. Skłonny byłem przypuszczać, że to jakieś złowrogie echo lub figiel płatany nam przez nasze zmysły. Dlatego nawet nie pomyślałem, że trzeba cokolwiek zrobić w tej sprawie. Gdybym miał wtedy choć najbardziej mgliste przeczucie...

Lukeen westchnął gorzko, potrząsając głową i ciągnął dalej: — Teraz wiem, że czarny kuter musiał posiadać gong o kształcie pozwalającym dokładnie naśladować dźwięki „Rekina”. Posłużyli się nim, prawdopodobnie także przy pomocy kogoś, kto naśladował mój głos, w celu uprowadzenia „Małża” pod osłoną mgły, na tyle daleko, aby ta horda szczurów, pod dowództwem białego, mogła wykonać swoje zadanie i aby nie było słyhać wrzasków załogi. Musiały wygryźć ze dwadzieścia dziur w dnie „Małża”, że tak prędko napełnił się wodą i ziarno zdążyło napęcznić. Och, te szatany o szpiczastych zębach są dużo bardziej przebiegłe i wytrzymałe niż ludzie.

— Istne szaleństwo na środku morza! — przerywając mu parsknął Fafhrd. — Czyż ludzie krzyczą z powodu szczurów? Szczury opanowują statek i zatapiają go? Szczury dowodzone i pozwalające sobą dyrygować? Przecież to absurd!

— Tak, ty jesteś najbardziej odpowiedni do mówienia o przesądach i rzeczach niemożliwych, Fafhrd — zgryźliwie odparował mu Slinoor. — Nie dalej jak dzisiaj rano rozmawiałeś z zamaskowanym i szwargoczącym diabłem, który ujeżdżał dwugłowego potwora!

Lukeen podniósł oczy na Slinoora. Wtedy po raz pierwszy usłyszał o epizodzie z Hagenbeckiem.

— To dotyczyło podróży pomiędzy światami. Nie ma w tym ani krzty przesądu i rzeczy niemożliwej! — odpowiedział Fafhrd.

Slinoor odparł sceptycznie:

— Podejrzewam, że nie było żadnego przesądu również wtedy, gdy dowiedziałeś się od Mądrej Kobiety o Trzynastce?

Fafhrd roześmiał się.

— Przecież nigdy nie uwierzyłem nawet w jedno słowo z tego, co mi powiedziała. To stara, głupia czarodziejka. Przytoczyłem te nonsensy jedynie jako ciekawostkę.

Slinoor przypatrywał się Fafhrdowi z niedowierzaniem, a potem zwrócił się do Lukeena: — Mów dalej.

— Nie mam dużo więcej do dodania — rzekł ten ostatni. — Widziałem jak ten czarny oddział przepływał z „Małża” do czarnego kutra. Widziałem, tak jak i ty, ich białego dowódcę. — W tym miejscu rzucił spojrzenie na Fafhrda. — Następnie przez dwie godziny bezskutecznie polowaliśmy na czarny kuter, aż wioślarzy chwyciły skurcze. Gdybym go wytropił, to nie wsiadłbym na jego pokład, ale rzuciłbym tam ogień. Trzymałbym te szczury z daleka, rzucałbym płonąca ropę na wodę w razie, gdyby próbowały przejść na inne statki!

Ach, i jeszcze zanosiłbym się od śmiechu widząc, jak ognie pożerają tych fanatycznych morderców!

— W rzeczy samej — rzekł Slinoor, kwitując jego wypowiedź.

— A co, dowódco Lukeen, według twojego osądu, powinniśmy teraz zrobić?

— Zatopić te białe diabły wraz z klatkami — natychmiast odpowiedział Lukeen. — Zanim przystąpią do zgładzenia pozostałych statków. W przeciwnym wypadku nasi żeglarze oszaleją ze strachu.

Wywołało to natychmiastową replikę ze strony Hisvet: — Najpierw będziecie musieli mnie utopić, srebrny dowódco!

— To także nie jest zupełnie niemożliwe — rzekł Lukeen i zaśmiał się nieśmiało.

— Nie ma przeciwko niej nawet skrawka dowodu — wybuchł Fafhrd. — Panienko, ten facet jest szalony!

— Żadnego dowodu?! — wrzasnął Lukeen. — Wczoraj było dwanaście białych szczurów, teraz zostało tylko jedenaście. — Machnął ręką w kierunku klatek i ich niebieskookich, wyniosłych mieszkańców. — Wszyscy je przecież liczyliście. Któż inny jak nie nasza diabelska panienka wysłała białego oficera do dowodzenia gryzoniami o ostrych zębach i zabójcami, którzy zniszczyli „Małża”. Jakich jeszcze trzeba ci dowodów?

— Tak, to prawda — wtrącił Myszak wysokim, wibrującym głosem, który przykuwał uwagę. — Jest to rzeczywiście jakiś dowód, jeśli wczoraj było w tych klatkach dwanaście szczurów. — Potem wtrącił mimochodem, ale wyraźnie: — Przypominam sobie, że było jedenaście.

Slioor gapił się na Mysza w osłupieniu tak, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Kłamiesz! — wykrzyknął. — I, co więcej, kłamiesz bez sensu. Dlaczego? Ty, Fafhrd i ja — wszyscy przecież mówiliśmy, że było dwanaście białych szczurów.

Myszak potrząsnął przecząco głową. — Fafhrd i ja nie

powiedzieliśmy jednego słowa na temat ilości szczurów. To ty mówiłeś, że było ich tuzin — poinformował Slinoor. — Nie dwanaście, ale...tuzin. Założyłem, że podałeś takie określenie jako zaokrągloną liczbę, jako pewne przybliżenie. — Myszak pstryknął palcami. — Teraz pamiętam, że kiedy powiedziałeś „tuzin”, poczułem całkowicie bezpodstawną ciekawość i policzyłem szczury — wyszło mi jedenaście. Ale wydawało mi się to zbyt błahą sprawą, aby o tym dyskutować.

— Nie! Wczoraj było dwanaście szczurów! — Slinoor powiedział to poważnie i z wielkim przekonaniem. — Jesteś w błędzie. Szary Myszaku.

— Uwierzę mojemu przyjacielowi Slinoorowi, nawet jeśli to was byłby tuzin — przyznał

Lukeen.

— Racja. Przyjaciele powinni trzymać się razem — powiedział Myszak z uśmiechem. — Wczoraj policzyłem podarowane przez Glipekera szczury i wyszło mi jedenaście. Kapitanie Slinoor, pamięć każdego człowieka od czasu do czasu może zawieść. Postarajmy się to prześledzić. Dwanaście szczurów podzielonych przez cztery klatki równa się trzy szczury.

Zastanówmy się teraz... Mam! Wczoraj był taki moment, kiedy z pewnością liczyliśmy te szczury — wtedy, gdy znosiliśmy je na dół, do kabiny. Ile ich było w tej klatce, którą ty niosłeś, Slinoor?

— Trzy — natychmiast padła odpowiedź.

— I trzy w mojej — stwierdził Myszak.

— I trzy w każdej z dwóch pozostałych?! — niecierpliwie wtrącił Lukeen. — Tracimy czas!

— Z pewnością — zgodził się szybko Slinoor potakując.

— Poczekajcie! — krzyknął Myszak, podnosząc rękę z wyciągniętym palcem. — Był taki moment, kiedy wszyscy

musieliśmy zauważyć, ile było szczurów w jednej z klatek niesionych przez Fafhrda — kiedy podnosił ją za pierwszym razem, w czasie rozmowy z Hisvet. Wyobraźcie to sobie. Podniósł ją w taki sposób — w tym momencie Myszak dotknął kciukiem trzeciego palca.

— Ile szczurów było w tej klatce, Slinoor?

Slinoor zrobił wielce niezadowoloną minę. — Dwa — odpowiedział, ale natychmiast dodał: — I cztery w drugiej.

— Powiedziałeś przed chwilą „trzy w każdej klatce” — przypomniał mu Myszak.

— Nie ja! — zaprzeczył Slinoor. — To Lukeen tak powiedział, nie ja!

— Tak, ale ty potaknąłeś na znak zgody — powiedział Myszak, a jego podniesione brwi świadczyły jednocześnie o niewinności i o poszukiwaniu prawdy.

— Zgodziłem się z nim tylko co do tego, że marnujemy czas — odparł Slinoor. — I tak rzeczywiście jest — dodał, a jego głos stracił ostrość bezwzględnej pewności.

— Rozumiem — w głosie Myszaka pojawiła się wątpliwość. Stopniowo stało się jasne, że odgrywał on rolę sędziego prowadzącego rozprawę, kroczył wokoło i marszczył się profesjonalnie. Wtem rzucił niespodziewane pytanie: — Fafhrd, ile niosłeś szczurów?

— Pięć — śmiało odpowiedział człowiek z Północy i choć jego zdolności matematyczne nie wyglądały rewelacyjnie, zdążył już potajemnie policzyć na palcach, a także domyśleć się do czego zmierza Myszak. — Dwa w jednej klatce, trzy w drugiej.

— Żałosne oszustwo! — zrugął go Lukeen. — Ten nikczemny barbarzyńca przysięgłby na cokolwiek, aby tylko panienka obdarzyła go uśmiechem. Tak się przed nią płaszczy.

— To wierutne kłamstwo — wrzasnął Fafhrd, aż podskakując w miejscu. W rezultacie tak mocno walnął głową w sufit, że aż huknęło, a on sam chwycił ją obiema rękoma i zgiął się wpół z bólu.

— Siadaj, Fafhrd, zanim każę ci przeprosić sufit — rozkazał Myszak opryskliwie. — To jest poważny, cywilizowany sąd, a nie barbarzyńska bijatyka! Zastanówmy się — trzy i trzy, i pięć daje jedenaście. Panienko Hisvet!

Wycelował palec prosto pomiędzy jej czarno-irysowe oczy i zapytał kategorycznie: — Ile białych szcurów wniosłaś na pokład „Kałamarnicy”? A teraz mów prawdę i tylko prawdę!

— Jedenaście — brzmiała odpowiedź. — Ależ jestem szczęśliwa, że w końcu znalazł się ktoś na tyle rozumny, aby i mnie zapytać.

— Wiem, że to nieprawda! — gwałtownie zareagował Slinoor, a jego czoło rozjaśniło się jeszcze raz. — Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślałem? Oszczędziłoby to nam wszystkim kłopotów z przepytywaniem i liczeniem. W tej właśnie kabinie mam list od Glipkeria.

Wyraźnie jest w nim powiedziane, że powierza mi panienkę Hisvet, córkę Hisvina, i dwanaście białych inteligentnych szcurów. Poczekajcie, zaraz go wam pokażę!

— Nie ma takiej potrzeby, kapitanie — przerwała mu Hisvet. — Widziałam kopię tego listu i mogę zaświadczyć o prawdziwości tych słów. Niestety bardzo mi przykro, ale w czasie od wysłania tego listu do mojego wejścia na pokład „Kałamarnicy” coś się stało. Otóż biedny Tchy został pożarty przez Bimbata, ogiera Glipiego. — Dotknęła paluszkami kącika oka i zaszlochała: — Biedny Tchy, był najbardziej uroczy z całej dwunastki. To dlatego przez pierwsze dwa dni przebywałam w

kabinie. — Za każdym razem, gdy wymawiała imię Tchy, jedenaście szcurów piszczało smutno.

— Czy to naszego Pana nazywasz Glipim? — głęboko zaszokowany zawołał Slinoor. — O bezwstydna!

— Ejże, panuj nad językiem, panienko! — groźnie ostrzegł Myszak, całkowicie już wczuwając się w swą nową rolę groźnego sędziego śledczego. — Twoje zażyłe stosunki z naszym Panem, najdostojniejszym Gliplerem Kistomercesem, nie interesują naszego sądu.

— Kłamie jak przebiegła, chytra czarownica! — ze złością stwierdził Lukeen. — Może miażdżenie kciuków lub koło tortur albo też najzwyklejsze wykręcenie ręki w miarę szybko wydusiłoby z niej prawdę.

Hisvet odwróciła się i popatrzyła na niego dumnie.

— Przyjmuję pańskie wyzwanie, dowódco! — rzekła z opanowaniem, kładąc swą prawą rękę na głowie służącej. — Frix, wyciągnij obnażoną rękę lub jakąkolwiek inną część swego ciała, którą zechcą torturować szlachetni dżentelmeni.

Czarna służąca wyprostowała plecy. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Usta miała mocno zaciśnięte, choć oczy dziko wędrowały wokoło. Hisvet ciągnęła dalej, zwracając się do Slinoora i Lukeena: — Jeśli w ogóle znane jest wam prawo Lankhmaru, to nie jest też dla was tajemnicą, że dziewicę mającą tytuł szlachecki można torturować na osobie jej służącej, która to swą wytrzymałością na ból udowodni niewinność swej pani.

— Co ja wam o niej powiedziałem? — Lukeen zwrócił się do nich wszystkich. — Przebiegłość to zbyt łagodny termin na określenie jej pajęczej zręczności! — Utkwił wzrok w Hisvet i odezwał się, pogardliwie wykrzywiając usta: — Dziewica!

Hisvet uśmiechnęła się chłodno z wyrazem cierpienia. Fafhrd

zaczzerwienił się i choć wciąż trzymał rękoma poobijaną głowę, ledwo powstrzymał się od rzucenia się na Lukeena. Tamten zaś obdarował go tylko rozbawionym spojrzeniem, żywiąc głębokie przekonanie, że może do woli dręczyć Fafhrda, i że ten barbarzyńca nie jest na tyle bystry w mowie i w języku, aby odpowiedzieć mu równie głęboką zniewagą.

Przez chwilę Fafhrd przyglądał się uważnie Lukeenowi. Wtem odezwał się: — Gdy masz zbroję na sobie, odwaga rozpala cię na tyle, że rzucasz groźby pod adresem dziewcząt i roztaczasz przed nimi straszliwe wizje tortur. Ale gdybyś nie miał broni i chciałbyś udowodnić swoje męstwo wobec jednej choćby odważnej dziewczyny, przegrałbyś niczym robak.

Na to Lukeen podskoczył wściekły i tak wyrznął głową o belkę sufitu, że aż zaskowyczał i zakołysał się. Na ślepo wymacał broń przy boku i chwycił rękojeść. Ale Slinoor złapał go za przegub i siłą posadził z powrotem na miejsce.

— Opanuj się, dowódco! — rzucił błagalnie, ale i stanowczo. Ton jego zdradzał, że dojrzał już do podjęcia decyzji, podczas gdy reszta zebranych nadal pogrążona była w kłótni, nie robiąc nic dla rozwiązania problemu.

— Fafhrd, dosyć już tych ostrych słów. Myszak — to nie twój sąd, ale mój, i nie spotkaliśmy się tutaj, aby dzielić włos na czworo i dyskutować o prawie, ale by stawić czoło konkretnemu zagrożeniu. Nasza flota znajduje się obecnie w ogromnym niebezpieczeństwie, a nasze życie narażone jest na ryzyko. Ponadto, niebezpieczeństwo grozi także Lankhmarowi, jeżeli Movarl nie dostanie zboża z tego trzeciego transportu. Zeszłej nocy podstępem zgładzono załogę „Małża”. Dzisiaj w nocy przytrafić się to może „Wargaczowi”, „Kałamarnicy” lub „Rekinowi”, a może nawet wszystkim naszym statkom naraz. Już

dwie floty przed nami płynęły uprzedzone i dobrze chronione, a mimo to poszły na zatracenie.

Tu zrobił krótką pauzę, pozwalając słowom głębiej zapaść w pamięć słuchaczy. Po chwili podjął dalej: — Myszak — wzbudziłeś we mnie pewne wątpliwości, co do tego, czy szczurów było jedenaście czy dwanaście. Ale niewielkie wątpliwości są niczym, gdy chodzi o niebezpieczeństwo grożące ludziom i miastom. Dla bezpieczeństwa floty Lankh — hmaru zaraz zatopimy białe szczury i będziemy uważnie pilnować panienki Hisvet, aż do samego portu w Kvarch Nar.

— Zgoda! — z aprobatą krzyknął Myszak, stając tuż przed Hisvet, ale natychmiast dodał: — Ale byłoby najlepiej, abyś wyznaczył mnie i Fafhrda do sprawowania bezustannej straży nie tylko nad Hisvet, ale także nad dwunastoma białymi szczurami. W ten sposób nie zniszczymy daru Glipekera i nie narazimy się na ryzyko obrażenia Movarla. Slinoor odparował mu jednak: — Nie wierzę, aby ktoś mógł upilnować szczury. Są zbyt podstępne. Uważam, że panienka powinna przenieść się na „Rekina”, gdzie można będzie lepiej jej pilnować. A to, czego oczekuje Movarl to zboże, a nie szczury. O nich nic nawet nie wie, nie może więc być wściekły, jeśli ich nie dostanie.

— Ależ on o nich wie! — wtrąciła Hisvet. — Co tydzień Glipekero i Movarl wysyłają sobie wieści za pomocą albatrosów. Statki są powolne niczym ślimaki w porównaniu z tymi skrzydlatymi ptakami pocztowymi. Glipekero napisał do Movarla o szczurach, a ten wyraził ogromny zachwyt na myśl o czekającym go podarunku i z niecierpliwością oczekuje występu Białych Cieni. Czekają także i na mnie — dodała skromnie, pochylając lekko głowę.

— I ja — gwałtownie wtrącił Myszak — muszę z największym

żalem przeciwstawić się przeniesieniu Hisvet na inny statek, Slinoor. W upoważnieniu, które ja i Fafhrd otrzymaliśmy od Glipekera, a które w każdej chwili mogę ci okazać, wyraźnie stwierdza się, że mamy towarzyszyć panience przez cały czas, nawet wówczas, gdy wychodzi tylko poza kabinę.

Czyni on nas w pełni odpowiedzialnymi za jej bezpieczeństwo, a także za bezpieczeństwo Białych Cieni, które to — jak jasno stwierdza się w piśmie — cenniejsze są dla niego od klejnotów.

— Możecie towarzyszyć jej na „Rekinie” — grzecznie odpowiedział na to Slinoor.

— Nie życzę sobie barbarzyńców na moim statku — chrapliwym głosem odparł Lukeen, nadal zwijając się z bólu.

— Wstydzilibym się wejść na pokład takiej łajby, podobnej do robaka z wiosłami — zaatakował go w odpowiedzi Fafhrd, dając w ten sposób wyraz wspólnej dla wszystkich barbarzyńców pogardy dla galer.

— A ponadto — wtrącił powtórnie Myszak, tym razem głośniej, upominając gestem Fafhrda — moim obowiązkiem jako przyjaciela jest ostrzec cię, Slinoor, że grożąc tak nierozważnie i panience, i Białym Cieniom, ryzykujesz ściągnięcie na siebie złości i niezadowolenia nie tylko ze strony naszego pana Glipekera, ale także i najpotężniejszego w Lankhmarze handlarza zbożem.

W odpowiedzi Slinoor rzekł po prostu: — Mam na myśli tylko miasto i flotę zbożową, wiesz o tym. Wzburzony Lukeen rzucił tylko: — Ha! Ten głupiec nie pojął, że za tym topieniem statków przez szczury stoi sam Hisvin, ojciec Hisvet, jako że bogaci się na dodatkowym okupie całego narodu z tego samego zboża, które sam wysyła do Glipekera!

— Cisza, Lukeen! — rozkazał wystraszony Slinoor. — Nie

miejsce teraz na twoje domysły!

— Domysły? Moje domysły? — wybuchnął Lukeen. — To była przecież twoja sugestia, Slinoor. Tak jak i to, że sprzymierzył się z Mingolami! Chociaż raz powiedzmy prawdę!

— Mów ją więc w swoim imieniu, dowódco — odrzekł Slinoor, jak tylko mógł stanowczo i dobitnie. — Obawiam się, że pod wpływem uderzenia poprzestawiało ci się w głowie. Szary Myszaku, jesteś przecież rozsądnym człowiekiem — zaapelował — czy nie możesz pojąć moich obaw? Jesteśmy sami wobec masowego morderstwa na otwartym morzu. Musimy się przed tym zabezpieczyć, podjąć odpowiednie środki. Czy nikt z was nie okaże choć odrobiny zdrowego rozsądku?

— Owszem, ja — skoro na to nalegasz kapitanie — powiedziała ożywiona Hisvet, unosząc się na kolanach na koi i zwracając się w stronę Slinoora. Wpadające przez żaluzje światło słoneczne, lśniło na jej srebrnych włosach i odbijało się od srebrnej opaski. — Jestem tylko dziewczyną, nieprzyzwyczajoną do wojny i grabieży, ale nawiedziła mnie prosta myśl, wyjaśniająca wszystko. Czekam na próżno, aby usłyszeć ją od was dżentelmeni, którzy jesteście tacy odważni i mocni w walce. Zeszłej nocy zatopiony został statek. Winą za to obarczacie szczury — małe bestyjki, które i tak opuściłyby tonący statek, a pośród których zawsze znajdzie się trochę białych. Ponadto, tylko za pomocą ogromnego wysiłku, można wyobrazić sobie, jak zdobywają one cały statek oraz unicestwiają wszystkich marynarzy. Aby wypełnić gigantyczne luki w tej dziwnej teorii, czynicie ze mnie złowieszczą królową szczurów, która potrafi uprawiać czarną magię. Także mojego dzieciinniałego ojca kreujecie na wszechmocnego cesarza tych stworzeń.

— Dziś rano — kontynuowała — natknęliście się na mordercę,

jeśli w ogóle był ktoś taki, i pozwoliliście mu umknąć nawet bez śladu sprzeciwu. A dodatkowo, ten diabeł w ludzkiej postaci sam wyznał, że szuka potwora o wielu głowach, który porywa ludzi z pokładu statków i pożera ich. Oczywiście kłamał mówiąc, że jego podrzutek z tego świata zadawała się tylko małymi rybkami. Przecież rzucił się na mnie, aby mnie pożreć. Mógłby pochwycić także każdego z was, ale był już syty. Co może być bardziej prawdopodobne niż to, że ten dwugłowy smok o długiej szyi zjadł wszystkich marynarzy z pokładu „Małża”, wybierając ich jak cukierki z pudełka, jednego po drugim — z forkasztelu i z ładowni, gdzie starali się ukryć, a następnie wydrapał dziury w „Małżu”. Może bardziej prawdopodobne jest to, że „Małż” w czasie mgły zawadził dnem o Smocze Skały i w tym czasie natknął się na morskiego smoka? To, panowie, jest oczywiste nawet dla delikatnej niewiasty i nie wymaga specjalnego wysiłku umysłowego.

Ta zadziwiająca wypowiedź wywołała podniecenie i bardzo zróżnicowane reakcje.

Myszak wykrzyknął z uznaniem: — O, panienko — klejnocie książęcej mądrości! Och, byłby z ciebie strateg rzadkiej klasy!

— Jak sensownie powiedziane, mała damo, a jednak Karl Treuherz zrobił na mnie wrażenie uczciwego diabła — rzucił Fafhrd.

Frix rzekła z dumą: — Moja Pani wszystkich was prześcignie w myśleniu.

Oficer przy drzwiach wybałuszył tylko oczy na Hisvet i uczynił znak rozgwiazdy, Lukeen tymczasem burknął opryskliwie: — Bardzo łatwo zapomniała o czarnym kutrze.

— Powiadasz, że niesłusznie czynimy z ciebie królową szczurów? Przecież ty jesteś królową szczurów! — odparł na to

wszystko lekceważąco Slinoor.

Słyszając tak straszne oskarżenie wszyscy zamilkli, a Slinoor przyglądając się Hisvet z nieskrywaną obawą, ciągnął dalej: — Swoją mową nasunęła mi panienska najcięższe oskarżenie przeciw samej sobie. Karl Treuherz rzekł, iż jego smok, mieszkający przy Smocznych Skałach, żywi się tylko szczurami.

Nie uczynił on żadnego ruchu, aby pożreć nas, choć miał ku temu wiele okazji. Ale gdy tylko na pokładzie pojawiła się Hisvet, natychmiast się na nią rzucił. Wyczuł jej prawdziwe pochodzenie!

Dygoczący głos Slinoora stał się mniej donośny.

— Trzynaście szczurów o ludzkich umysłach rządzi całym szczurzym plemieniem. Tę starożytną prawdę przekazali nam najmędrsi z lankhmarskich proroków. A tutaj znajduje się jedenaście milczących srebrnych gryzoni. Dwunasty świętuje obecnie na czarnym kutrze swoje zwycięstwo nad „Małżem” A tymczasem trzynastym — w tym momencie wskazał palcem — jest srebrnowłosa i czerwonooka panienska, we własnej osobie.

Na dźwięk tych słów Lukeen rzucił mu się niemal do nóg wołając: — Och, jak to mądrze obmyśliłeś, Slinoor! Po cóż inaczej panienska nosiłaby taki, okrywający ją szczelnie strój, jak nie po to, aby ukryć świadectwo swego ohydneho pochodzenia? Pozwólcie mi tylko zedrzeć z niej ten gronostajowy płaszcz, a obnażę przed wami jej białe ciało pokryte futrem i dziesięć czarnych małych sutków na miejscu dziewczęcych piersi!

Jeszcze nie wykrzyczał swych oskarżeń do końca, a już zaczął przesuwać się ostrożnie w kierunku Hisvet. Fafhrd poderwał się i chwycił Lukeena za ramiona, zatrzymując go w niedźwiedzim uścisku. Zawołał też: — Nie waż się! Jeśli tylko ją dotkniesz, umrzesz! W tym momencie Frix krzyknęła: — Smok zaspokoił

swój apetyt załogą „Małża” — jak wam powiedziała moja pani. Nie chciał już więcej żylastych mężczyzn, dlatego też chętnie by pochwycił moją panią o delikatnym ciałku, jako kąsek na deser!

Lukeen gwałtownie się wykręcił, aż jego czarne oczy spojrzały z odległości kilku centymetrów w zielone oczy Fafhrda.

— Och, ty najgłupszy z barbarzyńców! — wycedził przez zęby. — Przewyższając cię rangą i dostojnością, wyzywam cię na pojedynek na środkowym pokładzie. To znaczy, jeśli odważysz się stawić czoła w cywilizowanej walce, ty śmierdząca małpo! — po czym napluł mu w opaloną twarz.

Jedyną reakcją Fafhrda, mimo kleistych plwocin spływających mu wzdłuż policzka, był szeroki uśmiech. Jednak przez cały czas trzymał Lukeena w uścisku i bacznie strzegł, by ten nie ugryzł go w ucho.

Gdy wyzwanie zostało podjęte, nie było już czasu na zbyteczne gadanie.

Slinoorowi, który z niepokojem spoglądał przez okienko w niebo, nie pozostało nic innego jak tylko spieszyć się z przygotowaniami do walki, aby mogła się ona zakończyć przed zachodem słońca. Chodziło o to, by można było — jeszcze przy dziennym świetle — podjąć jakieś sensowne kroki zapewniające flocie bezpieczeństwo podczas zbliżającej się nocy.

Slinoor, Myszak i oficer zbliżyli się do Fafhrda; wypuścił on Lukeena z uścisku. Lukeen pogardliwie odwracając wzrok, udał się natychmiast na pokład, aby wezwać grupę swoich żołnierzy z „Rekina”, którzy mieli mu sekundować i pilnować, żeby walka prowadzona była fair. Slinoor podążył za nim. Myszak zamienił zaledwie kilka słów z Fafhrdem i ruszył za tamtymi. Na pokładzie zajął się rozmowami z kucharzem „Kałamarnicy” i niektórymi innymi członkami jej załogi. Od czasu do czasu widać

było, jak coś przemknęło z ręki Myszaka do ręki marynarza, z którym właśnie rozmawiał.

Mimo ponagleń Slinoora, słońce już chyliło się ku zachodowi, gdy wreszcie uderzono w gong, dając znak do rozpoczęcia walki. Niebo nad nimi było czyste, jednak na wschodzie, w odległości około dwudziestu strzałów z łuku, nadal zalegał przed lankhmarską flotą złowrogi pas mgły. Rozciągał się on równoległe do północnego kursu floty i w promieniach słońca wyglądał prawie jak potężna i świecąca ściana góry lodowej. Zupełnie niewiarygodne, ale ani gorące słońce, ani zachodni wiatr jej nie rozpędziły.

Odziani na czarno żołnierze z „Rekina”, w brązowych zbrojach i brązowych hełmach, stali zwrócenii twarzą ku rufie, tworząc z dwóch stron masztu szpaler w poprzek statku. Na odległość wyciągniętych ramion trzymali skrzyżowane włócznie, skierowane ostrzami w dół, tworząc w ten sposób coś w rodzaju niskiego płotka. Ubrani w czarne tuniki żeglarze z „Kałamarnicy” albo zerkali zza ich ramion, albo siedzieli ze skrzyżowanymi nogami po lewej stronie burty, na pokładzie dziobowym, tam gdzie ogromny żagiel nie przysłaniał im widoku.

Niektórzy zaś usadowili się jeszcze wyżej, czepiając się takielunku.

Znad wyrwy w rufie usunięto zniszczony reling i tam, wokół nagiego masztu, usadowili się trzej sędziowie: Slinoor, Myszak i sierżant od Lukeena. Obok nich, na lewo od sterników, skupili się oficerowie z „Kałamarnicy” oraz innych statków. Na obecność tych ostatnich Myszak bardzo nalegał, choć oznaczało to wiele dodatkowych kursów bączkiem pomiędzy statkami.

Hisvet i Frix zamknęły się w kabinie. Panienska chciała obserwować pojedynek przez otwarte drzwi lub nawet z rufy, ale

Lukeen gwałtownie zaproponował twierdząc, że łatwiej by jej było wówczas rzucić na niego urok — sędziowie opowiedzieli się po jego stronie. Jednak w otwartym okienku, za żaluzjami, można było dostrzec jak promienie słoneczne odbijają się a to w ciekawym oku, a to w posrebrzonych paznokciach.

Pomiędzy ciemnym szpalerem utworzonym z włóczni a rufą znajdował się dębowy pokład w kształcie kwadratu, obecnie pusty poza wystającymi częściami żurawia i główną klapą do ładowni, z powodu której środek pokładu był wyższy od reszty na szerokość dłoni. W każdym rogu kwadratu oznaczono kredą ćwiartkę koła. Nastąpienie po rozpoczęciu pojedynku na ten wycinek koła przez któregokolwiek z zawodników, wskoczenie na reling, chwycenie się takielunku czy wreszcie upadek na pokład — natychmiast przerywałoby walkę.

W rogu kwadratu od strony dziobu i lewej burty stał Lukeen, w czarnej koszulce i pończochach, z emblematem rozgwiazdy w złotej obwódce. Przy nim tkwił jego sekundant, porucznik o twarzy sokoła. W prawej ręce trzymał Lukeen ciężki drąg z dębowego drewna, dorównujący mu wysokością, a grubością — nadgarstkowi Hisvet. Z uśmiechem podniósł drąg nad głowę i zakręcił nim młynka, aż zadźwięczało.

Z kolei od strony rufy i prawej burty, obok drzwi do kabiny, stali Fafhrd i jego sekundant.

Był nim bosman z „Karpia”, gruby mężczyzna o domieszce krwi mingolskiej, co widać było po jego żółtawej cerze. Myszak nie mógł być równocześnie sędzią i sekundantem, ale za dawnych czasów, w Lankhmarze, on i Fafhrd nie raz grali z tym marynarzem w kości, więc uważali go za dość sprytnego.

Od niego właśnie wziął teraz Fafhrd drąg, którego koniec mocno chwycił w obie dłonie.

Uczył nim kilka powolnych ćwiczebnych wypadów, po czym oddał z powrotem swemu sekundantowi i zdjął kurtkę.

Widząc, że Fafhrd obchodzi się z drągiem, jakby to był oburęczny pałasz, żołnierze Lukeena zachichotali, ale gdy odsłonił swój owłosiony potężny tors, żeglarze z „Kałamarnicy” podnieśli głośne okrzyki radości. Natomiast na uwagę Lukeena skierowaną do sekundanta: — A nie mówiłem, że to ogromna, włochata małpa?! — po której jeszcze raz zakręcił młynka drągiem, żeglarze zareagowali potężnym gwizdem.

— Dziwne — skomentował to Slinoor przyciszonym głosem. — Myślałem, że Lukeen cieszy się popularnością wśród moich żeglarzy.

Sierżant także rozejrzał się z niedowierzaniem, Myszak drgnął tylko lekko, Slinoor zaś ciągnął dalej: — Gdyby żeglarze wiedzieli, że twój towarzysz walczy po stronie szczurów, nie oklaskiwaliby go.

Myszak tylko się uśmiechnął. Gong zadźwięczał ponownie.

Slinoor wstał i rzekł głośno:

— Walka na drągi, bez rzucania żadnych uroków! Kapitan Lukeen zamierza dowieść przez walkę z najemnym żeglarzem naszego pana, Fafhrdem, prawdziwości zarzutów przeciwko panience z Lankhmaru. Pierwszy, który straci przytomność lub znajdzie się na łasce swego przeciwnika, przegrywa. Gotowi?

Przeskakując przez środek pokładu, dwaj chłopcy okrętowi rozrzucili pełne garście piasku.

Slinoor zagadnął Myszaka:

— A niech to szlag z tym błahym pojedynkiem! Tylko odwleka nasze działanie przeciwko Hisvet i jej szczurom. Lukeen postąpił jak głupiec, gdy zachnął się na tego barbarzyńcę. Ale jeśli tylko szybko zło mu skórę, zostanie wystarczająco dużo czasu.

Myszak powątpiewająco uniósł brew. Slinoor dodał łagodniej: — Czyżbyś nie wiedział? Lukeen wygra, to pewne.

— Kapitan jej mistrzem w walce na drągi. To nie jest oręż dla barbarzyńców — potwierdził sierżant.

Gong zadźwięczał po raz trzeci.

Lukeen wskoczył prosto na klapę wrzeszcząc: — Hej! Włochata ma!po! Czy jesteś gotowa dwa razy pocałować dąb — najpierw mój drąg, a potem pokład?

Fafhrd zbliżył się, powłócząc nogami i niezdarnie trzymając swój drąg.

— Twoja ślina zatrąła mi lewe oko, Lukeen, ale prawym i tak dostrzegam pewien cywilizowany cel — odpowiedział.

Lukeen podskoczył do niego radośnie, zrobił flintę w kierunku jego łokcia i głowy, by nagle drugim końcem drąga uderzyć go w kolano, aby go przewrócić lub okuliwić.

Fafhrd, przyjmując nagle prawidłową postawę i chwyt, odparował to uderzenie i posłał mu błyskawiczną ripostę prosto w szczękę.

Lukeen zdążył zasłonić się drągiem, toteż uderzenie musnęło mu tylko policzek, jednak na tyle wyprowadziło go z równowagi, że Fafhrd znalazł się w ataku, napierając na niego gradem trudnych do odparowania ciosów, zresztą ku uciesze żeglarzy.

Slinoor i sierżant gapili się z szeroko otwartymi oczami, a Myszak tylko splatał raz po raz dłonie i mruczał: — Nie tak szybko, Fafhrd, nie tak szybko.

Raptem, gdy Fafhrd przygotowywał się do zadania ostatecznego ciosu, potknął się zeskakując z klapy, przez co nie zdołał trafić przeciwnika w głowę. Lukeen podskoczył, a kij Fafhrda przemknął pod jego stopami. Gdy jeszcze był w powietrzu, Lukeen grzmotnął

Fafhrda w głowę.

Co prawda cios nie był zbyt mocny, jednak na chwilę ogłuszył Fafhrda i teraz on z kolei cofał się pod gradem uderzeń. Przez kilka chwil nikt nie wydał żadnego głosu, roznosił się tylko odgłos miękko podbitych butów, posuwających się po pokrytym piachem pokładzie i gwałtowne, muzyczne niemal, dźwięki spotykających się kijów.

I kiedy nawet Fafhrd odzyskał już pełną świadomość, cofał się nadal, by uniknąć złośliwych ciosów. Dojrzany przy własnym obcasie kawałek czerni zasygnalizował mu, że następny krok do tyłu niechybnie sprowadzi go do wnętrza jego części koła.

Szybkim ruchem wbił więc kij w pokład jednym końcem i dźwigając się na drągu odskoczył, aż pod drzwi kajuty. Przemykając obok Lukeena, próbował uniknąć jego ciosów, bowiem drąg nie mógł w tym momencie go chronić.

Żeglarze aż krzyknęli z podniecenia. Sędziowie i oficerowie na rufie przyklękli, niczym gracze w kości i spoglądali znad barierki.

Fafhrd musiał podnieść lewe ramię, chroniąc głowę. Jeden cios odebrał łokciem, toteż ramię opadło bez czucia. Wtedy rzeczywiście przyszło mu posługiwać się drągiem niczym pałaszem, gdy wymachiwał nim jedną tylko ręką, odparowując uderzenia i ciosy. Lukeen nieco zwolnił i walczył ostrożniej, wiedząc przecież, że jedyna sprawna ręka Fafhrda szybciej się zmęczy niż jego dwie. Wymierzył więc kilka szybkich ciosów i odskoczył do tyłu.

Fafhrd ledwo odebrał trzeci z tych ataków i ripostował teraz niedbale, waląc na oślep. W pewnej chwili jego drąg dosięgnął cofającego się Lukeena, uderzając go nisko w klatkę piersiową, dokładnie w splot słoneczny.

Żeglarze wznieśli ochryple okrzyki, żołnierze zaś jęknęli, a jeden z nich zawołał nawet: — Zdrada!

Sekundant Lukeena przykucnął przy nim, a bosman z „Karpia” w niezdarnych tanecznych podskokach zbliżył się do Fafhrda. Oficerowie na rufie „Kałamarnicy” wyraźnie się zachmurzyli, choć nie wszyscy — ci z innych statków zbożowych wydawali się dziwnie radośni. Myszak chwycił Slinoora za łokieć i przynaglił go: — Ogłoś zwycięstwo Fafhrda!

Sierżant tymczasem zasepił się ponuro i rzekł: — Cóż, nie wiem, czy reguły mówią o czymś takim.

W tym momencie otworzyły się drzwi od kajuty i na pokład weszła Hisvet. Miała na sobie długą jedwabną szatę koloru szkarłatnego z kapturem, również obramowanym szkarłatem.

Wyczuwając, że zbliża się moment kulminacyjny Myszak skoczył ku prawej burcie i wyrwawszy jednemu z żeglarzy pałkę, uderzył w gong.

Na „Kałamarnicy” zaległa cisza. Dopiero gdy pojawiła się Hisvet, zaczęto ją pokazywać palcami i przyglądano się jej pytająco. Ona tymczasem przytknęła małą, starodawną fujarkę do warg i grając na niej wysoki myśliwski sygnał, tanecznym posuwistym krokiem zbliżała się do Fafhrda.

Zwrócona twarzą w jego stronę zaczęła tańczyć, a nieprzyjazne okrzyki zamieniły się w wyrazy zachwytu i zdziwienia. Tłum żeglarzy podszedł tak blisko, jak tylko mógł, niektórzy wykorzystali nawet do tego liny takielunku, aż procesja, którą prowadziła Hisvet stawała się powoli widoczna dla wszystkich.

Składała się ona z jedenastu białych szczurów, jeden za drugim idących na tylnych łapach i ubranych w szkarłatne szaty i czapki. Pierwsze cztery trzymały w łapkach pęk małych

srebrnych dzwoneczków, którymi rytmicznie poruszały. Pięć następnych dźwigało nieco zwisający pomiędzy nimi, podwójnej długości połyskujący srebrny łańcuch — w czym przypominały żeglarzy ciągnących łańcuch kotwiczny. Ostatnie dwa niosły srebrne cienkie pałeczki, których wysokość dorównywała każdemu z nich, gdy kroczył wyprostowany z podwiniętym ogonem.

Pierwsze cztery zatrzymały się w rzędzie zwrócone w kierunku Fafhrda. Lider następnej piątki stanął z podniesioną łapą, spojrział w górę na Fafhrda i zapiszczał trzy razy. Następnie przy użyciu łańcucha, którego jeden koniec chwycił w łapę, i przy pomocy trzech towarzyszy, wdrapał się barbarzyńcy na but. W jego ślady poszli czterej jego kompani i w ten sposób wdrapali się najpierw na spodnie Fafhrda, a potem na jego owłosiony tors.

Fafhrd przyglądał się temu bez najmniejszego ruchu, z wyjątkiem skrzywienia, które pojawiło się na jego twarzy, gdy małe pazurki zahaczyły o kępki włosów na torsie.

Pierwszy szczur wdrapał się na prawe ramię Fafhrda i po plecach przeszedł mu do lewego ramienia, co następnie uczyniły także cztery pozostałe szczury, nie puszczając przez cały czas łańcucha. Kiedy już wszystkie stały mężczyźnie na ramionach, podniosły z największą ostrożnością jedno pasmo podwójnego łańcucha nad jego głową. W tym czasie Fafhrd patrzył na Hisvet, która zdążyła go już okrążyć i teraz stała przed nim, grając dalej na fujarce.

Wtedy szczury opuściły łańcuch, który zawisł połyskując na jego piersi. Każdy z gryzoni uniósł swą szkarłatną czapeczkę tak wysoko, jak tylko sięgał łapką. Ktoś krzyknął: — Zwycięzca!

Szczury zakołysały czapkami i jeszcze raz podniosły je w górę, a wtedy, jakby jednym głosem, wszyscy żeglarze i większość

oficerów głośno powtórzyła: — Zwycięzca!

Szczury także wzniosły jeszcze ze dwa okrzyki, a raczej piski na cześć Fafhrda, czemu jak zahipnotyzowani poddali się ludzie na pokładzie, może popychani przez jakąś magiczną siłę, a może zauroczeni wdziękiem i stosownością zachowania się szczurów. Nie sposób zgadnąć.

Hisvet zakończyła grę na fujarce radosną przygrywką. Wówczas dwa szczury ze srebrnymi pałeczkami pomknęły na rufę i zatrzymały się u stóp głównego masztu tak, aby być na samym widoku. Tam też rozpoczęły pojedynek zgodnie z regułami walki na drągi. Okładały się pałeczkami, które świeciły w słońcu i dzwoniły w momencie uderzania. Ciszę przerwała seria okrzyków i śmiech. Pięć szczurów zbiegło w dół po Fafhrdzie i wraz z tymi, które miały dzwoneczki zebrały się tuż przy spódnicy Hisvet. Myszak i wielu innych oficerów zeskoczyło z rufy, aby uściskać Fafhrda lub poklepać go choćby po plecach. Żołnierze wzbraniali się od robienia z żeglarzami zakładów, który szczur zwycięży w tym pojedynku.

Fafhrd, dotykając łańcucha, rzucił w stronę Myszaka: — To dziwne, że ci żeglarze kibicowali mi od samego początku.

Myszak, śmiejąc się i korzystając z otaczającego ich gwaru, wyjaśnił mu półgłosem: — Dałem im pieniądze, aby w zakładach z żołnierzami stawiali na ciebie. Podobnie, udzieliłem odpowiednich wskazówek oficerom z innych statków i dałem im na ten cel pożyczkę — dla wojownika nigdy dość pieniędzy. Ponadto rozpuściłem pogłoskę, że te białasy są szczurami antyszczurowymi, inaczej mówiąc — wyszkolonymi w tępieniu osobników swojego gatunku. Dodałem, że jest to ostatnia broń Glipekera dla zapewnienia bezpieczeństwa flocie zbożowej — żeglarze uwierzą w każdą brednię.

— Czy to ty pierwszy krzyknąłeś: „Zwycięzca”? — zapytał Fafhrd.

Myszak skrzywił się:

— Sędzia miałby brać czyjąś stronę? W cywilizowanej walce? Byłem na to przygotowany, ale nie okazało się to konieczne.

W tym momencie Fafhrd poczuł lekkie szarpnięcie za spodnie i spojrzał w dół. Zobaczył, że to czarny kot przedarł się odważnie przez las nóg i teraz wdrapuje się na niego w jakimś celu. Prawdziwie poruszony kolejną oznaką zwierzęcego hołdu, Fafhrd fuknął cicho na kota: — Zdecydowałeś się zakończyć naszą kłótnię, czarny kocie?

Kot wskoczył mu na pierś, wbił swoje małe ostre pazury w jego odsłonięte nagie ramię i spoglądając na niego tajemniczo, zadrapał mu szczękę aż do krwi. Następnie, skacząc po głowach zdumionych żeglarzy, wdrapał się na główny żagiel i szybko wspiął się po jego brązowym wklęsłym łuku. Ktoś rzucił za nim kółek do cumowania, ale niestety chybił.

— Przeklinam wszystkie koty! — wrzasnął wściekły Fafhrd, łapiąc się za brodę. — Od tej pory to szczury są moimi ulubionymi stworzeniami!

— Właściwe słowa, szermierzu — radośnie odezwała się Hisvet, okrążona przez swoich adoratorów, i dodała: — Będzie mi bardzo miło zjeść kolację w towarzystwie twoim i twojego przyjaciela, w mojej kajucie godzinę po zachodzie słońca. Dostosujemy się w całej rozciągłości do upomnienia Sliinoora, że ja i Białe Cienie mamy być pilnowane.

Gwizdnąwszy na swej małej fujarce dała sygnał, po czym wycofała się do kajuty, w towarzystwie dziewięciu szczurów kroczących tuż przy jej nogach. Para walcząca na rufie przerwała pojedynek, choć jeszcze żaden nie zwyciężył. Podążyli

za panią, a tłum rozstąpił się z wyrazem podziwu, zwalniając im drogę.

Slinoor stał i rozglądał się wokoło. Szyper „Kałamarnicy” czuł się głęboko otumaniony. W czasie ostatniej pół godziny szczury przeszły głęboką metamorfozę, przekształcając się z tajemniczych jadowitych potworów, stanowiących zagrożenie dla całej załogi i floty, w bardzo osobliwych, mądrych i nieszkodliwych sztukmistrzów, których żeglarze traktowali jak białe maskotki. Wydawało się, że Slinoor bez skutku, ale nieprzerwanie, stara się znaleźć odpowiedź, dlaczego tak się stało.

Lukeen, wciąż jeszcze bardzo blady, podążał za ostatnim zrzedzającym żołnierzem.

Sakiewki wojaków z „Rekina” były lżejsze o kilka dukatów, jako że namówiono ich na obstawianie zakładów. Kierowali się w stronę długiej szalupy z galery, która oczekiwała na nich przy burcie. Lukeen najwyraźniej unikał Slinoora, gdy tymczasem szyper „Kałamarnicy” chętnie naradziłby się z nim.

Slinoor dał upust swemu zmartwieniu, szorstko nakazując żeglarzom, aby skończyli swe bezładne mielenie jęzorem i bieganiną. Posłuchali go z największą radością, udając się na swoje miejsca z najszcześliwszym uśmiechem na twarzy. Ci, którzy mijali Myszaka puszczali do niego oko. „Kałamarnica” sunęła śmiało do przodu około pół strzału z łuku za „Tuńczykiem”, podobnie jak podczas pojedynku, ale teraz zaczęła pruć bardziej zdecydowanie niebieską toń, jako że nasilił się zachodni wiatr. Cała flota poczęła płynąć tak szybko, że szalupa z „Rekina” nie mogła już utrzymać się na przedzie, mimo że Lukeen zagrzewał swoich wioślarzy do nadludzkiego wręcz wysiłku. W końcu z szalupy dano znak „Rekinowi”, aby

podpłynął i podniósł ich z wody — co załoga galery uczyniła z największym trudem, kołysząc się niebezpiecznie wśród wysokich fal. Mimo wspomagania żagli pracą wioślarzy, dopiero o zachodzie słońca galera ponownie przejęła prowadzenie.

— Chyba nie będą w stanie dzisiejszej nocy przyjść z pomocą „Kałamarnicy” — rzekł

Fafhrd do Myszaka, stojąc przy relingu na środkowym pokładzie. Pomiedzy nim a Slinoozem nie było otwartej wojny, ale skłonny był mu raczej pozostawić rufę, gdzie Slinoor stał ponad sternikami i rozmawiał z trzema oficerami, którzy stracili pieniądze obstawiając Lukeena — od tej pory trzymali się blisko swego kapitana.

— Czyżbyś nadal spodziewał się katastrofy dziś wieczorem, Fafhrd? — zadał pytanie Myszak, lekko się przy tym uśmiechając. — Już dawno minęliśmy Szczurze Skały.

Fafhrd wzdrygnął się i powiedział: — Chyba posunęliśmy się o włos za daleko w naszej obronie szczurów.

— Być może — zgodził się Myszak — ale ich czarująca pani warta jest kłamstwa lub dwóch, a nawet więcej niż tego. Co, Fafhrd?

— Ona jest odważną, słodką dziewczyną — odpowiedział Fafhrd ostrożnie.

— Tak, jej służąca także — szczerze odrzekł Myszak. — Zauważyłem z jakim podziwem przyglądała ci się po twoim zwycięstwie. Najbardziej rozpustna dziewczyna. Niektórzy mężczyźni woleliby nawet służącą niż jej panią. Co, Fafhrd?

Nie spoglądając w kierunku Myszaka, zagadnięty powoli przecząco pokręcił głową.

Myszak uważnie spoglądał na Fafhrda zastanawiając się, czy byłoby mądrym posunięciem przedstawić mu pewną propozycję,

o której myślał od pewnego czasu. Szczerze mówiąc, do końca nie był pewien, jakiego rodzaju uczucie do Hisvet żywił Fafhrd. Wiedział, że jest on wystarczająco lubieżny, a wczoraj wręcz obsesyjnie wspominał o utraconej w Lankhmarze szansie kochania się. Ale był także świadom, że w jego towarzyszku tkwi romantyczna rysa, czasami cieniuteńka jak włos, czasami jednak urastająca do rozmiarów szerokiej na mile wstęgi, w którą mogą wpaść całe armie.

Na rufie Slinoor niezwykle poważnie rozmawiał z kucharzem, najprawdopodobniej, jak twierdził Myszak, o obiedzie dla Hisvet, a także dla niego i Fafhrda. Na myśl o tym, że Slinoor musi teraz tak się wysilać, aby zrealizować zachciankę trzech osób, które przecież pokrzyżowały mu dzisiaj szyki, Myszak uśmiechnął się podstępnie, ale także zmobilizował do podjęcia pewnego kroku, o którym wcześniej rozmyślał.

— Fafhrd — wyszeptał — zagrajmy w kości o względy Hisvet.

— Po co? Hisvet to dopiero podlotek — zaczął Fafhrd z pewną nutą wyrzutu, ale raptem przerwał gwałtownie i zamknął oczy, widocznie namyślając się. Gdy je wreszcie otworzył, spojrzał na Mysza z serdecznym uśmiechem.

— Nie — powiedział łagodnie. — Tak naprawdę myślę, że Hisvet to taka fantastyczna panienska, że na nic zdadzą się nasze wysiłki, a także podstępne namawianie jej do czegokolwiek. Poza tym, kto wie? Gra w kości o względy takiej dziewczyny to tak, jakby zakładać się o to, kiedy zakwitnie nocna lilia Lankhmaru i w którą stronę — na północ czy na południe — skieruje swój kielich.

Myszak zachichotał i przyjacielskim gestem dał mu kuksańca w bok, a Fafhrd kontynuował: — No, a teraz nie próbuj mnie upić dziś w nocy lub wsypać opium do mojego trunku.

— Ha, znasz mnie przecież dobrze Fafhrd, nie? — śmiejąc się odrzekł z wyrzutem Myszak.

— No właśnie — znam — zgodził się Fafhrd sardonicznie.

Słońce już zaszło, pozostawiając tylko na zachodzie zielonkawy blask. Powietrze z tamtej strony było kryształowo czyste, choć jednocześnie to dziwne pasmo mgły — teraz, jak złowroga, ciemna ściana — ciągle poruszało się równoległe do nich, o prawie milę na wschód.

Kucharz z okrzykiem: „Moja baranina” przebiegł obok nich w stronę kambuza, skąd unosił się wspaniały, ostry zapach.

— Mamy jeszcze całą godzinkę — powiedział Myszak.

— Chodź Fafhrd, przed wejściem na pokład kupiłem w „Srebrnym Węgorzu” butelczynę wina. Nadal jest zakorkowana.

Tuż nad ich głowami, z wyblinki dało się słyszeć syczenie czarnego kota, brzmiące jak pogróżka albo ostrzeżenie.

Dwie godziny później panienka Hisvet zaproponowała Myszakowi: — Złote runo za twoje myśli, szermierzu.

Hisvet ponownie siedziała na huśtającej się dolnej koi. Długi stół, zastawiony kuszącymi potrawami i wysokimi kielichami, stał teraz obok koi. Fafhrd siedział naprzeciw Hisvet, mając za sobą puste klatki, podczas gdy Myszak — przy końcu stołu od strony rufy. Tuż przy drzwiach tkwiła Frix, która ich obsługiwała, tam też odbierała tace pełne jedzenia od pomocników kucharza, ledwie pozwalając im zerknąć do środka. Tam umieszczono także mały metalowy kosz do przechowywania potraw w ciepłe, a Frix smakowała najpierw każdą potrawę, później odstawiała na chwilę do kosza i dopiero po kilku minutach podawała. Grube ciemno-różowe świece w srebrnych lichtarzach, rzucały słabe światło.

Szczury przykucnęły wokół małego stolika, ustawionego na

podłodze obok ściany, pomiędzy łóżkiem a drzwiami. Miały na sobie czarne marynarki porozpinane od przodu i czarne paski. Robiły wrażenie, jakby bardziej chciały zabawić się okruchami jedzenia, niż je naprawdę zjeść. Nie podnosiły także do pyszczków małych czarek z winem, ale chłeptały z nich i to dość nieporadnie. Niektóre wdrapały się na koję, przez co trudno je było policzyć, nawet Fafhrdowi, który miał najlepszy widok. Czasami doliczył się dziesięciu, czasami jedenastu. Chwilami któryś z nich stawał przy kolanach Hisvet i szeptał coś do niej z intonacją cechującą ludzką mowę. Fafhrd i Myszak widząc to nie mogli powstrzymać się od chichotu.

— Marzycielski szermierzu, dwa runa za twoje myśli! — powtórzyła Hisvet, podwajając stawkę. — Z zachowaniem największej skromności, pójdę o zakład i o trzecie, że... dotyczą one mnie.

Myszak uśmiechnął się i uniósł brwi. Czuł lekkie zawroty głowy, głównie dlatego, że wbrew swoim pierwotnym zamierzeniom pił dużo więcej niż Fafhrd. Frix podała im właśnie główne danie — po mistrzowsku przyrządzone żółte *curry*, ciężkie od ostrych przypraw, przyozdobione napisem „Zwycięzca” sporządzonym z czarnych kaparów. Fafhrd pożerał je z zapalem, ale nie żarłocznie, zaś Myszak zabierał się do niego powoli. Hisvet ledwo tknęła cokolwiek z talerza.

— Odbieram ci dwa runa, biała księżniczko — odpowiedział swobodnie Myszak — gdyż będę potrzebował jedno, aby opłacić zakład, który właśnie wygrałaś, a drugie, aby ci zapłacić za to, że mi powiesz, co o tobie myślałem.

— Nie zatrzymasz zbyt długo mojego drugiego runa, szermierzu — wesoło powiedziała Hisvet — ponieważ gdy o mnie myślałeś, nie patrzyłeś na moją twarz, ale znacznie niżej.

Miałeś na myśli te ohydne podejrzenia, które rzucił dzisiaj Lukeen pod moim adresem.

Przyznaj się — czy nie tak?

Myszak opuścił tylko nieco głowę i wzdrygnął się bezsilnie, bo rzeczywiście zgadła jego myśli. Dziewczyna zaśmiała się i spojrzała na niego z udawaną złością.

— Och, szermierzu, masz zaiste niedelikatne myśli. Możesz się przynajmniej przekonać, że Frix — niezaprzeczalnie należąca do gatunku ssaków — nie jest traktowana jak szczurzyca.

Służąca Hisvet miała ciemną gładką skórę, a jedynie na biodrach i piersiach przepasana była wstęgami z jedwabiu. Srebrna siateczka przytrzymywała jej czarne włosy, a na nadgarstkach wisiały liczne srebrne bransoletki. Chociaż garbiła się jak niewolnica, nie miało się istotnie wrażenia, że jest nią tej nocy. Raczej towarzyszką swej pani, tak doskonale grała rolę służącej, podając posłusznie i z radością, jednak nie poddańczo.

Dla kontrastu z niemal rozebraną Frix, Hisvet ubrana była w jedną ze swych długich szat z kapturem, tym razem z czarnego jedwabiu wykończonego koronką. Jak zwykle kaptur odrzucony był do tyłu. Jej srebrnobiałe włosy, zaczesane wysoko do góry, spływały łagodnymi falami na ramiona. Przyglądając się jej zza stołu, Fafhrd rzekł: — Jestem przekonany, że panienka wydawałaby się równie piękna, niezależnie od postaci w jakiej zechciałaby pokazać się światu — czy to ludzkiej, czy jakiegokolwiek innej.

— Powiedziałaś to z największą szarmancją, szermierzu — rzekła Hisvet śmiejąc się. — Muszę ci to wynagrodzić. Podejdź do mnie, Frix.

I gdy Frix pochyliła się nad nią, Hisvet otoczyła jej talię rękoma i złożyła namiętny pocałunek na jej wargach. Potem

podniosła oczy i poklepała ją po ramieniu. Frix przyklękła przy Fafhrdzie i pocałowała go w taki sam sposób, w jaki sama została obdarowana pocałunkiem. Nagrodzony przyjął ten dar z wdzięcznością, bez niestosownego podniecenia, ale gdy Frix chciała już odejść, przedłużył pocałunek. Po chwili wyjaśnił: — Z nadwyżką, do oddania nadawcy, gdy tylko nadarzy się sposobność.

Frix uśmiechnęła się do niego szeroko i wróciła na swoje miejsce przy drzwiach mówiąc: — Muszę najpierw pokroić mięso dla szczurów, ty niegrzeczny barbarzyńco.

Hisvet natomiast odezwała się w te słowa: — Nie spodziewaj się zbyt wiele, dzielny szermierzu. To była tylko mała nagroda, przekazana przez pośrednika, za twoje szarmanckie przemówienie. Nagroda złożona ustami za słowa wypowiedziane ustami. Wynagrodzenie ciebie za pokonanie Lukeena i uratowanie honoru to już poważniejsza sprawa, której nie można tak łatwo zbyć. Pomyślę o tym.

W tym momencie zamroczony alkoholem Myszak zawołał do Frix: — Dlaczego masz kroić baraninę dla szczurów, śniada figlarko. Byłoby nie lada okazją zobaczyć, jak one same to robią.

Słyszając to Frix skrzywiła się, ale Hisvet odezwała się poważnie: — Tylko Skwee potrafi to robić z odpowiednią zręcznością, pozostałe mogłyby się skaleczyć, zwłaszcza gdy mięso serwowane jest jako śliskie *curry*. Frix, daj Skwee kawałek, aby mógł zademonstrować nam swe umiejętności. A resztę pokrój sama. Skwee!

— zawołała wysokim głosem. — Skwee! Skwee!

Szczur wskoczył na koję i stanął przed nią posłusznie, z przednimi łapkami splecionymi na piersi. Hisvet poinstruowała go, a następnie wyciągnęła ze srebrnego pudełka malutki

komplet, składający się z noża, widelca i ostrzałki, umieszczonych w pochewce. Przywiązała mu ją do paska. Skwee pokłonił się nisko i zwinnie zeskoczył.

Myszak obserwował tę scenę z przytłumionym zdumieniem czując że, znajduje się pod wpływem jakiegoś uroku. A to wielkie cienie przechadzały się po kajucie, a to Skwee stawał się tak wysoki jak Hisvet, a może Hisvet stawała się tak mała jak Skwee. To znowu Myszak malał do rozmiarów Skwee i uciekał pod koję, gdzie wpadał do rynny, którą w oka mgnieniu ześlizgiwał się do ładowni ze zbożem, pełniące tu rolę placu zabaw w podziemnej szczurzej metropolii. Na placu tym poruszały się tajemniczo szczury, odziane w długie szaty i kaptury przysłaniające ich pyszczki. Roznosił się odgłos uderzeń mieczy i brzęk pieniędzy. Kobiety– szczurzyce tańczyły lubieżnie dla pieniędzy, a szpicle i donosiciele czaili się w ciemnościach, gdzie każdy osobnik pokryty futrem kulił się, świadomy obecności wszechwiedzącej władzy, sprawowanej przez potężną Radę Trzynastu. Szczur–Myszak poszukiwał tam wszędzie szczupłej księżniczki szczurów zwanej Hisvet, z domu — Hisvin.

Wtem Myszak ocknął się z drzemki. Z pewnością musiał wypić więcej kielichów wina, niż sam naliczył. Zobaczył, że Skwee już siedzi przy stoliku dla szczurów, przed żółtym kawałkiem, który Frix położyła na srebrnym talerzyku. Na oczach pozostałych towarzyszy, Skwee wyciągnął z pochewki nóż i ostrzałkę. Myszak podniósł się z miejsca i podekscytowany rzekł: — Ach, gdybym tylko mógł być szczurem, biała księżniczko, mógłbym także zbliżyć się do ciebie tak blisko i usługiwać ci!

— Co za oddanie — zawołała Hisvet i zaśmiała się, pokazując przy tym — jak wydawało się Myszakowi — język, który był granatowo–czarny podobnie jak wnętrze jej buzi. Potem

powiedziała już całkiem poważnie: — Pamiętaj o swoich życzeniach, bo niektóre się spełniają — ale zaraz powróciła do rozbawionego tonu. — Mimo wszystko było to bardzo szlachetnie powiedziane, szermierzu.

Należy ci się za to nagroda. Frix, usiądź przy moim boku, o tutaj!

Myszak nie widział dokładnie, co działo się między nimi, ponieważ sylwetka Hisvet zasłoniła mu Frix — tylko wesołe oczy służącej błyszcząły jak czarny jedwab, wpatrując się w niego spoza ramion Hisvet. Panienska szepnęła jej coś do ucha, tuląc się do niej figlarnie.

W międzyczasie dał się słyszeć zgrzyt, jaki powodował Skwee ostrząc nóż. Myszak ledwie mógł dostrzec znad dużego stołu głowę i ramiona szczura. Naszła go pokusa, aby wstać i zbliżyć się do Skwee, a przy okazji rzucić okiem na to, co robią Hisvet i Frix — czuł się jednak przykuty do swego miejsca. Czy było to skutkiem jakiegoś letargu, czy oddziaływania wina na jego zmysły, czy też czystej magii — trudno mu było powiedzieć.

Dręczyła go tylko jedna myśl, że Fafhrd mógłby wystrzelić z bardziej wymyślnym komplementem niż on, o tyle wymyślniejszym, że zdołałby może nawet zniweczyć to, co Frix miała mu przekazać. Ale spostrzegł, że broda przyjaciela opadła nisko na pierś, a do uszu doszły go pomruki pochrapywania.

Pierwszą reakcją Myszaka było uczucie złośliwej ulgi. Pamiętał dobrze, jak w przeszłości oddawał się figlom, podczas gdy jego przyjaciel chrapał jak zabity. Tym razem Farhrd musiał najwyraźniej ukradkiem pociągać z kielicha lub też dolewać sobie dodatkowo.

Frix podskakiwała i chichotała nieprzyzwoicie. Hisvet nadal szeptała jej coś na ucho, na co służąca gruchała i zanosila się

śmiechem, cały czas przyglądając się łobuzersko Myszakowi.

Skwee schował ostrzałkę do futerału, wyjął stamtąd zamazyście widelec, wbił go w panierowany na żółto kawałek mięsa i zaczął go kroić z niebywałą zręcznością.

W końcu Frix wyprostowała się, skierowała w stronę stołu nie przestając uśmiechać się do Myszaka. Skwee pochwalił się odkrojonym, cienkim jak kartka papieru plasterkiem baraniny, który zatknął na końcu widelca i podstawił wszystkim do podziwiania.

Pogrążony w sennym otępieniu Myszak poczuł nagły powrót świadomości. Dotarło właśnie do niego, że Fafhrd nie mógł potajemnie wypić aż takiej ilości wina z tej prostej przyczyny, że nie spuszczał go przecież z oczu przez ostatnie dwie godziny. Co prawda wino może zadziałać z pewnym opóźnieniem... Ogarnęło go jednak uczucie czystej zazdrości na widok Frix, zatrzymującej się przy Fafhrdzie i przyglądającej się z bliska jego twarzy.

Dokładnie wtedy Skwee wydał przeraźliwy pisk wściekłości i oburzenia. Potem wskoczył na koję, trzymając nadal w łapie widelec z kawałkiem mięsa. Spod opadających powiek Myszak widział, jak Skwee gestykulował wzburzony i ludzkim głosem coś dramatycznie wyjaśnił Hisvet, aż wreszcie z oskarżycielskim piskiem podsunął jej pod nos plasterek.

W czasie tego trajkotania doszły też do Myszaka odgłosy ukradkowych kroków na środkowym pokładzie, który przylegał do kabiny. Starał się zwrócić na to uwagę Hisvet, ale okazało się, że usta i język straciły czucie i nie chcą podporządkować się jego woli.

Nagle Frix złapała Fafhrda za włosy i jęła potrząsać jego głową w przód i w tył. Szczęka zwisała mu bezładnie, a oczy opadły odsłaniając białka.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi, dokładnie takie samo, jak te zwiastujące przybycie kuchcików z potrawami.

Hisvet i Frix wymieniły spojrzenia. Ta druga puściła głowę Fafhrda, podbiegła do drzwi i zaryglowała je sztabą, akurat w chwili, gdy coś odbiło się z głuchym łoskotem od grubych desek. Ten łoskot rozlegał się jeszcze przez kilka minut. Brzmiało to tak, jakby jakąś częścią zapasową masztu uderzano niczym kafarem w drzwi, ustępujące coraz bardziej pod kolejnymi ciosami.

W końcu Myszak uświadomił sobie, że naokoło coś się działo i że powinien w tej sytuacji podjąć jakieś kroki. Spiął się od wewnątrz, podejmując gigantyczny wysiłek wydobycia się z letargu i powstania z miejsca. Okazało się jednak, że ledwo mógł ruszyć palcem. Wszystko do czego był zdolny, to nie pozwolić oczom zamknąć się zupełnie i spod przymrużonych powiek przyglądać się krzątaniu w kajucie.

Frix zablokowała drzwi stołem i zaczęła na nim układać stos różnych przedmiotów. Zza swej koi Hisvet powyciągała różne pudełka i otwierała je jedno po drugim. Jak tylko postawiła je na podłodze, podeszły do nich szczury i zaczęły wyciągać ze środka różną broń. Były tam miecze i włócznie, a także bardzo już zardzewiałe kusze z przyczepionymi pudełkami na bełty. Zaopatrzyły się w więcej broni niż same mogły użyć. Skwee błyskawicznie włożył hełm koloru ciemnej śliwki. Wkoło pudełek krążyło dziesięć szczurów — to Myszak zauważył dokładnie.

Na środku zatarasowanych drzwi pojawiła się szpara. Wtedy Frix doskoczyła do klapy od luku do ładowni i uniosła ją. Hisvet rzuciła się na podłogę i wsadziła głowę w tę ciemną, kwadratową dziurę. Ruchy obu kobiet miały w sobie coś zwierzęcego. Może to z powodu niskiego i zatłoczonego pomieszczenia, ale Myszak

miał wrażenie, że obie chętniej poruszały się na czworakach.

Hisvet odskoczyła od dziury i dała znak szczerom. Pod dowództwem Skwee pomaszerowały na dół, trzymając w górze świecąca broń, która raz lub dwa zabrzęczała. Po chwili zniknęły Myszakowi z oczu. Z niszy zasłoniętej kotarą Frix wyjęła ciemne ubranie.

Hisvet chwyciła ją za przegub ręki i popchnęła przed siebie, prosto do luku, po czym sama podążyła za nią. Zanim zamknęła za sobą klapę, ostatni raz rozejrzała się po kabinie. I gdy tak wpatrywała się w Myszaka, wydawało mu się, że jej czoło i policzki pokryły się jedwabnym białym włosem — ale mogło to być jedynie przewidzenie.

Drzwi do kabiny pękły i gruby kawałek masztu wleciał do środka z ogromnym hukiem, przewracając stół i rozrzucając poukładane na nim przedmioty. Tuż za masztem wpadli trzej żeglarze, zaraz za nimi Slinoor z nożem myśliwskim i jego oficer nawigacyjny z kuszą przy boku.

Slinoor wysunął się na czoło, rozejrzał szybko wokoło i powiedział: — Nasza makowa przyprawa do *curry* zadziałała tylko na tych dwóch łobuzów, opanowanych przez żądze, ale Hisvet ukryła się gdzieś ze swoją niewolnicą. Szczury powypuszczano z klatek. Żeglarze, przeszukajcie pomieszczenie! Panie oficerze, ubezpieczaj nas!

Najpierw ostrożnie, ale później w pośpiechu żeglarze przeszukiwali kabinę. Wysypywali wszystko z pudełek, przetrząsali kołdry i materace, odsuwali od ścian komody i otwierali te, które były zamknięte, całymi stosami wynosili z niszy ubrania Hisvet.

Myszak podjął jeszcze jeden wysiłek, aby coś powiedzieć lub poruszyć się, ale bez większego powodzenia, nie licząc otwarcia

zamglonych oczu. Jeden z żeglarzy próbował nim potrząsnąć, ale bez skutku. Fafhrd dostał kuksańca w plecy, głowa opadła mu na stół, prosto w półmisek duszonych śliwek. Jego ręce nieświadomie poprzewracały kubki i porozrzucały talerze.

Oficer trzymał kuszę wycelowaną w każde nieprzeszukane jeszcze miejsce w kabinie.

Slinoor badał wszystko sokolim wzrokiem, odrzucając nożem na bok jedwabne fatałaszki, przewrócił stolik, przy którym szczury biesiadowały i przyglądał mu się uważnie przez chwilę.

— To tutaj te szkodniki ucztowały jak ludzie — powiedział z oburzeniem. — Podano im potrawę z *curry*. Mogły przez nią zupełnie stracić przytomność.

— Najprawdopodobniej to właśnie one wyniuchały narkotyk, nawet przez taką warstwę przypraw, i ostrzegły kobiety — dodał oficer. — Szczury nadzwyczaj dobrze wyczuwają truciznę.

Kiedy już stało się jasne, że w kabinie nie ma ani kobiet, ani szczurów, Slinoor krzyknął z niepokojem: — Nie mogli przecież uciec na pokład — poza strażą są tam jeszcze drzwi zamknięte od zewnątrz. Może przez okno...

W tej chwili za Myszakiem otworzyło się narożne okno i Zbrojmistrz z „Kałamarnicy” oznajmił: — Nikt tędy nie przechodził. Gdzie oni są, kapitanie?

— Zapytaj kogoś mądrzejszego ode mnie — odburknął mu na to Slinoor. — Tutaj ich na pewno nie ma.

— Żeby tylko ci dwaj mogli coś powiedzieć! — nawigator głośno wyraził swoje życzenie, wskazując na Fafhrda i Myszaka.

— Nic z tego — ponuro odrzekł Slinoor. — Skłamaliby.

— A potem dodał: — Osłaniaj to wejście; do ładowni. Ja podniosę klapę i porozmawiam z pierwszym oficerem.

Właśnie wtedy dało się słyszeć kroki na środkowym pokładzie

i po chwili przez wyważone drzwi wszedł zastępca Slinoor. Miał zakrwawioną twarz, szedł podtrzymując, a po części wlokąc za sobą jednego z żeglarzy, także pokrwawionego na twarzy, w której tkwiło cienkie drzewce.

— Dlaczego opuściłeś ładownię? — Slinoor zażądał odpowiedzi od oficera. — Powinieneś być ze swoją załogą na dole.

— Szczury napadły na nas w drodze do ładowni pod rufą — z trudem wyksztusił pytany.

— Pojawiły się tuziny czarnych dowodzonych przez białego, niektóre były uzbrojone jak ludzie. Jeden z nich o mało nie pozbawił go oka. Dwa szczury z pianą na pyskach roztrzaskały nam lampę. To było istne szaleństwo wyjść po ciemku. Nie ma bodajże ani jednego członka naszej załogi, którego by nie pogryzły lub nie dźgnęły nożem. Zostawiłem ich na straży przy wejściu do ładowni. Twierdzą, że do ran przedostaje się trucizna, mówią coś o zabiciu klapy gwoździami.

— Co za monstrualne tchórzostwo! — krzyknął Slinoor.

— Udaremniście moją zasadzkę, która powstrzymała by ich już na samym początku.

Teraz wszystko musimy robić od nowa, to diabelnie trudne. Och wy, panikarze! Wystraszeni przez szczury!

— Mówiliśmy ci, że oni są uzbrojeni! — zaprotestował oficer wypychając przed siebie żeglarza. — O! Tutaj! Jest dowód, rana na policzku od włóczni!

— Nie dotykaj jej, kapitanie! — błagał żeglarz, gdy ujrzał, że Slinoor zbliża się, aby zbadać jego twarz. — Założę się, że jest zatruta.

— Nie ruszaj się chłopcze — rozkazał Slinoor — i zabierz rękę, trzymam ją mocno. Wbiła się tuż pod skórą. Postaram się

wyciągnąć ją tak, aby grot nie został w ranie. Panie oficerze, zwiąż mu ręce od tyłu. Chłopcze, nie ruszaj głową, jeśli nie chcesz, bym cię mocniej zranił.

Jeśli jest faktycznie zatruta, trucizna powinna być, jak najszybciej usunięta. Już!

Żeglarz jęknął z bólu. Po policzkach popłynęła mu świeża krew.

— To rzeczywiście okropna włócznia — zawyrokował Slinoor, dokładniej przyglądając się zakrwawionemu miejscu. — Nie wygląda jednak na zatrutą. Postaraj się delikatnie ciąć wzdłuż brzegu rany i wydobądź całą resztę na zewnątrz.

— A oto inny dowód, najbardziej podstępny — powiedział nawigator, który nadal myszkował po kabinie. Podał Slinoorowi małą kuszę.

Slinoor zaczął się jej przyglądać. W bladym świetle świeczek rzuciła niebieskawy blask, a podkrążone oczy szypra wyglądały jak agaty.

— To jest prawdziwa kusza diabła — krzyknął. — Przez przypadek to nawet dobrze, że napadły na was w ładowni. To w końcu powinno nauczyć każdego marynarza nienawiści do szczurów raz na zawsze. A teraz zabijcie wszystkie szczury na statku. W ten sposób zmażecie swoją zdradziecką głupotę, jaką wykazaliście wiwatując razem ze szczurami i okłaskując je, a także pozwalając się uwieść szkarłatnej dziewczynie i przekupić przez Myszaka.

. Myszak, nadal sparaliżowany i z konieczności przyglądający się Slinoorowi z ukosa, zrozumiał jednak, że słowa te odnosiły się także do niego.

— Od razu — dodał Slinoor — wynieście tych dwóch hultajów na pokład. Przywiążcie ich do masztu albo do relingu. Nie

pozwolę, aby pałętając się zniweczyli moją walkę i zwycięstwo.

— Czy mamy otworzyć właz i wpuścić strzałę do ładowni pod rufą? — ochoczo zapytał nawigator.

— Sami powinniście wiedzieć najlepiej — to było wszystko co usłyszeli od Slinoora.

— Czy uderzyć w gong, żeby zaalarmować całą flotę i wywiesić czerwoną lampę? — spytał pierwszy oficer.

Slioor milczał przez chwilę, potem rzekł: — Nie, ta bitwa należy do „Kałamarnicy”, da jej szansę zmycia dzisiejszego wstydu. Poza tym, Lukeen to krewki partacz. Zapomnijcie, co teraz powiedziałem, ale tak jest.

— Jednak nasza sytuacja byłaby lepsza, gdyby galera stała w pogotowiu — odważył się kontynuować oficer. — Nawet w tej chwili szczury mogą wygryzać dziury tam na dole.

— To mało prawdopodobne, bo przecież Królowa Szczurów jest też na dole — odparł

Slioor. — Uratuje nas tylko pośpiech, a nie przyglądające się statki. A teraz słuchaj uważnie.

Strzeż bacznie wszystkich wejść do ładowni. Pilnuj, aby wszystkie zapadnie i klapy były zaryglowane. Wyteż czujność. Niech każdy człowiek będzie uzbrojony. A na środkowym pokładzie zbierzcie wszystko, czego możemy użyć. Wykonać!

Myszak żałował, że Slioor powiedział „wykonać” z taką zaciętością, dlatego że zaraz dwóch żeglarzy chwyciło go za kostki i wyciągnęło z kabiny aż na środkowy pokład, nie zważając na to, że głowa odbijała mu się od pokładu. On jednak nie czuł żadnych uderzeń, tylko je słyszał.

Na zachodzie niebo tylko w części pokryte było gwiazdami. Na wschodzie, od dołu unosiła się gęsta mgła, a tuż nad nią rzadsza mgielka, przez którą świecił księżyc, znajdujący się w fazie

między kwadrą a pełnią. Wyglądał z daleka jak zdeformowana srebrna lampa.

Wiatr zelżał. „Kałamarnica” płynęła bez przeszkód.

Jeden z żeglarzy podtrzymywał Myszaka przy maszcie, podczas gdy drugi obwiązywał go liną. Gdy Myszak sterczał tak cały skrępowany, z rękami wzdłuż boków, poczuł jakby łaskotanie w gardle, po którym mógł na nowo poruszać językiem. Postanowił jednak niczego nie dać po sobie poznać. Jeszcze Slinoor w obecnym nastroju gotów byłby go kazać zakneblować.

Następnie Myszak zauważył, jak czterej żeglarze ciągną za sobą Fafhrda. Przywiązali go do relingu po prawej stronie burty, z twarzą zwróconą ku pokładowi. Wyglądało to dosyć zabawnie, ale barbarzyńca cały czas spał.

Na środkowym pokładzie powoli zbierali się żeglarze, schodzili się w zupełnym milczeniu albo szepcząc półgłosem. Widok dzid i kusz dodał im odwagi. Niektórzy z nich jako uzbrojenie dźwigali siatki albo długie, ostro zakończone widły. Nawet kucharz zjawiał się z rzeźnickim toporem, którym beztróska wymachiwał przed nosem Myszaka.

— Czyżbyś zaniemówił z zachwyty nad moją usypiającą *curry*, co?

W międzyczasie Myszak zdołał poczynić następne odkrycie, mianowicie mógł już poruszać palcami. Nikt nie zadał sobie trudu, aby go rozbroić, jednak Koci Pazur tkwił zbyt wysoko na lewym boku, aby którąś z rąk mógł go dosięgnąć, nie mówiąc już o wydobyciu go z pochwy. Wyczuł jednak brzeg tuniki i przesuwał ręką tak długo, aż przez materiał wymacał mały okrągły przedmiot, cieńszy z jednej strony. Pochwycił go przez materiał od grubszej strony, a potem zaczął pocierać materiał tą

cieńszą.

Wszyscy żeglarze zebrali się już na rufie, gdy w końcu z kabiny wyszedł Slinoor wraz ze swoimi oficerami i wydał komendę.

Myszak zdołał tylko pochwycić jego słowa: — Zabić Hisvet i jej służącą na miejscu. To nie są kobiety, ale przemienione szczury lub coś znacznie gorszego. — I jeszcze jego ostatni rozkaz: — Przy wejściu do ładowni postawcie strażę. A kiedy usłyszycie gwizdek bosmana, ruszajcie.

Ostatnią komendę zakłócił najpierw delikatny brzęk, a po nim krzyk zbrojmistra zasłaniającego rękami oczy. Wśród żeglarzy zapanowało przerażenie. Na ludzi biegających bezładnie po pokładzie posypały się strzały z kusz. Przez mgnienie oka, na tle relingu osnutego mgłą, przy prawej burcie zarysowała się sylwetka szczura uzbrojonego w kuszę.

Potem zabrzęczała tylko struna kuszy nawigatora i strzała wycelowana z niebywałą dokładnością strąciła szczura z relingu do morza.

— Ale oko! — zawołał Slinoor. — Dobry znak.

Uzbrojone oddziały ruszyły na dalsze poszukiwania zbiegów: jeden do kabiny, dwa za główny maszt. Na pokładzie pozostało tylko czterech żeglarzy.

Kiedy materiał pocierany przez Myszaka puścił, z postrzępionego brzegu z największą ostrożnością wydobył on żelazny *tik* (najmniejszej wartości moneta Lankhmaru), którego połowa krawędzi ostrością przypominała brzytwę. Przy jej użyciu przystąpił do przecinania najbliższej pętli, krępującej go od tyłu. Z nadzieją spojrział na Fafhrda, niestety głowa przyjaciela zwisała jakby bez życia.

Dał się słyszeć słaby gwizd, a w parę chwil później — drugi,

nieco głośniejszy i nadchodzący z przeciwnej strony. Potem nastąpiła seria przytłumionych okrzyków, zaraz po nich jakieś wrzaski. Coś stuknęło w pokład od spodu i na koniec, koło Myszaka przebiegł żeglarz, wymachując złapanym w sieć szczurem.

Palce Myszaka mówiły mu, że prawie przeciął już pierwszą pętlę. Zostawił ją złączoną tylko kilkoma nitkami i zgiąwszy odpowiednio nadgarstek, zaczął przecinać następną.

Pokładem wstrząsnął wybuch, który poparzył stopy Myszaka. Nie wiedział, co mogło go spowodować. Zawzięcie dalej piłował linę. Załoga na pokładzie krzyknęła z przerażeniem, jednego sternika wyrzuciło za burtę, drugi zdołał zatrzymać się na rumplu. Dziwnym sposobem zadźwięczał gong, choć nikogo przy nim nie było.

Kilka minut później z ładowni zaczęli wynurzać się przerażeni żeglarze, połowa z nich bez broni. Jak opętani biegali po pokładzie. Myszak słyszał, jak niektórzy żeglarze ciągnęli za sobą w stronę burty szalupy „Kałamarnicy” znajdujące się przed głównym masztem.

Domyślił się, że znaleźli się w okropnym położeniu, zaatakowani przez gromady szczurów, zmyleni przez udawane gwizdy, rżnięci i dżgani w każdym ciemnym kącie, trafiani przez strzały.

Ich druzgocącej klęski dopełnił fakt, że kiedy znaleźli się w ładowni wypełnionej zbożem, nie mieli tam czym oddychać, bowiem przed nimi przemaszerowała tamtędy horda szczurów, wzbijając tumany gęstego pyłu. Na dodatek Frix rzuciła ogień, wywołując eksplozję tego pyłu. Wybuch zwałił ich wszystkich z nóg, ale ogień nie rozprzestrzenił się na statku.

Wraz z grupą żeglarzy ogarniętych paniką, na pokładzie

pojawiła się jeszcze inna grupa, którą zauważył tylko Myszak. Składała się ona z bardzo spokojnych i zdyscyplinowanych czarnych szcurów, które wspinały się po nim na główny maszt. Myszak wrzasnął na alarm, chociaż wiedział, że szansę ocalenia nie są warte nawet jednego *tika* z uwagi na histerycznie zachowujących się żeglarzy i zewsząd atakujące szczury.

Niemniej jego czyn został negatywnie oceniony przez Skwee, który właśnie wtedy wdrapał mu się na lewe ramię. Trzymając w łapach, dla utrzymania równowagi, kosmyk włosów Myszaka, Skwee pochylił się do przodu, wlepiając w lewe oko człowieka dwoje swoich, ledwo widocznych zza ciemnośliwkowego hełmu. Następnie wymownym gestem nakazując mu zachowanie ciszy, wskazał na mały miecz wiszący u swego boku. Potem przejechał kciukiem wzdłuż gardła, tym samym wyraźnie wskazując na karę, jaka czeka Myszaka za zakłócenie ciszy. Po chwili wtopił się w cień za jego plecami, aby stamtąd móc obserwować żeglarzy, a także komenderować swoimi oddziałami. Myszak tymczasem nadal pocierał monetą krępujący go sznur.

Do rufy zbliżył się nawigator w towarzystwie trzech żeglarzy. Każdy trzymał po dwie lampy. Skwee cofnął się jeszcze bardziej między Myszaka i maszt, ale miecz przytknął do jego szyi. Myszakowi przyszedł na myśl pocałunek Hisvet.

Nawigator minął z daleka maszt, rzucając tylko krzywe spojrzenie w stronę Myszaka i kazał żeglarzom zawiesić lampy na urządzeniach dźwigowych i na przedzie rufy, marudząc przy tym, aby zrobili to dokładnie. Z jego paplaniny wynikało, że światła można użyć jako doskonałego środka obrony. Gadał także zawzięcie coś o okopach świetlnych i świetlnych palisadach i miał właśnie zamiar posłać żeglarzy na poszukiwanie dalszych lamp, gdy z kabiny z zakrwawionym czołem wypadł Slinoor i

rozejrzał się dookoła.

— Odwagi, druhowie! — wrzasnął. — Na pokładzie nadal mamy przewagę. Łodzie na dół! Będą potrzebne do wyławiania marynarzy. Biegnij no który po czerwoną lampę! Ty tam, bij w gong na alarm!

Ktoś rzucił w odpowiedzi:

— Gong jest za burtą. Liny, które go utrzymywały, przegryzione.

Ze wschodu nadciągały fale gęstniejącej mgły, okrywając „Kałamarnicę” srebrem księżycowej poświaty. Gdzieś zajęczał któryś z żeglarzy. Dziwna to była mgła — raczej zwiększała niż zmniejszała ilość światła rzucanego przez księżyc i latarnie umieszczone przez nawigatora. Jeszcze odróżniało się kolory, ale wkrótce „Kałamarnicę” otoczyła biała ściana.

Slinoor rozkazał:

— Leć po zapasowy gong, kucharzu! Dawaj swoje największe kotły, pokrywy, garnki i cokolwiek, co nadaje się do bicia na alarm!

Dało się słyszeć dwa uderzenia, jakby dwie łodzie „Kałamarnicy” rzucono na wodę. Od strony kabiny rozległ się krzyk kogoś w agonii.

A potem dwie rzeczy zdarzyły się naraz. Główny żagiel odłączył się od masztu, padając na prawą burtę jak sklepienie katedry podczas sztormu. Wszystkie liny i wiązania mocujące go do masztu zostały albo przegryzione, albo poprzecinane małymi mieczami szczurów.

Rozpostarł się szeroko na wodzie, ciągnąc za sobą bom. „Kałamarnica” przechyliła się na lewą stronę.

Oprócz tego, przez drzwi od kabiny i zza relingu rufowego wyskoczyła horda czarnych szczurów, prawdopodobnie

przywiedziona przez światło na dziobie. Rzuciły się całą ławą na ludzi, uderzając z jednakową siłą, niezależnie od tego, czy wylądowały na ostrzach dzid czy też na gardłach i twarzach.

Żeglarze zdołali się wyrwać i ruszyli do łodzi, ale szczury rzucały się im na plecy i gryzły dotkliwie. Oficerowie także ratowali się ucieczką, ciągnąc za sobą Slinoora, który wzywał ich do stawiania oporu. Skwee stanął na ramieniu Myszaka i zagrzewał swą szarańczę do walki, wymachując szablą. Następnie zeskoczył na dół i dołączył do ich szeregów. Cztery białe szczury uzbrojone w kusze, przyklekły na dźwigu. Zaczęły kręcić korbami, ładować i w końcu strzelać z wielką precyzją.

Rozległ się plusk, najpierw jeden, potem drugi, trzeci, a potem pół tuzina w jednej chwili, czemu towarzyszyły okropne wrzaski.

Myszak obrócił głowę i kątem oka zobaczył, jak dwóch ostatnich żeglarzy zeskakuje za burtę. Gdy jeszcze bardziej wykręcił głowę dostrzegł Slinoora, jak biegnąc za żeglarzami, mocował się z dwoma szczurami, siedzącymi mu na piersi. Cztery alabastrowe szczury zeskoczyły teraz z dźwigu i popędziły objąć nową pozycję na dziobie. Z dołu dochodziły krzyki i ludzie po chwili umilkli.

Na „Kałamarnicy” zaległa cisza, przerywana tylko coraz rzadszym chrobotaniem.

Kiedy Myszak ponownie obrócił głowę, zobaczył stojącą przed nim Hisvet. Tym razem miała na sobie ściśle przylegający do ciała czarny skórzany kostium. Wyglądała w nim niczym szczupły chłopiec. Głowę jej okrywał czarny skórzany hełm — podobny do tego, jaki wdział Skwee — spod którego zwisał koński ogon. Do lewego biodra przytwierdziła sztylet w pochwie.

— Drogi, drogi szermierzu — przemówiła łagodnie, uśmiechając się małymi usteczkami.

— Chociaż ty mnie nie opuściłeś.

— Wyciągnęła do niego rękę i prawie już dotknęła palcami policzka, gdy ujrzała linę krępującą mu rękę. Krzyknęła: — Związany! — i cofnęła rękę.

— Byłbym bardzo zobowiązany, Biała Księżniczko, gdybyś mnie uwolniła — rzekł pokornie Myszak, nie przestając jednak pocierać monetą o sznur. Choć nieco stępiona, przecięła trzecią pętlę prawie do połowy.

— Musimy temu zaradzić — Hisvet odpowiedziała jakby nieobecna, wzrok mając utkwiony nieco powyżej głowy Myszaka. — Ale moje palce są zbyt delikatne i nie przyzwyczajone, aby poradzić sobie z tak potężnymi supłami. Teraz muszę wysłuchać sprawozdania Skwee.

— Skwee! Skwee! Skwee! — zawołała niecierpliwie. Kiedy się obróciła i skierowała w stronę rufy, Myszak zauważył, że wszystkie jej włosy wypływały przez otoczoną srebrną kłamrą dziurę w szczycie hełmu. Obok niego przebiegł Skwee i gdy dogonił Hisvet, stanął po jej prawej stronie, o trzy szczurze kroki za nią, i przybrał pozycję niczym głównodowodzący generał przed cesarzową — z przednią łapą na rękojeści miecza i wysoko zadartą głową.

Myszak skierował wzrok na Fafhrda, nadal przywiązanego do relingu. Ujrzał na jego karku przykucniętego kota z najeżoną sierścią, który powoli drapał pazurami policzek Fafhrda, podczas gdy tamten w najlepsze chrapał. Wtedy kot przechylił łepkę jeszcze niżej i ugryzł

Fafhrda w ucho. Ten mruknął żałośnie, ale zaraz znowu zachrapał.

Niedaleko od nich pojawiły się dwa szczury, biały i czarny. Zatrzymały się, spojrzały badawczo na kota i natychmiast

popędziły na rufę, aby zameldować Hisvet lub Skwee o tym incydencie.

Myszak zdołał się już prawie oswobodzić z pęt, gdy pojawiły się znowu te cztery alabastrowe szczury, ciągnąc za sobą miedzianą klatkę z piszczącymi strzyżykami, które Myszak widział przy koi żeglarza w forkasztelu. Zatrzymały się przy dźwigu i dały pokaz strzelania do ptaków. Wypuściły jednego z nich, a gdy ten rozwinął skrzydła w locie, sprowadziły go na dół jednym celnym strzałem z kuszy na odległość kilku metrów. Ani razu nie chybiły. Raz lub dwa, jeden ze szczurów odwrócił się w stronę Myszaka i wymownie dotknął ostrza strzały.

Z rufy, po drabinie zeszła Frix. Ubrana była tak samo jak jej pani, tylko zamiast hełmu nadal miała srebrną siateczkę na włosach a z jej dłoni znikły bransoletki.

— Lady Frix — zawołał Myszak, prawie z radością.

— Podeszła do niego z uśmiechem.

— Samo Frix brzmi lepiej — powiedziała. — Lady to taki sztywny tytuł.

— Więc Frix — zawołał Myszak — czy po drodze mogłabyś zdjąć tego czarnego wiedźmowatego kota z naszego zamrozonego makiem przyjaciela. Wydrapie mu przecież oko!

Frix obejrzała się, ale nadal posuwała się w jego stronę, nie wykazując żadnego zrozumienia dla jego słów.

— Nigdy nie mieszam się do przyjemności lub przykrości innych ludzi, jako że trudno odróżnić jedne od drugich — poinformowała go, podchodząc blisko. — Wykonuję tylko rozkazy mojej pani. Teraz mam ci powiedzieć, abys był cierpliwy i dobrej myśli. Niedługo skończy się dla ciebie czas próby. A to moja pani przesyła ci jako przypomnienie. — Po czym złożyła pocałunki na jego powiekach.

Myszak zaskoczony odparł:

— Ten rodzaj pocałunków rozdają kapłanki bogini Djil, zamykając oczy opuszczającym ten świat.

— Naprawdę? — zapytała Frix.

— Tak — potwierdził Myszak, czując jak przeszywają go lekkie dreszcze. — A teraz Frix, rozsoplaj te więzy. Jest to zgodne z poleceniem twej pani.

— Wykonuję tylko rozkazy wypowiedziane ustami mojej pani — powiedziała Frix, potrząsając przecząco głową. — Nic nie wspomniała o rozwiązaniu węzłów. Ale niewątpliwie wkrótce rozkaże mi cię rozwiązać.

— Niewątpliwie — powtórzył Myszak, z nieco ponurym wyrazem twarzy, powstrzymując się w czasie obecności Frix od przecinania trzeciego węzła.

Jakby na zawołanie, Hisvet lekko nadeszła od strony rufy i zbliżyła się do nich.

— Pani, czy kazałaś mi rozwiązać Myszaka? — zwróciła się do niej natychmiast Frix, jakby tylko czekając na znak.

— Sama tego dopilnuję — szybko odpowiedziała Hisvet. — Frix, idź na rufę i wypatruj mego ojca! Trochę za bardzo przedłuża się ta noc.

Białym szczurom, które akurat zestrzeły ostatniego strzyżyka, także rozkazała udać się na rufę. Kiedy już zniknęły, Hisvet przyjrzała się uważnie Myszakowi swymi czerwono-irysowymi oczami i lekko zmarszczyła brwi.

W końcu westchnęła głęboko i rzekła: — Gdybym tylko mogła być pewna.

— Pewna czego, biała Wielmożność? — zapytał Myszak.

— Pewna tego, że szczerze mnie kochasz — odpowiedziała bezceremonialnie tak, jakby on musiał o tym wiedzieć. — Wielu

ludzi, także kobiety, demony i bestie, mówiło mi już, że mnie kocha, ale naprawdę myślę, że nikt z nich nie kochał mnie — za wyjątkiem Frix, której szczęście polega na tym, że jest cieniem. Kochali moją młodość, urodę, pozycję społeczną, moją władzę nad szczurami — co jest szczególnie cenione w kilku innych światach, ale nikt nie kochał mnie samej. Czy naprawdę kochasz mnie dla mnie samej, Szary Myszaku?

— Kocham cię najprawdziwiej, Księżniczko Cienia — odpowiedział Myszak bez wahania.

— Naprawdę kocham cię jako cię, Hisvet. Kocham cię dużo mocniej niż ktokolwiek inny w Newhon, a nawet w innych światach, na niebie i w piekle.

„Ale właśnie wtedy usłyszał niesamowicie żałosny jęk, o wysokim, przenikliwym tonie. To ten wstrętny kot musiał ugryźć lub podrapać Fafhrda, toteż bez zastanowienia zwrócił się do Hisvet: — Droga księżniczko, proszę odgoń wpierw tego kota od mojego przyjaciela, bo boję się, że zaraz go oślepi. — Potem możemy rozmawiać do woli o naszej miłości, nawet do końca świata.

— O tym właśnie mówiłam! — powiedziała Hisvet z wyrzutem. — Gdybyś mnie naprawdę kochał, nie dbałbyś ani trochę o to, co się dzieje z twoim najbliższym przyjacielem.

Z miłości dla mnie zniosłbyś nawet widok tortur własnej matki. Wystarczyłoby ci to, że na cię patrzę, dotykam cię... Czując moje pocałunki na wargach, moje smukłe dłonie na całym ciele, mógłbyś patrzeć, jak koty wydłubują oczy twojemu przyjacielowi lub rozdrapują go na śmierć, czy też żywcem pożerają go szczury. I byłbyś zupełnie zadowolony. Szary Myszaku, w całym moim życiu dotknęłam tylko kilku rzeczy. Nie dotknęłam żadnego mężczyzny lub męskiego demona, chyba że

za pośrednictwem Frix. Zapamiętaj to Szary Myszaku!

— Bądź tego pewna, światło mego życia! — odrzekł Myszak w wielkim uniesieniu, wiedząc teraz z jakiego rodzaju szaleństwem samouwielbienia ma do czynienia. Sam podzielał część tej dziwnej manii, stąd był dość dobrze obeznany z tego rodzaju skłonnościami.

— Niechaj od ukłucia szpilek ten barbarzyńca wykrwawi się na śmierć! Niech kot wydlubie mu oczy! Niech szczury uczują sobie na nim! Jakie to ma dla nas znaczenie, gdy jesteśmy zajęci sobą, wymianą słodkich słów, pieszczot, rozmową naszych ciał i naszych dusz! — powiedział chcąc udowodnić, że się z nią zgadza.

Nie zważając na to, że Hisvet patrzy na niego, przystąpił do ponownego nacinania więzów, tym razem dużo silniej naciskając stępioną już monetą. Myśl, że na wysokości żeber ma swój Koci Pazur, sprawiła mu przyjemność.

— Powiedziałeś to zaiste jak mój oddany kochanek — z rozpluwającą się słodyczą powiedziała Hisvet i musnęła go w przelocie palcami po policzku, że aż poczuł zimny powiew.

Potem odwracając się zawołała: — Hej! Frix! Przyślij mi tu Skwee i jego białą gwardię.

Niech każdy z nich przyprowadzi dwóch czarnych kompanów. Mam dla nich coś — nagrodę, pewnego rodzaju ucztę.

Nie sposób opowiedzieć, co mogłoby się wydarzyć, gdyby nie to, że Frix właśnie wtedy zawołała w stronę mgły: — Ahoj! — i z góry radośnie krzyknęła: — Czarny żagiel! O, błogosławiona panienko, to twój ojciec!

Za perłowej mgły po prawej stronie burty ukazała się górna część czarnego żagla w kształcie trójkątnej płetwy rekina. Płynął on równolegle z „Kałamarnicą”, tuż przed jej brązowym żaglem

unoszonym na wodzie. Słyszać było trzepotanie czarnego żagla, gdy w górę wznosiły się dwa bosaki, w odległości równej długości małego statku i spadły z hałasem na reling środkowego pokładu. Frix pobiegła w tamtą stronę i w połowie odległości pomiędzy bosakami przytwierdziła do relingu czubek lnianej drabiny, rzuconej w górę z czarnego kutra.

Z pewnością musi to być ten ukochany pojazd — pomyślał Myszak.

Po linie wspiął się, a następnie zwinnie przeskoczył reling starszy człowiek rodem z Lankhmaru, ubrany w czarną skórę. Na jego ramieniu siedział biały szczur. Za nim kroczyli zwinnie dwaj szczupli i śmiali Mingolowie — o twarzach brązowo-żółtych, przypominających barwą stare cytryny, — a każdy miał na ramieniu czarnego szczura.

W tym momencie, zupełnie przypadkowo, Fafhrd znowu jęknął, tym razem głośniejszym głosem, otworzył oczy i wydał nieprzytomny krzyk jak w narkotycznym śnie: — Miliony czarnych małą! Mówię ci, weź ją! Ten czarny diabeł rodem z piekieł torturuje mnie! Zdejm go ze mnie!

Słyszając to czarny kot uniósł się, wyciągnął do przodu swoją diabelską mordkę i ugryzł go w ucho. Nie zważając na te hałasy, Hisvet z otwartymi ramionami skierowała się ku przybyszom.

— Witaj mój Ojczy! Witaj Crigu, kapitanie szczurów. Wy pokonaliście „Małą”, a ja „Kałamarnicę” i tej nocy, dzięki moim staraniom, ujrzymy rozgromienie całej floty. A wtedy Movarl będzie pokonany, Mingolowie przejdą przez Zapadający się Ląd, Glipkerio będzie obalony, a Lankhmar znajdzie się pod władaniem szczurów dowodzonych przeze mnie i przez ciebie.

Spojrzenie Mysza, nieprzerwanie piłującego trzecią pętlę, padło wtedy na pyszczyk Skwee. Na wezwanie Hisvet zszedł on z

rufy wraz z ośmioma białymi druhami. Posłał Hisvet milczące spojrzenie, które poddawało w wątpliwość jej przechwałki na temat władania szczurów nad Lankhmarem.

Hisvin, ojciec Hisvet, miał pomarszczoną twarz, z długim nosem, gdzieniegdzie tylko upstrzoną tygodniowym zarostem starszego człowieka. Pomimo wieku i zgarbionej sylwetki, poruszał się bardzo zwawo, stawiając drobne, ale szybkie kroczki. Obszedł pokład dookoła, zostawiając Mingolów przy drabinie. Minąwszy już Fafhrda i jego czarnego dręczyciela a także Myszaka przystanął przy Hisvet i nerwowo przestępując z nogi na nogę, nadal pochylony, rzucił szybko i z wyraźnym oburzeniem: — Dziś wieczorem panuje tutaj straszne zamieszanie! Flirtujesz i romansujesz ze związanymi mężczyznami! Wiem, wiem! Księżyc za mocno świeci. Każę wypatroszyć astrologowi wątrobę. „Rekin” wiosłuje jak szalona mątna przez mglistą biel, a nad falami pędzi czarny balon z białymi światłami! Nim znaleźliśmy ciebie, natknęliśmy się na morskiego potwora, który niósł na grzbiecie szwargoczącego demona. Potraktowali nas, jakbyśmy mieli być ich obiadem, ale szczęśliwie zdołaliśmy im umknąć!

— Cóрко, ty i twoja służąca oraz twoi mali ludzie — kontynuował — musicie natychmiast udać się wraz z nami do kutra, ale przedtem należy zabić tych dwóch, a na pokładzie pozostawić samobójczą grupę gryzoni do zatopienia „Kałamarnicy”!

— Zatopić „Kałamarnicę”? — z niedowierzaniem zapytała Hisvet. — Plan przewidywał przecież przedostanie się do Ilthmaru z niewielką załogą Mingolów i sprzedaż tam zboża.

— Plany się zmieniają — odparł Hisvin. — Cóрко, jeśli nie opuścimy tego statku w czterdzieści oddechów, „Rekin” zgniecie

nas przez zwykły nadmiar energii albo też padniemy ofiarą tego morskiego potwora, ujeżdżanego przez klaunowato ubranego szalonego poganiacza. Daj rozkaz Skwee! A potem wydobądź nóż i poderżnij gardła tym dwóm głupcom! Szybko! Szybko!

— Ależ tatusiu — sprzeciwiała się Hisvet — zamierzam zrobić z nimi coś zupełnie innego.

Nie śmierć — a przynajmniej, nie od razu. Planowałam coś artystycznego, coś pięknego.

— Daję ci na każdego trzydzieści oddechów, zanim ich zarżniesz! — zdecydował Hisvin.

— Trzydzieści oddechów i ani jednego więcej! Zapamiętaj! Już ja cię znam!

— Tato! Nie bądź taki szorstki! Dlaczego zawsze musisz ludziom przedstawiać mnie w złym świetle? Nie zniosę tego dłużej!

— Ple, ple, ple! Sprawiasz większy kłopot i udajesz jeszcze więcej niż twoja matka–szczurzyca.

— Ale przyjmij do wiadomości, że dłużej tego nie zniosę. Tym razem, dla odmiany, postąpimy tak, jak ja chcę!

— Sza, sza! — rozkazał ojciec, pochylając się jeszcze niżej, z ręką zwiniętą w trąbkę przy lewym uchu, a Crig uczynił to samo.

Zza mgły dobiegło ledwo słyszalne szwargotanie: — *Gottverdammter Nebel! Freunde, wo sind Sie? {Cholerna mgła! Przyjaciele, gdzie jesteście? — nie da się ukryć, że nie dysponował najlepszym dostępnym słownikiem}*.

— To ten szwargoczący klaun! — zawołał Hisvin. — Ten potwór już nas wytropił! Szybko córko! Wyciągaj nóż i zabij ich albo rozkażę, aby Mingolowie ich zabili!

Gestem ręki Hisvet sprzeciwiła się temu.

— Ja to zrobię — powiedziała. — Skwee, podaj mi kuszę.

Naładuj ją srebrem.

Biały kapitan założył przednie łapy na piersi i odburknął jej z wyraźną pretensją w głosie.

— Nie, nie. On nie będzie twój — odpowiedziała ostro. — Nie możesz dostać żadnego z nich. Obaj należą do mnie.

Skwee jeszcze raz ostro zaprotestował.

— Dobrze. Twoi ludzie mogą wziąć to małe czarne. A teraz dawaj kuszę albo cię przeklnę! Pamiętaj tylko. Gładka srebrna strzała!

Hisvin podszedł do Mingolów i nerwowo przechadzał się dookoła nich., spluwając na pokład. Frix zbliżyła się do niego z uśmiechem i ujęła jego ramię, które on ze złością wyszarpnął.

Skwee nerwowo gmerał w worku. Ośmiu jego druhów popędziło w stronę Fafhrda i czarnego kota, który tymczasem stanął przed twarzą barbarzyńcy i warczał wyzywająco.

Sam Fafhrd, z zakrwawioną twarzą ale przytomnymi już oczami, próbował zrozumieć dramat sytuacji, zupełnie otrzeźwiony ugryzieniem w nos.

W tym momencie zza mgły dobiegł jeszcze jeden szwargot: *Gottverdammter Nirgendswelt* {*Psia krew. Kraj—jakiego—nie ma*}!

Przekrwione oczy Fafhrda rozszerzyły się i zajaśniały, zdradzając jakieś natchnienie!

Napinając się z całej siły, zaczerpnął powietrze w płuca i zawył: — HOONGK! HOONGK!

Napłynęła szybka odpowiedź, za każdym razem głośniejsza: — HOONGK! HOONGK! HOONGK!

Siedem z ośmiu białych szcurów, które przed chwilą przebiegły przez pokład, wracało dźwigając rozciągniętego i nadal warczącego kota, sześć trzymając go za łapy i uszy,

podczas gdy siódmy starał się opanować ogon, który miotał nim na wszystkie strony. Za nimi na trzech łapach podskakiwał ósmy szczur, z ramieniem sparaliżowanym po głębokim ugryzieniu kota.

Z kabiny i z forkasztelu, a także ze wszystkich kątów pokładu nadbiegły czarne szczury, aby móc nasycić się widokiem torturowania ich odwiecznego wroga. Toteż wkrótce cały środkowy pokład zapełnił się ich czarnymi sylwetkami.

Hisvin wydał Mingolom komendę. Każdy z nich wyjął nóż z falistym ostrzem. Jeden skierował się w kierunku Fafhrda, drugi — Myszaka. Czarne szczury przysiadły na łapach.

Skwee wysypał na pokład małe strzały. Pazurami pochwycił jedną, blado świecącą strzałę i umocował ją na kuszy, którą podał swojej pani. Hisvet prawą ręką podniosła kuszę w stronę Fafhrda, ale właśnie wtedy widok przesłonił jej Mingol zmierzający z wyciągniętym sztyletem w stronę Myszaka. Przeniosła więc kuszę do lewej ręki, wytarła swój sztylet i wysunęła się przed Mingola.

W tym momencie Myszak jednym szarpnięciem rozerwał trzy nadcięte więzy. Inne pęta nadal krępowały mu kostki i szyję, ale zdążył sięgnąć po Koci Pazur i rzucił nim w Mingola w tej samej chwili, gdy tamtego mijała Hisvet.

Sztylet przeciął jej blady policzek od szczęki do nosa. Drugi Mingol, zbliżając swój sztylet do gardła Fafhrda, nagle osunął się na pokład i zaczął się po nim turlać, ku zdziwieniu szczurów, które piszczały i starały się go zatrzymać.

— HOONGK!

Za mgły wyłoniła się zielona głowa potwora, dokładnie przy tej części relingu na lewej stronie, gdzie przywiązany tkwił Fafhrd. Po Fafhrdzie popłynęły strużki śliny wydobywającej się z

paszczy potwora.

Tak jak w pudełku z wyskakującą figurką na sprężynce, nad pokładem pojawiała się i znikwała na czerwono upačkana głowa potwora, zgarniając całymi kłębami czarne szczury z dębowego pokładu i pożerając je. Szczęki po brzegi wypełnione szczurami zwarły się o kilka centymetrów od toczącego się po pokładzie ciała Mingola. A potem zielona głowa unosiła się w górę i to straszne wybrzuszenie wędrowało w dół wzdłuż zielonkawożółtej szyi.

A gdy przygotowywała się do następnego uderzenia, wydała się maleńka w porównaniu z tym, co właśnie wynurzyło się za nią zza mgły. Druga zielona głowa była cztery razy większa od pierwszej i fantastycznie przystrojona w czerwień, pomarańcz i purpurę, ponieważ na pierwszy rzut oka jeździec wydawał się być częścią głowy. Ruszyła do przodu, niczym ojciec wszystkich potworów i zgarnęła podwójną ilość czarnych szczurów. Na koniec przyozdobiła tę porcję dwoma białymi szczurami, wyszarpniętymi z ósemki niosącej kota.

Sam atak zakończyła tak raptownie, że zrzuciła do przodu swego kolorowego jeźdźca, na próżno wymachującego włócznią. Jeździec przefrunął nisko obok głównego masztu, przewracając Mingola, który zamierzał się właśnie na Myszaka, i ześliznął się po pokładzie do relingu. Pozostałe białe szczury wypuściły kota, który natychmiast wskoczył na maszt.

Potem dwie zielone głowy — wygłodzone od czasu ostatniego prawdziwego posiłku przy Szczurzych Skałach i po dwóch dniach żywienia się tylko rybkami — zaczęły metodycznie oczyszczać ze szczurów pokład „Kałamarnicy”, starając się unikać ludzi, co nie zawsze im się udawało.

A zbite w gromadkę szczury nie mogły zrobić wiele aby

ustrzec się przed masową zagładą.

Być może w swym dążeniu do panowania nad światem przyswoiły sobie dosyć dużo cech ludzkich i na tyle się ucywilizowały, że teraz doświadczały uczucia beznadziejności i obezwładniającej paniki, a także wykształciły w sobie zdolność do sprowadzenia na siebie zagłady i cierpienia przez nią. Niewykluczone, że spoglądały na głowę potwora jak na bliźniacze i krwiożercze szczęki wojny i piekła, w które — chcąc nie chcąc — muszą wpaść.

W tym samym czasie grupa ludzi na pokładzie „Kałamarnicy” stanęła twarzą w twarz z zupełnie inną sytuacją.

Stary Hisvin potrząsnął pięścią i splunął prosto na większą głowę potwora, gdy ta po swoim pierwszym gigantycznym kęsie zbliżyła się do niego, jakby starając się „rozgryźć, czy ta zgarbiona czarna rzecz to bardzo dziwny człowiek czy też bardzo duży szczur. Ale gdy ta śmierdząca zjawą zbliżała się do niego, Hisvin zgrabnie owinął się wokół relingu i dopadł drabiny, którą zszedł na dół. Grig ratował swoje życie chowając się za czarny skórzany kołnierz Hisvina.

Zaś dwaj Mingolowie podnieśli się i podążyli w ślad za nim, przyrzekając sobie wrócić w zacisze przytulnych stepów tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

Z przeciwnej strony środkowego pokładu przyglądali się temu Fafhrd i Karl Treuherz, pierwszy unieruchomiony przez więzy, drugi ogromnie zdziwiony.

Skwee i jego biały druh, Siss, przebiegli po głowach swych czarnych krewnych, ogarniętych apatią i przerażeniem, i wskoczyli na reling po prawej stronie. Stamtąd obejrzeni się za siebie. Swiss przymrużył oczy z przerażeniem, ale Skwee, z lewym okiem zakrytym przez śliwkowy hełm, pogroził mu

małym nożem i zagrzewał do dalszej ucieczki.

Frix podbiegła do Hisvet i namówiła ją do podążenia za ojcem na prawy reling. Gdy zbliżyły się do szczytu skórzanej drabiny, dla utorowania drogi swej pani, Skwee zbiegł po niej pierwszy, wlokąc za sobą Swissa. Wtedy Hisvet odwróciła się jakby we śnie. Mniejsza głowa potwora podstępnie zbliżyła się do niej. Widząc to Frix skoczyła w tamtym kierunku z rozpostartymi ramionami i z uśmiechem na twarzy, prawie tak jak baletnica ukazująca się na oklaski publiczności. I prawdopodobnie ta gwałtowność jej ruchów oraz ich pozorna agresja spowodowały, że potwór cofnął się, zwierając swe kły. Dziewczyny weszły na drabinę.

Hisvet odwróciła się drugi raz. Na jej policzku widoczna była czerwona szrama od zadrażnienia Kocim Pazurem. Wycelowała kuszę w stronę Myszaka. Coś załśniło bladym srebrnym błyskiem. Hisvet wrzuciła koszę do morza i zeszła za Frix po drabinie. Bosaki puściły, łopoczący czarny żagiel wypełnił się wiatrem i czarny kuter rozpląnął się we mgle.

Myszak poczuł lekkie ukłucie w lewej skroni, ale zapomniał o tym, rozwiązując ostatnie supły na ramionach i kostkach. Przebiegł przez pokład, nie zwracając uwagi na zielone głowy, leniwie poszukujące ostatnich szcurzych kęsów i przeciął więzy Fafhrda.

Resztę nocy dwaj awanturnicy spędzili na rozmowie z Karlem Trueherzem, opowiadając sobie wzajemnie fantastyczne historie o swoich światach, podczas gdy nasycona córka Scyllii wolno krążyła wokół „Kałamarnicy”, a jej głowy kolejno zapadały w sen.

Rozmowa nie kleiła się, nawet z pomocą „Małego Lankhmarsko–Niemieckiego Słownika dla Podróżujących w

Czaso–Przestrzeni”. I nikt naprawdę nie wierzył w te opowieści, choć wszyscy udawali ze względu na łączącą ich przyjaźń.

— Czy wszyscy ludzie w „Jutro” ubierają się tak wytwornie jak ty? — zapytał Fafhrd, podziwiając purpurowo–pomarańczową szatę przybysza.

— Nie — wyjaśnił Karl Treuherz. — Hagenbeck wymaga tego tylko od swoich pracowników, aby w ten sposób rozprzestrzeniali sławę jego ZOO potworów.

Resztki mgły ustąpiły tuż przed świtem i wtedy ujrzeli rysującą się na tle morza rozsrebrzonego światłem księżyca sylwetkę czarnego statku Karla Treuherza kołyszącego się ledwie na odległość jednego strzału z łuku na zachód od „Kałamarnicy”. Jego światełka słabo migotały.

Karl wydał okrzyk radości, wezwał swego rozespanego potwora stukając włócznią o reling, odepchnął na bok większą głowę i odpłynął krzycząc do nich: — *Auf Wiedersehen!*

Fafhrd nauczył się w ciągu nocy jego języka na tyle, aby zrozumieć, co to znaczy.

Kiedy potwór wraz z Treuherzem znaleźli się pod wehikułem czasoprzestrzeni, ten obniżył się nieco i wciągnął ich jakoś do środka. Po chwili czarny statek zniknął.

— Podążył w nieskończone wody, w stronę bańki Jutra, o której opowiadał Karl — powiedział tajemniczo Szary Myszak — Zaklinam się na wszystkie diabły, że ten czarownik jest mistrzem magii!

Fafhrd przymrużył oczy, zachmurzył się, a potem wzdrygnął...

Czarny kociak ocierał się o jego kostkę. Fafhrd podniósł go delikatnie i powiedział: — Zastanawiam się kociaku, czy jesteś jednym z Kociej Trzynastki, czy też ich drobnym agentem nasłanym, aby mnie obudzić, kiedy to będzie konieczne?

Kociak miauknął tajemniczo, wpatrując się w podrapaną i pogryzioną twarz Fafhrda.

Nad wodami Wewnętrznego Morza wschodził czysty, szary świt, ukazując im najpierw dwie łodzie „Kałamarnicy”. Obie bardzo zatłoczone, z Slinoorem siedzącym u steru tej bliższej, ale podnoszącym się z uniesioną do góry ręką, gdy tylko rozpoznał sylwetki Fafhrda i Myszaka, a potem Lukeena. „Rekin” płynął w towarzystwie innych statków zbożowych: „Tuńczyka”, „Karpia” i „Wargacza”; a za nimi, daleko na północnym horyzoncie, zieleniły się żagle dwóch statków Movarla.

Myszak, przeczesując włosy lewą ręką, poczuł krótki, prosty i zaokrąglony czubek na skroni pod skórą. Wiedział, że jest to gładka srebrna strzała Hisvet, która ma tam już pozostać.

przełożyła: Elżbieta Wilczyńska

George Alec Effinger

MAUREEN BIRNBAUM,
BARBARZYŃCA Z MIECZEM

(według relacji Bitsy Spiegelman)

Ostatni raz widziałam Muffy Birnbaum, czekajcie no... w grudniu... nie, to było w styczniu, bo właśnie skończyła się sesja, a jeszcze nie pojechaliśmy z mamą do Palm Beach, żeby spędzić tam parę okropnych tygodni w hotelu B and T. Tak więc, to już prawie dziesięć miesięcy, a powiedziała mi, żebym zaczekała rok, zanim ujawnię to światu — jeżeli użyć jej własnych słów. Jest daleko stąd i w dodatku w innym czasie — jeżeli wierzyć w to, co mówiła.

Czy ja jej wierzę? Słuchajcie. Nie było jej przez cały tydzień, a potem nie zadzwoniła, tylko przysłała telegram, rozumiecie? „Spotkamy się pod hotelem Zegar, piętnastego stycznia, w południe. Przyjdź sama. Ufaj mi. Całuję. Muffy”. I co miałam o tym myśleć? Poszłam, a jej tam nie było. Zostawiła za to wiadomość: „Przyjdź do pokoju 1623”. Trochę to było zbyt zagadkowe, ale weszłam na górę. Otwieram drzwi, wchodzę, a tam ta cholerna Maureen Danielle Birnbaum stoi prawie naga, ubrana tylko w skórzane, krzyżujące się na piersiach pasy oraz złote minimajteczki i w rękę trzyma ten cholerny miecz, jakby spodziewała się, że nadchodzi Szeryf z Nottingham albo ktoś taki, a nie jej najlepsza przyjaciółka i współlokatorka z akademika. Zatkalo mnie od razu, a ona zadzwoniła, żeby przynieśli lodu,

wskazała mi fotel i zaczęła mówić. Opowiem wam to tak, jak mam nagrane na taśmie; zobaczmy czy uwierzycie.

— Słuchaj co ci powiem, Bitsy. Uwierz mi, myślałam, że wykorkuję, po prostu wykorkuję.

W szkole było potwornie nudno i zaczęłam się łamać. Naprawdę potrzebowałam odpoczynku i powiedziałam tacie, że odrobina białego szaleństwa dobrze mi zrobi. Skoczyłam do Mad River Glen zadać trochę szyku; tak myślałam, dopóki nie zobaczyłam konkurencji z innych college'ów. Babki były wystrzałowe i dobrze o tym wiedziały, tak że wystarczyło tylko którąś zagadnąć, a zaraz chętnie ci to udowodniła. Wystarczyło popatrzeć jak są ubrane, a od razu wiedziałaś, z której są szkoły — jakby nosiły uniformy. Dziewczyny z Vasar to te, które śmigają w dół i miały okrągłe znaczki wpięte w klapy swych studolarowych kurtek z gęsiego puchu. Dziewczyny z Bennington to te, co wyglądały jak łachmaniary i próbowały podjeżdżać tyłem pod górę. Zdecydowanie Nie–W–Naszym–Typie, kochana.

To twoje papierosy, Bitsy? Możesz mi... nie, lepiej rzuć całą paczkę. Zapalki mam w popielniczce. Mój Boże. Od tak dawna nie paliłam...

Na czym skończyłam? Aa, Vermont, zgadza się? Patrzyłam na ten cholerny stok i szykowałam się, żeby wyjechać na trasę i runąć w dół jak lawina, gdy coś mnie powstrzymało. Patrzę w niebo — a ono robi się ciemne, wiesz, i takie jakieś czyste i fajne, ale zarazem zimne — czuję się jakoś dziwnie. Z początku wydawało mi się, że zaraz umrę; normalnie umrę. Później pomyślałam”. Mój Boże, wiem co to jest. A zawsze mówią, że te środki są zupełnie pewne... No wiesz. Ale myliłam się. W następnej chwili zrozumiałam, że stoję zupełnie goła w śniegu obok mego własnego ciała, wciąż ubranego w ten bombowy

kombinezon od L.L. Beana i pomyślałam: Muffy, to już koniec. Wyglądało, że nie żyję, albo co; tylko nie wiedziałam, czemu mi tak cholernie zimno. Potem spojrzałam w niebo i zobaczyłam wtedy ten czerwony punkt i trochę się zatrzęśłam. Od razu wiedziałam, i powiedziałam sobie: Tam muszę iść. Do nieba czy do piekła, muszę. I zaraz poczułam mdłości, kołowanie i wszystko, a kiedy otworzyłam oczy wcale nie byłam w Vermont, ale dalej było mi zimno.

Napiję się Krwawej Mary. Ty chyba też, no nie? To spróbuj zadzwonić, żeby przynieśli lód. Ja już zrezygnowałam. Jesteś głodna? Później pójdziemy coś zjeść. Ja jestem na diecie, ale zjem coś dla towarzystwa.

W każdym razie szkoła w Greenberg nie przygotowała mnie na to, co zobaczyłam, kiedy otworzyłam oczy. Jak rany Boga, znalazłam się na jakiejś okropnej planecie, gdzieś w kosmosie.

Hej, Bitsy, masz może gumę do żucia, albo co? Balonowa? Klawo. Daj... nie, wystarczy jedna, dzięki. Okropna planeta, mówię ci. Tylko co stałam przed wyjazdem na trasę, szamocząc się z tym niemożliwym zamkiem ocieplacza, jaki Pammy — to jest nowa żona taty — kupiła mi na Gwiazdkę, a w następnej chwili już wpadłam po kostki w jakąś pomarańczową masę i jest mi tak zimno, że prawie zamarzam na śmierć. Było mi tak zimno, bo — myślę, Bitsy, że chyba musimy się obejść bez lodu, pewnie w tym hotelu po prostu nie wolno go używać, czy jak, więc nalej jak jest — bo stałam naga jak noworodek! Ja! Trzy lata mieszkamy razem, a nawet ty nigdy nie widziałaś mojego różowego tyłeczka. A tu nagle stoję goła, żeby cały świat mógł mnie widzieć, ale wierz mi, Bitsy, mało mnie to obchodziło.

Miałam na razie ważniejsze sprawy na głowie, a najbardziej zależało mi na tym, żeby się czymś okryć. Naprawdę brakowało

mi tego ocieplacza. Zimno było jak diabli.

Wokół nie widziałam niczego, poza tą pomarańczową masą pod stopami. Nie wiedziałam, co to jest. Widziałam, że to nie trawa. Wyglądało raczej jak gąbka, którą sprzątaczką przez parę lat trzymała pod zlewem. Ohyda! I nic więcej, tylko gdzieś w oddali kilka pagórków.

Postanowiłam pójść w tym kierunku, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Nie było gdzie iść, a za tymi wzgórzami mogły być jakieś sklepy — kto wie — może nawet Bollmingdale'a? Chociaż wystarczyłby mi nawet Lamstona, naprawdę.

Umrzesz ze śmiechu, kiedy ci to powiem; zobaczysz, że umrzesz. Kiedy zrobiłam krok, wzbiłam się wysoko w powietrze. Jak balon. Pomyślałam sobie: Muffy, kochanie, co oni ci wsypali do piwa? Gdy znowu stanęłam na nogach spróbowałam jeszcze raz i znów poleciałam w górę. Straciłam godzinę, zanim nauczyłam się chodzić, biegać i w ogóle. Dalej nie wiem, dlaczego tak tam jest. Któryś z tych głupków z Bruscha-Benneta wiedziałby od razu, ale mnie to nic nie obchodziło. Chciałam jedynie nauczyć się nad tym panować.

Wreszcie dotarłam na szczyt pierwszego pagórka — a mróz wciąż szczypał mnie w tyłek — i spojrzałam na mój nowy świat.

Chcesz wiedzieć, co zobaczyłam? Czy ktoś pukał do drzwi? Lepiej ty otwórz, Bitsy, bo obsługa w tym hotelu jest zupełnie niemożliwa, a tato zawsze się tu zatrzymuje. Szkoda, że nie słyszałaś, co powiedzieli o moim mieczu. Dużo o nim mówili, bo byli zbyt zmieszani, żeby wspominać o moim stroju. Wydaje mi się, że... Kto to? Z lodem? Możesz być tak miła i dać coś chłopcu? Nie mam złamanego grosza. Widzisz, że nie mam żadnych kieszeni, no nie?

Wszędzie było pełno tego pomarańczowego świństwa, aż po... jak mu tam?... po horyzont. Jednak niedaleko, może ćwierć mili dalej, zobaczyłam grupkę ludzi. Wyglądali, jakby wybrali się na piknik, taki jak ten, co mieliśmy z naszymi rodzicami przed regatami w Harvard. Pomyślałam: Fajnie, podwiozą mnie do jakiegoś motelu, gdzie zaczekam, aż wszystko się wyjaśni. Ale zaraz zaczęłam się zastanawiać, jak podejść do nich, zupełnie nago, taka czerwona od mrozu, biegu i w ogóle. Myślałam o okryciu co ważniejszych miejsc tą pomarańczową gąbką, lecz nawet nie wiedziałam, czy uda mi się ją wyrwać. Stałam tam i namyślałam się, kiedy usłyszałam wrzask tej dziewczyny. Wrzeszczała tak samo jak Corkie, gdy wrzuciliśmy jej do wanny śniętą rybę. Tam działo się coś okropnego, jakiś napad z pobiciem, kradzież torebki albo coś równie okropnego. Oczywiście pobiegłam tam co sił w nogach. Nie bądź taka zdziwiona. To normalne, gdy znajdziesz się na jakiejś świrniętej planecie, rozebrana i zmarznięta na kość, a wokół nie ma nic, oprócz dwóch księżyców na niebie. Czy wspominałam, że tam były dwa księżyce? No właśnie, były. Pobiegłam do tych ludzi, bo chciałam, żeby ktoś mnie podwiózł do miasta, obojętnie jakiego, a pomyślałam, że jeśli pomogę tej biednej dziewczynie, to może jej tato pozwoli mi zostać u nich przez pewien czas.

Kiedy dobiegłam, zorientowałam się, że zaszło drobne nieporozumienie. Okazało się, że to wcale nie autokar z kibicami Yale, chociaż tłukli się rzeczywiście zdrowo: tyle że wszyscy używali mieczy, takich jak ten i wcale nie udawali. Mówię ci, Bitsy, krew lała się wszędzie, i ludzie naprawdę umierali, i wszystko to było bardzo heroiczne i w ogóle, i strasznie dramatyczne. Ludzie walczyli z wielkimi, czwororękkimi stworami. Naprawdę, Bitsy, przestań się śmiać. Te ogromne,

czwororękie stworzenia atakowały ich, a oni zadawali ciosy z uśmiechem. Nigdy się nie dowiedziałam, dlaczego tak się zachowywali, dlaczego uśmiechali się w trakcie walki. W każdym razie na moich oczach pozabijali się wzajemnie; został tylko jeden gigantyczny stwór i jeden, naprawdę wstrząsający facet. Wszyscy pozostali leżeli na pomarańczowej gąbce, wcale mnie to nie zdziwiło. Na Boga, wyobraź sobie coś, co ma cztery metry wzrostu i macha czterema mieczami jednocześnie, i to tak szybko, że ledwo możesz dostrzec ostrze. I nagle ten cudowny chłopak potyka się o własne smukłe nogi, i pada jak długi.

Bitsy, słuchasz mnie czy nie? Mówię ci, sama nie wiem po co ci... Nie, czekaj. Wcale nie musiałam wysłać do ciebie telegramu. Mogłam zadzwonić do mamy. Tyle że dostałaby oczopląsu, gdyby zobaczyła mnie w tym stroju. Rozumiesz? Bardzo mnie to poruszyło, wiesz, kiedy tak stałam i patrzyłam, jak oni walczą i w ogóle, i chociaż ich nie znałam, bardzo się wzruszyłam. Byłoby dobrze, gdybyś okazała trochę szacunku. Ty nigdy z nikim nie musiałaś walczyć, jeśli nie liczyć tego głupiego pierwszorocznika z Amherst, z którym przed maturą poszłaś na randkę. Oczywiście, że go pamiętam. Niezwykłe był podobny do tych czwororękich stworów.

No, gdyby mojemu jasnowłosemu bohaterowi coś się przydarzyło, ten potwór zaraz zabrałby się za mnie. Skoczyłam jak sprytna dziewczynka i podniosłam miecz — o ten, nazywam go Stara Betsy, bo tak Davy Crockett nazywał swoją strzelbę czy coś tam... — podniosłam Starą Betsy i stanęłam przed tym... tym potworem, próbując nie patrzeć mu w ślepie. To przyszło mi bardzo łatwo, wierz mi, bo ślepie miał co najmniej metr nad moją głową. Przyjęłam pozycję — pamiętasz przecież, jaka byłam dobra na drugim roku, kiedy mieliśmy zajęcia z szermierki z tą...

jak ona się nazywała?... panną Deplante. Pamiętasz, jak ją zadziwiałam? W każdym razie, wyobraź sobie, stoję *en garde* i czekam, aż ten czwororęki łobuz też przyjmie pozycję. Cały kłopot w tym, że on tego nie robi, tylko bach! zamierza rozwalić mi łeb.

Jednak mnie już tam nie ma, bo odskoczyłam trzy metry dalej. Wiesz, że umiem skakać.

Podskakuję sobie przez minutę czy dwie, żeby pozbierać myśli i trzymać się z dala od potwora. On patrzy na mnie, zły jak cholera. Moje blond marzenie leży na ziemi i też patrzy.

Weź miecz, ciemniaku! — wrzeszczę do niego, na co on kiwa głową. Zapomniałam ci powiedzieć Bitsy, że wszyscy ludzie na tej planecie mówią po angielsku. To bardzo miłe i wygodne. Tak więc, we dwoje wykończyliśmy potwora. Nie, to zbyt okropne, żeby o tym mówić; cała ta rąbanina, siekanie i wszystko. Szymierka była przyjemniejsza — wiesz, to tak jakby żartobliwie szturchać kogoś ostrym kijem. I musiałam odwalić większość roboty, bo mój chłopak nie mógł sobie poradzić z tą czwororęką bestią. Walił ją po nogach, a w tym czasie dobra stara Muffy podskoczyła i odcięła jej mały łepiek. Zupełnie fantastyczne. No, to najciekawsza część tej historii. Kiedy już udało mi się zażegnać niebezpieczeństwo, chłopak mówi tak: Cześć! Byłaś wspaniała! Ja na to: Dzięki. Czuję się jakbym zeszła z karuzeli, ale nie daję tego po sobie poznać. My ze szkoły w Greenberg mamy swoją dumę, Bitsy. On nadaje dalej: Jestem Księżę Van. Uhm — mówię — ja jestem Maureen Birnbaum. Mój tata jest prawnikiem, a ja mieszkam z mamą. Hodujemy złote pudle. To ładnie — mówi księżę.

Wiesz jak ten facet wyglądał? Nie uwierzyłyabyś. Pamiętasz tego chłopaka, który przyjechał w odwiedziny do tej rudej

wiedźmy ze Staten Island? Nie, nie tego z Rutgers, tego z... jak się to nazywało? Taka szkoła, o której nikt nie słyszał — może Colby College w Maine? To brzmi jak nazwa serów, no nie? W każdym razie, gdyby stanął obok niego na tej pomarańczowej gąbce, byłby trochę podobny, lecz brzydszy od księcia To wysoki, silny blondyn o wspaniałych zębach i oczach jak Paul Newman, a ubrany... no widzisz, co mam na sobie.

Tylko wyobraź sobie, moja droga, jeśli nie padniesz z wrażenia. On jest piękny. I nazywa się Książę Van. Zawsze mówiłam, że pewnego dnia i przyjedzie po mnie...

Dobrze, dobrze. Naprawdę nie wiedziałam, co mu powiedzieć, i w ogóle. No wiesz, dopiero co wygraliśmy bitwę i wszędzie leżały te okropne... Co chwila musieliśmy przez kogoś przestępować i próbowałam na to nie zwracać uwagi. W końcu książę pochylił się, zdjął tę uprząż z jakiejś dziewczyny i powiedział, że to jego siostra. Wcale nie był smutny ani nic. Był bardzo dzielny, wprost nadzwyczajnie: mówię ci, żadnych łez z powodu siostrzyczki, bo pewnie pałacowa banda nie aprobowałaby tego. I wszyscy wysocy, o blond włosach i nieprzyzwoicie przystojni; a dziewczyny wyglądały jak zespół Tri-Delt — miały jasne kręcone włosy i wspaniałe zęby. Książę Van wyjaśnił, że to była jego świta, i żebym się nie martwiła. Będzie miał inną. Skąd? — pytam. Pomyślałam, że pałac nie może być daleko stąd.

No — mówi, a jego głos jest jak valium; po prostu chciałoby się zwinąć w kłębek i słuchać — moje miasto leży dwa tysiące mil stąd — i pokazuje ręką — ale bliżej jest inne, oddalone tylko o tysiąc mil. Ja na to: Tysiąc? Chyba żartujesz. A on mówi: Nigdy nie spotkałem takiej dziewczyny jak ty. I uśmiechnął się. Bitsy, przed czymś takim ostrzegła mnie mama i teraz zaczęłam

myśleć, że może to prawda. Chyba się zakochałam. Mówię: Jestem z innego świata — i staram się robić wrażenie, że spacerować po kosmosie to dla mnie normalność. To wszystko wyjaśnia — słyszę. To wyjaśnia twoją siłę, zręczność i egzotyczną urodę. Urzekły mnie twoje kruczoczarne loki. Nikt na naszej planecie nie ma włosów w takim kolorze. Są bardzo piękne.

Kruczoczarne loki, mój Boże! Zdaje się, że zrobiłam się czerwona, i chyba o to mu chodziło.

Trzymaliśmy się za ręce. Myślałam o dwóch tysiącach mil z Księciem Vanem i zastanawiałam się, co dziewczyny i chłopcy na tej planecie robią, kiedy są sami. Pewnie to samo co wszędzie, pomyślałam.

Wędrowaliśmy długo i zadałam mu masę pytań. Musiał sobie pomyśleć, że naprawdę jestem głupia, lecz wcale się ze mnie nie śmiał. Dowiedziałam się, że miasta są tak daleko stąd, bo znajdujemy się na dnie dawnego oceanu, który wysechł masę lat wcześniej. Teraz na całej planecie nie było ani jezior, ani oceanów, ani niczego. Chyba musieli dowozić im wodę, czy jak. Pomyślałam, że musi tu być ropa i postanowiłam zapamiętać to sobie. Chyba nikt jeszcze na to nie wpadł. No to gdzie żeglujecie? — mówię. Żeglujemy? — dziwi się. A co z pływaniem? — pytałam dalej. Pływaniem? — dziwi się jeszcze bardziej.

Był przystojny, faktycznie wstrząsająco przystojny, ale życie bez pływania i żeglowania to straszna nuda. I myślę, że kiedy wspomniałam o złotych pudlach, nie zaprzeczył mi tylko z uprzejmości. Mówię tak: Gdzie tu mogę dostać jakieś ciuchy? Doszłam do wniosku, że nawet jeśli jego miasto leży dwa tysiące mil stąd, to po drodze mogą być jakieś osiedla albo centra handlowe, gdzie jasnowłosi ludzie chodzą kupować nowe miecze, skórzaną uprzęż i wszystko.

Ciuchy? — on na to. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że tak powie, ale kiedy to usłyszałam z jego własnych ust, o mało nie padłam.

Długą chwilę maszerowałam marząc, naprawdę marząc o papierosie, i nic nie mówiąc.

Wreszcie nie mogłam już tego znieść. Van — mówię — słuchaj. To nie tak, że nie było mi z tobą cudownie ciachać tego potwora i w ogóle, jednak muszę ci powiedzieć, że nasz związek ma też bardzo ujemne strony i... Związek? — powiada i wciąż się uśmiecha. Chyba już miałam tego dość. Wyjaśniłam mu wszystko.

Nie ma tu koni. Nie można żeglować, pływać, jeździć na nartach, grać w kręgle. Nie ma adidasów, potańcówek w męskich szkołach ani średniej ocen. Nie ma tu disco, piwa, Nantucket Island ani placówek Coorsa. Nie ma Sunday Timesa ani czekolady Godiva, ani Dustina Hoffmana. Nie ma Joni Mitchell ani robotów domowych, ani złotych pudli, ani wyścigowego, zielonego triumpha. Nie ma ciuchów.

Bitsy, tam nie ma sklepów!!

Tak więc z lekkim żalem pocałowałam go w policzek, jego twarz też przybrała smutny wyraz. Mówię mu: *Adieu, mon cher* — i macham mu lekko ręką. Później znów wyciągam się ku niebu — och tak, zaraz zrozumiałam, że sama nie wiem, co robię, przecież mogłam wylądować Bóg wie gdzie — i czekam, aż znajdę się z powrotem na tym ośnieżonym szczycie w Vermont. Nie trafiłam, lecz mogło być gorzej. Przecież mogłam wylądować na Saturnie czy gdzie indziej. Spadłam na rogu Ósmej Alei i Czterdziestej Piątej. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi — nie odróżniałam się od tłumu.

Chciałabym cię prosić o drobną przysługę, Bitsy, i ruszam w

drogę. Tak, w drogę, niech to diabli! Wracam tam. Nie mam zamiaru zostawiać takiego nieprawdopodobnie atrakcyjnego księcia tamtym blond kociakom. On jest mój. Udało mi się przenieść strój i Starą Betsy, więc myślę, że uda mi się tam wrócić ze wszystkim, co wezmę. Najpierw chciałabym kupić parę rzeczy. Mój tata zawsze mówi mi, że należy być gotowym. Wciąż to powtarza — jest masonem, czy czymś, takim. On z pewnością był gotowy, kiedy spotkał Pammy, a niedługo stuknie mu pięćdziesiątka. Nieważne. Chodźmy, obskoczmy jakiś sklepik i postaramy się o parę spódnic, jakieś fikuśne džinsy, trochę swetrów, kilka koszulek i bluzeczek, ocieplany kombinezon narciarski, okulary przeciwsłoneczne i tym podobne. Ale będzie frajda!

Och. I odznakę do wpinania w klapę. Moja się zupełnie wytarła.

Poszłyśmy na zakupy do Saksa i Bollmingdale'a — najpierw oczywiście przyniosłam jej tańsze ubranie, które kupiłam u Korvettesa. Nie chciałam chodzić po centrum Manhattanu z Muffy ubraną tylko w szelki. Obciążyłam kredyt mamy na czterysta dolarów i muszę wam powiedzieć, że miałam za to do słuchania kilka tygodni później. Jednak przysięgłam dochować sekretu. Teraz Muffy znów zniknęła, wróciła do swego tajemniczego rajy i Księcia Vana o strasznie równym uzębieniu. Mam nadzieję, że jest szczęśliwa. Mam nadzieję, że kiedyś wróci i opowie mi swoje przygody. Mam nadzieję, że odda mi te czterysta dolarów. Chyba tylko czas pokaże...

przełożył: Zbigniew A. Królicki

Ardath Mayhar

THURIGON AGONISTES

Niewolnicy — łązienni trzymali wysoko wielkie ręczniki, aby owinąć jego nagość. Biała broda Thurigona skryła uśmiech, wiedział, że odwracali wzrok od jego muskularnego ciała.

Taki wigor w podeszłym wieku stanowił dla nich dowód, bardziej nawet niż jego pozycja Głowy Rady, że był naprawdę potężnym czarnoksiężnikiem.

Wszedł na aksamitny dywan i wyciągnął się na wyściełanym łożu. Słyszał tupot bosych stóp niewolników, którzy opuszczali łaźnię, by pozostawić go sam na sam z masażystą Ankusem. Usłyszawszy szmer poruszanej zasłony spojrzął w górę i wyszczerzył zęby w uśmiechu na widok ogromnego mężczyzny, który ukazał się nad łożem.

— No, Ankush, następny dzień, a my ciągle żywi. Może to cud? Duża czarna twarz masażysty była posępna.

— Póki co, Czarnoksiężniku. Wiele wygadują na targu. Złe pogłoski krążą jak nietoperze o zmierzchu. Twoje widzenie było prawdziwe. Ktoś nadchodzi. Wróg, którego należy się obawiać.

— Jesteś moim uchem, Ankush. Gdybym mógł ufać tym z Rady tak, jak mogę polegać na tobie, sprawy nie wyglądałyby tak ponuro. Ciekaw jestem jak — w kraju co ma taką obfitość czarowników — jeden samotny wędrowiec stanowić może zagrożenie? Czuję zimno w sercu na samą myśl o nim. Moje wewnętrzne oko nie może dojrzeć jego twarzy, a tylko zarys postaci ubranej w skórę i stal. I ta nabijana kolcami kulka na

łańcuszku u pasa, kołysząca się przy każdym kroku.

Dlaczego taki lęk budzi to we mnie, który przewodniczę Radzie Czarnoksiężników?

— Lepiej spytaj twoich współbraci, Czarnoksiężniku. Jestem zwykłym człowiekiem z ludu. Zostałem obdarzony czym innym niż tobie podobni.

Pokryta bliznami twarz zmarszczyła się w grymasie, a Thurigon zadrżał. Widział ostatniej zimy na Igrzyskach, jak Ankush zerwał głowę z ramion żywego człowieka.

Czasem myśl o tych potężnych dłoniach poruszających się po jego starej skórze, wywoływała u niego dreszcz. Ręce, które uśmierciły wielu. Ręce, które mogły rozerwać go na sztuki tak łatwo jak kociaka. Było w tym coś ekscytującego, być masowanym przez wypróbowanego zabójcę. W tym wieku cenił sobie każde źródło podniecenia.

— Nienawidzę znaków — powiedział. — Widziałem, jak pojawiały się dawniej wiele razy i nigdy nie okazywały się dobre ani dla miasta, ani dla Rady, ani dla mnie. A to jest najbardziej złowróżbny znak, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia w Radzie. Słuchaj pilnie, Ankush, gdy będziesz krążył po winiarniach i targowiskach. A po trzech dniach — nie więcej — pamiętaj, wróć do mego domu. Mam wrażenie, że będę potrzebował twoich sił i umiejętności bardziej niż tych, które posiadam ja czy którykolwiek z moich towarzyszy.

Ankush odchrząknął i poświęcił swe siły zadaniu rozluźnienia mięśni i odprężenia nerwów starego mężczyzny. Kiedy oliwa została zużyta, a Thurigon lśnił cały zaróżowiony, podał rękę czarownikowi. Gdy Thurigon siadł, olbrzym schylił się nad łóżem i zbliżył głowę do twarzy czarnoksiężnika.

— Będę tu za trzy dni, Panie. Bacz na swoje zaklęcia. Nawet ja

— pozbawiony talentu jak byle wieśniak — czuję, że coś strasznego zbliża się wraz z tym, który nadchodzi. Duchy tańczą w moich kościach, gdy o nim myślę. Patrz dobrze w swoje czarki z wodą, ostrożnie rzucaj swoje kostki. To, co się zbliża, przeraża mnie. Nawet mnie! Ale tobie przecież nie muszę tego mówić.

Wstał i zabrał swoją srebrną tacę z olejkami. Bez słowa ani spojrzenia zaciągnął zasłony.

Ich szelest był jedynym dźwiękiem, jaki dał się słyszeć.

Thurigon nie potrzebował zachęty, by pójść za radą Murzyna. Gdy tylko garderobiani wypełnili swoje zadanie, poszedł prosto do wieży, którą dziedzicznie zajmował przewodniczący Rady. Pierwsze zakłęcie było konieczne dla otwarcia drzwi. Drugie przeniosło go za niewidzialną tarczę, która wisiała w przejściu. Teraz wreszcie poczuł się bezpieczny.

Rzeczywiście, Ankush niewiele wiedział o czarach. Miseczki i kostki były narzędziem wędrownych wróżbiarzy. On był mistrzem i nie potrzebował zabawek. Jednak i on często uciekał się do materialnych rekwizytów, gdy chciał zawładnąć tajemnicami z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jego najbardziej sekretnym narzędziem było zwierciadło.

Dotykając sprężyny ukrytej w postumencie pod rzeźbą jelenia odwrócił się, aby zobaczyć jak obraz na ścianie odsunął się na bok, ukazując stojące lustro wysokości człowieka. Tak prawdziwego, czystego kryształu nigdy nie widziano w Gereo — nie i posiadanie go stanowiło tajemnicę, którą zachował wyłącznie dla siebie. Więcej niż z jednego powodu.

Patrzył w czystą otchłań. Pomieszczenie wokół niego odbijało się niewyraźną, barwną mgłą. Jego własna postać była jeszcze mniej czytelna. Zamiast niej, bardziej widoczny był surowy szlak wiodący wśród wzgórz pokrytych niską roślinnością. — Wzgórza

Hurthalu — wyszeptał do siebie. Podązał teraz w lustrze tym szlakiem wstecz, do Gereonu.

Przez moment sądził, że nie ma tam żadnego ruchomego kształtu. Nagle zdał sobie sprawę, że właśnie wyłonił się na tyle, by mógł go już dostrzec. Zwykły punkt w oddali powiększał się szybko, przybierając zarys wysokiej sylwetki, kroczącej uparcie w jego kierunku.

Thurigon cofnął się w ledwo zauważalnym odruchu. Potem odetchnął.

— Wciąż jeszcze jest czas. Trzy dni, nawet tym krokiem. Za trzy dni zwrócimy wszystkie nasze siły, by powstrzymać to, co ów piechur ze sobą przynosi. Czymkolwiek by to było. — Jego głos nie zabrzmiał tak pewnie jak jego słowa.

Patrzył długo. W tym czasie odziany w skórę wojownik podszedł bardzo blisko, zmierzając na pozór ku odwrotnej powierzchni lustra. Wtedy perspektywa uległa przesunięciu i raz jeszcze był to tylko punkt w oddali, o jeden grzbiet wzgórza bliższy miasta — Wielkiego Gereonu. Przy szlaku stała świątynia, w pół drogi pomiędzy nadchodzącym a jego obserwatorem. Jej spiczasty dach wieńczył podwójne mury, skrywające kamienną figurę bożka czarnoksiężników, Jephala. Po raz pierwszy od wielu od wielu lat Thurigon posłał modlitwę do swego patrona.

— Użycz nam swojej siły, Wielki Magu. My, którzy jesteśmy twymi dalekimi dziećmi, będziemy jej potrzebować.

Jego głos zamarł, a świdrujące oczy zwróciły się znowu w stronę zbliżającej się postaci.

Uporczywy rytm kroków był przerażający. Można było pomyśleć, że ktoś idący w ten sposób musi być bardziej maszyną niż człowiekiem.

Gdy słońce zaszło, w izbie zrobiło się mroczno. Thurigon

dotknął sprężyny i lustro powróciło do schowka. Z grymasem na twarzy wyszedł i skierował się do swego pokoju, gdzie czekał na niego posiłek.

Służąca kulila się za okienną zasłoną z lękiem i obawą właściwą pozbawionemu talentu gatunkowi. Myśl ta sprawiła mu rzadką przyjemność. Pomyślał też, że chciałby dać jej rzeczywisty powód do dreszczy, ale wiele czasu upłynęło od chwili, gdy kobieta pobudziła go do namiętności. Z tej przyczyny, i jeszcze paru innych, nienawidził seksu z kobietami.

Teraz zastanawiał się, jak wydrzeć serce z tej trzęsącej się, bezużytecznej sterty sukien i warkoczy. Spojrzał ku niej i wykonał gest podbródkiem, jeden władczy ruch.

Telessa podbiegła natychmiast, padając przed nim na kolana.

— Tej nocy — Thurigon powiedział to głosem słodkim jak miód — chciałbym zażyć przyjemności. Przyrowadź mi swojego syna, Derana.

Jej złocista cera nabrała odcienia mulistej wody. Drżenie przebiegło ciało. Zacisnęła dłonie, ale przeciwstawić się mu — oznaczałoby coś gorszego niż śmierć dla niej i jej syna.

Któż mógł to lepiej wiedzieć niż ona. Skłoniła głowę. Mógł niemal dostrzec wstrzymywane łzy i krew, która stężała w jej żyłach.

Thurigon zaśmiał się, gdy opadła za nią kotara w drzwiach. Czuł przyływ sił na myśl o wieczorze, który go oczekiwał. Zwielokrotniona przyjemność — cierpienie matki dodane do cierpienia syna — stanowić miała ucztę dla jego otępiałych zmysłów.

Kiedy konające dziecko wyniesiono już z jego sypialni, leżał długo, delektując się satysfakcją, jaką dało mu zmalretowanie chłopca. Przerazenie Derana przydało wiele smaku tej chwili, a

krzyk rozpaczony Telessy dobiegał go aż z izby niewolników, dokąd ją odesłał.

Nasycony, czekał na sen.

Zamiast snu nadeszło widzenie. Nikłe światło pochodni przygasło. Ciemny obłok nocy zdawał się wypełniać komnatę. Stary czarownik próbował usiąść, ale duszący ciężar legł na jego piersiach tak, że nie zdołał się poruszyć.

Czuł ciemność na swojej skórze, coś jak zapach mgły w nozdrzach, ucisk w uszach. Pocił się ze zgrozy, serce biło szaleńczo. Iskra światła rosła przed jego oczyma. Jasna.

Przybierająca kształt twarzy w świetlnej otoczce.

— Jephah! — wykrztusił, kiedy znana mu twarz podpłynęła bliżej. Kamienne oczy obróciły się ku niemu, przeszywając go na wskroś, leżącego w ciemnościach. Brwi zmarszczyły się, uwydatniając bruzdy na czole. Usta zacięły się, a potem otworzyły.

„Świat ten oddany został magii, aby rządzą nim ci, którzy mają Dar. Bogowie, zaprzątnięci wieloma pracami wierzyli, że ci, którzy posiadli mądrość i uprawiają Wielką Sztukę dobrze będą służyć zwykłym ludziom. Ogromna władza została im powierzona. I tobie też, Thurigonie Tor En–Ne. Wiedziałeś od początku, że władza ta nie była bez ograniczeń. Wiedziałeś też kiedyś, że to co czynisz jest pilnie obserwowane, nawet pośród licznych zajęć, które są udziałem bogów. Ja jestem obserwatorem w ich imieniu. Patrzyłem, jak szedłeś od mądrości do szaleństwa, od cnoty do nikczemności. Wierzyłem jeszcze, że z czasem dojrzysz swoje błędy i powrócisz na ścieżkę, która prowadzi do mądrości i dobroci.

Poznać prawa rządzące wszechświatem, to nauczyć się kochać cielesne drobiny, które muszą egzystować w tym zimnym

kontinuum.

Było w tobie dość siły, by osiągnąć najwyższe dobro. Ale ty wybrałaś inną siłę — tę, która prowadzi do największego możliwego zła. Byliśmy cierpliwi. Zbyt cierpliwi, ponieważ twój lud cierpiał wskutek twojej głupoty i chorobliwych pożądań. Osłabiłaś swoją moc, czarnoksiężniku. Nikczemne folgowanie sobie, jeśli nie może nadwerężyć ciała, niszczy duszę. Przekonasz się, że nie panujesz już nad potężnym darem, który kiedyś należał do ciebie. Za dwa dni będziesz musiał użyć wszystkiego, czym jeszcze dysponujesz... ale może się to okazać niewystarczające. Strzeż się, Thurigonie. My, którzy postawiliśmy cię na tym miejscu, nie wspieramy cię dłużej!”

Twarz rozviała się. Ciemność ustąpiła, a wewnątrz sypialni połyskiwało zwykłym światłem.

Szamocąc się by usiąść między poduszkami, dostrzegł pusty dzban leżący na dywanie. — Ach. Wiele można zobaczyć po winie — pomyślał i położył się znowu. Obrócił się na bok i zasnął głęboko.

W następnych dniach unikał myślenia o nocnej zjawie. Jephah był martwym kamieniem.

Udowodnił to przecież ku własnemu zadowoleniu. Obrzędy, trzy razy do roku, służyć miały wyłącznie utrzymaniu ludu w nabożnym strachu. Ale w zakamarkach duszy czuł jednak niepokój na myśl o idącej postaci. Nie mógł go wykorzenić, ten niepokój ciągle narastał.

Trzeciego ranka odczuł ulgę, kiedy po przebudzeniu ujrzał Ankusha.

— To dziś — odezwał się Murzyn, założywszy ręce na muskularnym brzuchu i marszcząc brwi. — Czy dobrze wyliczyłeś, Panie?

— Patrzyłem jak się zbliżał, wzgórze za wzgórzem, przez doliny, łąki i leśne ostępy.

Wzmacniałem siłę zaklęć, którymi władam. Ale wciąż nie udało mi się rozpoznać, kim jest ten, który nadchodzi. Spowijają go czary. Wiem, że przekroczy główną bramę późnym rankiem. Straż jest uzbrojona i w pogotowiu.

Tutaj Ankush uśmiechnął się trochę drwiąco. Wartość straży dobrze była mu znana.

Prawdę mówiąc, stanowiła ona powód wielu niewybrednych żartów w mieście.

— Chcę też, abys czekał przed drzwiami mego domu. Będę w środku, bo nie przystoi mi zwracać uwagi na byle włóczęgę, co podchodzi do wejścia.

Długo przed spodziewanym czasem Thurigon zasiadł na swoim wysokim tronie we wspaniałym domu, przybrany w strój czarnoksiężnika — władcy Wielkiego Gereonu. Suchy wiatr wiał od wzgórz przez równinę, a jego gorący oddech odnajdywał go nawet w głębi komnaty audiencyjnej. Pot perlił się na jego twarzy i spływał po grzbiecie. Pocił się bardziej z lęku niż z gorąca.

Po głosach z ulicy poznał, że piechur przekroczył bramę. Oni również czekali, bo nawet zwykli zaklinacze od tygodni zapowiadali jego nadejście. Teraz ludzie stali w cieniu wiszących nad nimi balkonów, patrząc i rozmawiając.

Thurigon przymknął oczy. Potem otworzył je, wstał i ruszył ku drzwiom, powiewając połamami płaszcza. Zatrzymał się na górnym stopniu, aby popatrzeć na pokrytego kurzem wojownika, krocącego z łatwością w górę ulicy. Twarz była niewidoczna pod chustą, chroniącą usta i nos przed wiatrem i pyłem. Skórzany hełm, częściowo okuty metalem, osłaniał głowę. Postać

była szczupła i wysoka, a lekkość kroku wiele mówiła o sile i wytrenowaniu mięśni. Jednakże była to niemal sylwetka dziecka w porównaniu z Ankusem, co uspokoiło nieco Thurigona. Prawie się uśmiechnął, lecz stał ciągle czekając.

Kiedy wojownik zbliżał się, najeżony kolcami ciężarek podrygiwał na łańcuszku w rytm kroków. Jego wahadłowy ruch odciskał się jakimś dziwnym rytmem w umyśle. Thurigon potrząsnął lekko głową, aby odepchnąć to wrażenie, gdy wojownik zatrzymał się u stóp marmurowych schodów i spojrzał w górę na czarnoksiężnika.

— To ty jesteś Thurigon Tor En-Ne, czarnoksiężnik władający Wielkim Gereonem?

Złodziej, gwałciciel i morderca? — Ruch głowy przybysza był arogancki, mimo szczupłej postury.

Thurigon poczuł gorąco na twarzy. Wściekłość, jakiej nie zaznał od trzydziestu lat wypełniła jego stare żyły, bulgotała w gardle.

— Kto przychodzi nie proszony do mego miasta, do samych stopni mego domu, by wypowiadać tak szalone słowa? Jestem Thurigon Tor En-Ne, Pierwszy Czarnoksiężnik Wielkiego Gereonu. Kto nazywa mnie złodziejem? Kto ośmiela się nazywać mnie gwałcicielem?

— Bardzo nieliczni — zabrzmiała sucha odpowiedź. — Ja jednak znam cię dobrze z tej strony. Lustro, które stoi w ścianie twojej wieży pochodzi z domu mego ojca. On był

Pierwszym Czarnoksiężnikiem Gereonu Duo. Do chwili, gdy ugodziłeś go zatrutym sztyletem, zgwałciłeś moją matkę i uciekłeś zabierając zwierciadło, największy skarb naszej rodziny i miasta. Od tamtej chwili uczyłem się, doskonaliłem i przygotowywałem na ten dzień. Patrzyłem na twoje krwawe

dzieło w naszym domu. Choć byłem tylko dzieckiem, zapamiętałem cię i znienawidziłem. Moja matka była czarodziejką, nauczyła mnie wszystkiego, co sama umiała i co potrafił mój ojciec. Udusiła opętanego złą siłą bękartą, gdy tylko się urodził i przysięgła ci zemstę. Trzydzieści lat temu... tego samego dnia... odwiedziłeś mój dom. Dziś ja odwiedzam twój.

Fala krwi, która uderzyła do jego głowy, opadła. Czuł się jałowy i pusty, pozbawiony woli i mocy. Pot stygł na jego ciele, gdy patrzył w dół na postać stojącą na najniższym z sześciu stopni.

— Tam nie było dziecka płci męskiej. Zabiłbym je!

— Zrobiłbyś to na pewno. Zbyt wielu okropnych czynów dokonałeś, aby nie obawiać się zemsty, nie wątpię.

Odziana w skórę dłoń zrzuciła hełm i ściągnęła chustę z twarzy. Sploty kasztanowych włosów opadły do bioder. Szczupła twarz patrzyła na czarnoksiężnika.

— Moja matka miała jedno dziecko, córkę. Ja nią jestem.

Uczucie ulgi ogarnęło Thurigona. Tylko kobieta! A towarzyszyły jej nadejściu takie złe znaki. Był w niej jakiś talent, bez wątpienia. Ale to tylko kobieta. Skinął na Ankusha.

Potężny Murzyn opuścił swoje miejsce przy drzwiach i postąpił naprzód.

— Nie wolno ci zwracać się w taki sposób do Pierwszego Czarnoksiężnika Wielkiego Gereonu. Wracaj skąd przyszłaś, kobieto. Inaczej będziesz miała ze mną do czynienia i nikt nie stanie w twojej obronie.

Zaśmiała się. Dziki śmiech rozbrzmiewał złowieszczo w ocienionych balkonami uliczkach, wśród domów o spiczastych dachach.

— Myślisz, że nie słyszałam o Ankushu? Zstąp na ulicę,

zabójco. Spróbuj, czy uda ci się zabić mnie!

Wielka twarz zmarszczyła się wściekle. Ankush zszedł po stopniach i rzucił się ku niej.

Uskoczyła zwinnie, a kiedy próbował zwrócić się w jej stronę, trzymała już w ręku łańcuszek, zaś śmiercionośny, kolczasty ciężarek zmierzał szybkim łukiem ku jego głowie. Tylko instynktownie zdołał uchylić się na czas.

— Skeara Gan Na-Li pozdrawia cię — krzyknęła w tanecznym uniku przed jego atakiem.

— Wydłużyłam nieco swoją rękę z myślą o tobie, zabójco. Już od lat wiedziałam, że masz długie ramiona.

Ciężarek świsnął raz jeszcze. Ankush tym razem zmuszony był podskoczyć wysoko, cios mierzył w jego uda.

Niesamowita walka toczyła się w pyle ulicy. Thurigon patrzył w oszołomieniu. Potem skupił się, by przywołać w myślach zaklęcie, choć fatalne przecucie mówiło mu, że tym razem Ankush spotkał swoje przeznaczenie. Zaklęcie, by wspomóc Murzyna!

Ale żadnego nie mógł sobie przypomnieć. Nawet najprostszej z formuł, których wyuczył się jeszcze jako dziecko. Nic. Tam, gdzie przedtem było źródło tajemnych mocy, napotkał tylko pustkę wypełnioną drwiną dziwacznych myśli. Mogłabyż kobieta posiadać taką moc, by jej siła zniweczyła jego własną? W otępieniu przypomniawszy sobie posępne oblicze Jephala.

Słowa Jephala! Potem myśli rozproszyły się, jakby jego umysł zastąpiono zwykłym sitem.

Ankush nie był głupcem. Cofając się spostrzegł, że jeden ze strażników podsuwał rękojeść miecza w jego kierunku. Chwycił go z wdzięcznością. Potem ruszył do natarcia pozorując cios w głowę i w ostatniej chwili zmieniając kierunek cięcia tak, by

sięgnąć dołem przybranej w skórzany nagolennik łydki.

Odskoczyła w półobrocie, ciężarek zatoczył łuk, by uderzyć w pochyloną czaszkę. Zdążył opaść na kolana i to był ostatni błąd w jego życiu. Dodając pełen obrót do półkolistego zamachu, dosięgła z całą siłą jego twarzy.

Na ulicy zapadła cisza. Skeara zwinęła starannie łańcuszek i przytroczyła broń do pasa.

Ociekająca z niej krew zostawiała szkarłatny ślad na skórze ubrania i plamy na ziemi wokół stopy. Była też krew na drugim nagolenniku. Zdawała się tego nie zauważać.

Thurigon wpatrywał się w leżącego twarzą w dół Murzyna. Jego ostatni obrońca. Sam ograniczył siłę straży, bo ci którzy władają mieczem, mogą też zagrażać czarnoksiężnikom.

Żadna ręka nie podniesie się w jego obronie. Uniósł wzrok i napotkał spojrzenie kobiety.

Przypomniał sobie, dopiero teraz. Dziecko o szeroko otwartych oczach, które przycupnęło w kącie, kiedy zabawiał się tamtą kobietą. Zlekceważył je, bo było dziewczynką.

Jego najstraszliwszy błąd!

Wchodziła powoli po stopniach poruszając się z rozmysłem. Wyciągnął rękę i uczynił potężny Znak. Odparowała go jednym lekceważącym ruchem palców. Coś takiego zawsze stanowiło dla niego trudność. I ten ostatni przebłysk dawnej mocy wyczerpał go całkowicie.

Stała teraz przed nim. Przyglądała mu się pogardliwie.

— Przybyłam, aby cię zabić — odezwała się. — Ale teraz wiem, że nie byłaby to najśrodsza kara. Oszukałeś swoje lata, Thurigonie. Teraz pozwolę im powrócić i zebrać swoje żniwo.

Jej ręka uniosła się, usta poruszyły. Wyszepiała coś, co zginęło w nagłym gwarze, jaki podniósł się z tłumu.

Czarnoksiężnik cofnął się. Poczuł że dzieje się z nim coś strasznego. Jego skóra poczęła się marszczyć! Tysiące zmarszczek pokrywających jego ciało balastem lat, które do tej pory powstrzymywał. Mięśnie jego nóg drżały słabnąc. Poczuł obwisłą skórę podbródka na szyi.

Ujrzał zmianę swojego wyglądu w reakcji stojących poniżej, którzy cofnęli się nagle. Jego plecy zgarbiły się, sięgnął ręką framugi drzwi szukając oparcia.

— Zabij mnie! — próbował krzyknąć do kobiety, ale wydobył z siebie tylko słaby skrzek.

Uśmiechnęła się i nawet on zrobił krok wstecz wobec okrucieństwa tego uśmiechu.

Potem obróciła głowę ku stojącym na ulicy.

— Zostawiam wam waszego czarnoksiężnika. Może się wam do czegoś przyda.

Jej twarz zwróciła się w stronę wieży, w której ukryte było lustro. Brwi ściągnęły się w nagłym skupieniu. Ogłuszający trzask dobiegł z wnętrza, a błysk światła w oknach przyćmił na chwilę słońce.

— Zwierciadło, którym się posłużył nie może być już więcej użyte dla dobrych celów — powiedziała. — Zostawiam mu okruchy.

Zeszła w dół, a strażę rozstąpiły się przed jej zakurzoną postacią i kołyszącą się, krwawą bronią. Ludzie kryli się w domach i bocznych zaułkach, gdy ich mijała. Wydawało się, że wrota bramy otworzyły się przed nią same, kiedy przechodziła.

Thurigon patrzył w ślad za nią, a starcze łzy płynęły z pomarszczonych oczodołów. Usta mamrotały przekleństwa, ręce czyniły nieporadne gesty. Ale nie miał już swojej mocy.

Nawet na tyle, by wiedzieć, że Telessa zbliżała się do niego z

tyłu. Z nożem.

przełożył: Piotr Kowalski

Katherine Kurtz

MARLUK

Owego lata nie spodziewano się, by nieprzyjaciel mógł przysporzyć kłopotów. Imię Hogana Gwernacha, zwanego Marlukiem, nie było wówczas niczym więcej jak legendarnym zagrożeniem dla tronu Briona ze strony dalekich Tolan. Krążyły pogłoski, jakoby Hogan był potomkiem ostatniego derynijskiego czarnoksiężnika — króla Gwynedd. Jednakże stopa żadnego z wodzów z rodu Gwernacha nie powstała w Gwynedd od prawie trzech pokoleń, to jest od czasów nieszczęsnego najazdu Duchada Mora za panowania Jashera Haldane. Ci, którzy w ogóle wiedzieli o jego istnieniu wierzyli, że zrzekł się praw do korony Gwynedd.

Późna wiosna, zastała króla Briona w Eastmarch, gdzie wraz ze swoim giermkim Alarikiem Morganem, półkrwi Derynijczykiem, miał stłumić bunt jednego ze swych lordów.

Lord z Eastmarch, Rorik, zlekceważył nakaz królewski i — spełniwszy swą groźbę — rozpoczął podbój sąsiadującej krainy Marley. Wspierał go w tym jego zuchwały zięć Rhydon, prawdopodobnie z pochodzenia Derynijczyk.

Arban Howell, jeden z magnatów, którego ziemie graniczyły z Rorikiem, posłał królowi rozpaczliwą wiadomość o tychże poczynaniach, po czym zwołał wojska swoich lenników, by stanęły w obronie nim nadciągnie pomoc.

Jednak po przybyciu wojsk królewskich ze stolicy i sił pomocniczych z Claibourne na północy, nie pozostało im nic więcej, jak tylko wspomóc rycerzy Arbana w oczyszczaniu pola

walki. Cudem udało się Arbanowi pokonać i pojmać lorda Ronka, rozproszyc resztki buntowniczych sił, a porywczego Rhydona zmusić do ucieczki. Po przybyciu króla do obozu Arbana pozostały do wypełnienia jedynie formalności.

Zawarto pokój, oskarżonych skazano, a wyrok królewski wykonano. Zdradzieckiego Rorika powieszono. Jego ziemie oraz zdobyte tytuły odebrano i podzielono między oficerów połączonych armii, zaś jego głowę postanowiono zwrócić jego byłej stolicy i wystawić ku przestrodze dla przyszłych nierozważnych o podobnych zamiarach. Uczestniczącego w zdradzie Rhydona potępiono *in absentia* i skazano na banicję. Wierny Arban Howell został nowym lordem Eastmarch, składając hołd królowi Brionowi w obliczu armii, która przed chwilą była świadkiem egzekucji jego poprzednika.

Tak zakończył się bunt w Eastmarch. Brion odprawił z podziękowaniem wojska z Claibourne, a nowemu lordowi życzył powodzenia. Armii królewskiej natomiast wydał rozkaz powrotu do swojego brata Nigela, który wraz z wujem, księciem Richardem, wypatrywał powrotu zaciągu królewskiego do Rhemuth. Zmęczony przelewem krwi i zabijaniem, Brion wyruszył w drogę powrotną innym szlakiem, zabierając ze sobą jedynie swego giermka.

Późnym popołudniem Brion i Alaric wreszcie znaleźli odpowiednie miejsce na obozowisko. Zarówno jeźdźcy jak i konie byli wyczerpani, bowiem od chwili przebudzenia o świcie niewiele mogli wypocząć. Konie wyczuły w oddali wodę i szarpnęły wędzidłem, gdy jeźdźcy ściągnęli cugle.

— Na rany Chrystusa, ależ ja jestem zmęczony, Alariku! — westchnął król, uwalniając stopę ze strzemion i zgrabnie zeskakując z siodła. — Czasami myślę sobie, że skutki są jeszcze

gorsze niż sama walka. Chyba się już starzeję.

Alaric złapał cugle królewskie i pilnował koni, gdy tymczasem Brion ruszył ku brzegom strumienia, po drodze' zrzucając na ziemię szyszak i czepiec. Pochylając się nisko, zanurzył głowę w orzeźwiającej wodzie. Długie, czarne włosy unosiły się z prądem, a kiedy król podniósł się i usiadł, spłynęły na jego plecy tuż za ramiona, przynosząc ukojenie. Alaric, pilnujący koni w pobliżu, podniósł szyszak i czepiec swego pana, złożył je obok wierzchowców, po czym lekkim krokiem ruszył ku królowi.

— Twoja zbroja zardzewieje, Panie, jeśli dalej będziesz się w niej kąpał — uśmiechnął się młodzieniec klękając obok starszego od siebie mężczyzny, aby odpiąć jego ciężki pas od miecza.

Brion odchylił się do tyłu i oparł na łokciach, by ułatwić rozpinanie, kręcąc z uznaniem głową, kiedy młodzieniec zaczął zdejmować naramienniki i rękawice.

— Nie sądzę, bym kiedykolwiek pojął, jak doszło do tego, że zasłużyłem na ciebie, Alariku. — Uniósł stopę, aby młodzieniec mógł odpiąć nagolenniki i ostrogi oraz zakurzone buty. — Myślisz pewnie, że jestem nierozsądny zbaczając z drogi samotnie, bez żadnej uzbrojonej eskorty prócz ciebie, z dala od swojego wojska.

— Mój pan jest wojownikiem i wodzem — odpowiedział z uśmiechem młodzieniec — ale jest również panem samego siebie i też musi mieć czas wolny od królewskich obowiązków.

— Więc rozumiesz mnie? Alaric wzruszył ramionami.

— Panie, któż mógłby lepiej cię zrozumieć niż Derynijczycy? Podobnie jak Wasza Miłość, my również jesteśmy w większości samotnikami, choć nie zawsze z wyboru.

Brion uśmiechnął się zgodnie, usiłując wyobrazić sobie, jak to jest być Derynijczykiem takim jak Alaric, członkiem prześladowanego rodu budzącego jeszcze u wielu strach. Myśląc

o tym, pozwolił zdjąć sobie przez głowę oponczę, następnie zrzucił żelazną kolczugę. Potem zdjawszy wyściółkę i koszulkę, wszedł do wody i zanurzył się z rozkoszą. Woda obmywała go i koła obrażenia po bitwie oraz zmęczenie po wielu godzinach spędzonych w siodle. Po chwili Alaric dołączył do niego, prześlizgując się między falami niczym węgorz. Kiedy zaczynało się ściemniać, młodzieniec wyszedł na brzeg i naciągnął czyste ubranie. Złożył zniszczoną przez wojny zbroję i rozłożył świeży strój dla swego pana. Ociągając się Brion wyszedł z wody, wspiął się na palce i przygładził długie, czarne włosy.

Kiedy się ubrał, czekało już na niego niewielkie ognisko i zajęte skwierczący nad płomieniami oraz grzane wino w solidnych skórzanych pucharach. Spowici w płaszczach chroniących przed wzmagającym się wieczornym chłodem, król i giermek biesiadowali przy zajacu, ostrym serze i sucharach. Obozowisko wydawało się bezpieczne w ciemnościach. Po skończonym posiłku Brion zasnął niemal natychmiast nieopodal ogniska, z głową ułożoną na siodle. Doglądniejszy jeszcze koni, Alaric także zasnął.

Niedługo po zejściu księżyca zbudził ich głos kopyt zbliżający się od strony, z której i oni wcześniej przybyli. Był to samotny jeździec. Tyle zdołał ustalić Brion, kiedy usiadł otrząsnąwszy się ze snu i sięgnął po miecz. Lecz było coś jeszcze, co wyczuł Alaric. Kiedy indziej zerwałby się na równe nogi z mieczem w ręce, gotów bronić swego pana, jeśli zaszłaby taka potrzeba. Ale teraz stał w cieniu drzewa jak porażony, z mieczem u boku i nasłuchując z uniesioną głową.

— Książę Nigel — szepnął młodzieniec pewnym głosem, wkładając miecz z powrotem do pochwy. Brion, nawykły polegać na niezwykłym instynkcie giermka, wyprostował się i spojrzał

śmiało w stronę drogi oświetlonej księżycem, zrzucając płaszcz i szukając po omacku swoich butów.

— Czy to ty, bracie? — wykrzyknął młody głos.

— Tak, to ja! — odpowiedział Brion, idąc w blasku księżyca na powitanie przybysza.

Nadjechał na pienionym wierzcowcu i nieomal spadł z siodła, rzucając cugle w stronę Alarika, który wybiegł mu na spotkanie.

— Dzięki Bogu, Brionie, że cię odnalazłem! — zawołał Nigel, obejmując starszego brata.

— Bałem się, że mogłeś pojechać inną drogą!

Książę był brudny od piany i kurzu po owej jeździe na złamanie karku, jego urywany oddech uspokoił się nieco, kiedy z pomocą brata usiadł przy ognisku. Ciężko oparł się o pień drzewa i zaczął pić wino podane mu przez Briona. Po kilku minutach absolutnej ciszy zerwał zębami rękawicę i sięgnął w fałdy opończy. Wziął głęboki oddech i wyciągnął zwinięty pergamin, który wręczył bratu.

— Dostarczono nam to w kilka godzin po waszym odjeździe. To od Hogana Gwernacha.

— Marluk? — Brion mruknął pod nosem. Jego twarz stała się nieruchoma, obca, a szare haldariskie oczy błysnęły niczym wypolerowany agat, kiedy uniósł list w stronę światła ogniska.

Na odwrocie listu nie było pieczęci tylko imię, napisane wprawną i widać kształconą ręką: *Brion Haldane, Pretendent do Gwynedd*. Powoli, w zamyśleniu, król rozwinął pergamin.

Uważnie śledził wzrokiem pismo, a brat przyświecał mu głównią z ogniska. Alaric przysłuchiwał się w spokoju, gdy król czytał.

Do Briona Haldane, Pretendenta do Gwynedd, od Hogana Gwernacha, Pana Tolan, Czcigodnego Następcy Tronów i Koron

Jedenastu Królestw. Wiedz, że My, Hogan, postanowiliśmy skorzystać z przywileju przysługującego z tytułu urodzenia, co jest prawem Naszych Czcigodnych Przodków, do odzyskania tronów, które prawnie nam się należą.

Dlatego ostrzegamy cię, Brionie Haldane, że nadszedł kres twoich rządów i praw do Gwynedd, twoje ziemie i Korona zostały przejęte na rzecz Rady Czcigodnych. Wzywamy cię do stawienia się wraz ze wszystkimi członkami linii Haldane przed Oblicze Naszego Króla w Carsoda, nie później niż przed Dniem Świętego Asapha, tam się poddać i złożyć insygnia swojej władzy na Ręce Naszego Króla. Sic dieto, Hoganus Rex Regnorum Undecim.

— Król Jedenastu Królestw? — parsknął Alaric i przypomniał sobie zrazu, kim i gdzie jest. — Wybacz, Panie, on chyba kpi!

Nigel pokręcił głową. — Boję się, że nie, Alariku. Przyniósł to Rhydon z Eastmarch wraz z białą flagą. Kazał przekazać ci, Brionie, że gdybyś chciał się temu przeciwstawić — tu trącił paznokciem pergamin — spotka się z tobą jutro w walce koło wzgórz Rustan. Jeśli nie przybędziesz, wówczas splądruje i spali miasto Rustan, a każdy mężczyzna, kobieta i dziecko pójdzie pod miecz. Jeśli wyruszymy przed świtem, jeszcze zdążymy.

— Nasze siły? — zapytał Brion.

— Jest moja straż przednia w liczbie osiemdziesięciu rycerzy. Sześćdziesięciu z nich wysłałem na spotkanie z nami w Rustan, pozostali są pewnie o kilka godzin drogi za nami.

Wysłałem również posłańca po wuja Richarda i główną armię. W najgorszym nawet wypadku, zdąży odebrać wiadomość, by zawrócić nam na pomoc zaciąg haldańskich lenników. Lord Eawn jest za daleko na północy, by go wzywać, choć i tam posłałem jeźdźca.

— Dzięki ci, dobrześ postąpił.

W szerokim geście Brion położył rękę na ramieniu brata i wolno pochylił się do jego stóp.

Ślepe spojrzenie utkwił w ogniu, którego światło odbijało się w ogromnym rubinie w jego uchu i na szerokiej bransolecie ze srebra opasującej przegub prawej ręki. Założył ręce na piersiach, w zamyśleniu pochylając głowę. Zerkając na księcia Nigela, Alaric podszedł do króla, by mocniej otulić go płaszczem i zapiąć królewską broszę pod jego brodą, gdy ten przemówił.

— Marluk nie ma na myśli prawdziwej walki. Dobrze o tym wiesz, Nigelu. Na początku nasze szwadrony mogą prowadzić walkę, ale to tylko preludium. Hogan Gwernach nie oczekuje ode mnie walki zbrojnej.

— No tak. Toż to Derynijczyk — odparł Nigel. Patrzył na pochylonego w świetle ogniska Briona.

— Ależ, Brionie — zaczął znowu Nigel po dłuższej chwili.

— Minęły dwa pokolenia od kiedy król Haldane stawił czoła magii derynijskiej. Czy zdołasz teraz tego dokonać?

— Nie wiem — otulony płaszczem Brion usiadł koło brata. Postać jego wydawała się poważna i pogrążona w zadumie.

— Wybaczcie, jeśli zanadto jestem tym pochłonięty, lecz ciągle, jak przez mgłę, pamiętam, że jest coś, co powinienem zrobić. Zdaje się, że ojciec wydał jakieś rozporządzenie na wypadek takiej ewentualności, lecz...

Przejechał ręką po czarnych włosach, a światło ogniska znowu zamigotało w srebrze na jego przegubie. Alaric zamarł, z głową uniesioną w wyteżonym nasłuchiowaniu i z błyszczącymi oczami. Nigel znacząco trącił brata łokciem. Młodzieniec powoli osunął się na kolana, a obydwie pary królewskich oczu skierowały się na niego.

— Oto co trzeba uczynić — wyszeptał młodzieniec — co

zarządzono wiele lat temu, gdy byłem jeszcze dzieckiem a wy, Panie, nie byliście jeszcze królem.

— Mój ojciec?

— Tak. A kluczem jest bransoleta, którą nosisz na rękę. — Oczy Briona instynktownie spojrzwały na srebro. — Czy mogę ją zobaczyć, Panie?

Brion bez słowa zdjął bransoletę i położył na lewej dłoni młodzieńca. Przez dłuższą chwilę Alaric wpatrywał się w nią z rozszerzonymi źrenicami, aż stały się one polami atramentowej czerni. Wziąwszy głęboki oddech, pochylił się i położył prawą rękę na napisie wyrytym w srebrze. Niejasno pamiętał, kiedy po raz pierwszy zobaczył tę bransoletę.

Miał zaledwie cztery lata, kiedy to się stało. Była pełnia jesieni. Leżał skulony w łóżku, rozmarzony w swoich dziecięcych snach, których by sobie teraz nie przypomniął, gdy oto zdało mu się, że ktoś stoi przy jego pościeli. I nie był to sen.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył swoją matkę przyglądającą mu się bacznie, ze złocistymi włosami okrywającymi ramiona, w luźnej zielonej sukni maskującej łono, które skrywało nienarodzone jeszcze dziecko. W ręku miała świecę, w świetle której zauważył i ojca stojącego z powagą u jej boku. Nigdy przedtem nie widział takiej powagi i skupienia na twarzy ojca, co niemalże przeraziło go.

Zapytał co się stało, ale matka położyła palec na ustach i pokręciła głową. Wówczas ojciec pochylił się nad nim, odkrył derkę i wziął go zaspanego na rękę. Widział matkę wychodzącą za nimi z komnaty przez wielki hali do biblioteki ojca. W hallu nie było żywej duszy, nawet ukochanych ogarów ojca i tylko z podwórza słychać było odgłosy kopyt końskich i ściszone rozmowy żołnierzy.

Wpierw zdało mu się, że biblioteka jest pusta, ale potem dostrzegł starego siwego człowieka przy kominku w ulubionym fotelu ojca, trzymającego w ręku ozdobnie rzeźbioną laskę. Strój męczyzny był bogaty i wytworny, choć na krajach poplamiony błotem. W obrzeżu jego skórzanej czapy mgliście połyskiwały kamienie, a na prawym uchu lśnił ogromny czerwony kamień. Czerwony, skórzany płaszcz spięty był ciężką porcelanową broszą z postacią złoconego lwa.

— Dobry wieczór, Alariku — łagodnie przywitał go stary człowiek, gdy ojciec ukląkł przed nim i zwrócił syna twarzą w stronę gościa.

Matka zrobiła głęboki, niezręczny ukłon i stanęła po prawej stronie męczyzny, ciężko opierając się o poręcz krzesła. Mimo tak młodego wieku, Alarikowi wydało się to dziwne, że męczyzna nie poprosił, aby matka usiadła. Z zaciekawieniem, choć z sennie przymrużonymi oczyma, spojrzął na matkę. Ku jego zdziwieniu, pierwszy przemówił ojciec.

— Alariku, to jest król — powiedział niskim głosem. — Czy pamiętasz o swoich powinnościach wobec Jego Wysokości?

Alaric spojrzął uważnie na ojca, potem skinął głową i uwolnił się z jego objęć, stanął na baczność i poprawnie ukląkł się w pas. Król bez słowa uśmiechnął się i wyciągnął prawą dłoń w stronę malca. Wówczas, w świetle ognia, gdy chłopiec kładł swoją małą dłoń w wielką, pokrytą bliznami dłoń króla, zabłysnęła srebrna bransoleta.

— Usiądź koło mnie, chłopcze — powiedział król, sadzając Alarika między poły swojego płaszcza a oparcie przepastnego krzesła. — Chcę ci coś pokazać.

Alaric nie mógł usiedzieć spokojnie, zachwycony wspaniałą królewską szatą — z pasem, pokrytym włochatą skórą, sakiewką

i sztyletami. Chciał dotknąć swoim małym paluszkiem klejnotu na wielkim sztylecte króla, lecz nim zdążył, matka delikatnie dotknęła ręką jego czoła. Nagle pokój przybrał nowego blasku i jasności, zaległa niespodziewanie głęboka cisza.

Nie wiedział, co teraz się stanie, ale znak dany od matki ostrzegł go, że to wszystko ma pozostać w sferze spraw, o których mówić nie wolno, a którym należy się szczególna uwaga.

Zatrwożony, z oczekiwaniem zwrócił swe dziecięce oczy na króla, patrząc jak stary człowiek zdejmuje z ręki srebrną bransoletę.

— Jest to wyjątkowa bransoleta, Alariku. Wiedziałeś o tym? Chłopiec pokręcił głową, a w jego szarych oczach odbijał się blask srebra. Bransoleta miała kształt prostokąta o szerokości ludzkiej ręki. Jej lustrzany blask złamany był jedynie rzeźbionym zarysem heraldycznej róży.

Król skierował jego uwagę na spód bransolety. Wewnętrzna powierzchnia również była starannie wypolerowana, ale pokrywał ją ciąg trzech misternie rzeźbionych symboli, których chłopiec nie mógł rozpoznać, chociaż — mimo swoich czterech lat — umiał już czytać Pismo Święte i proste teksty, których uczyła go matka.

Król obrócił bransoletę, odsłaniając pierwszą pieczęć i wskazał ją paznokciem. Ze spojrzeniem utkwionym w matkę chłopca, wyszeptał słowo: „Jeden”. Wtem pokój zawirował... i nic więcej z tej nocy Alaric już nie zapamiętał.

Ale teraz czternastoletni Alaric przypomniał sobie wszystko. W obecności sukcesora starego króla, z bransoletą w ręce Alaric nagle pojął, że to jest klucz, że to on jest tym kluczem, który może otworzyć zamki tajemnic przekazanych mu wiele lat temu przez starego człowieka u progu śmierci. Obrócił bransoletę w ręce i

przyjrzał się bacznie jej wewnętrznej stronie. Teraz wiedział, że symbole to runy, ale nadal nie umiał ich odczytać. Wzniósł swe szare oczy ku oczom królewskim.

— Panie, nadszedł czas, który przewidział twój ojciec, król. Jest coś, co musimy zrobić ja i ty — zerknął z niepokojem na bransoletę, nim znowu spojrzął na Briona. — On wiedział, że gdy nadejdzie czas, ja będę przy tobie.

— Tak, teraz rozumiem — powiedział łagodnie Brion. — „To będzie dziecko półkrwi derynijskiej, zwane Morganem, które przyjdzie do ciebie jako młodzieniec” — powiedział mój ojciec. — „Jemu możesz powierzyć życie i wszystko inne. On jest kluczem, który otworzy niejedne drzwi” — Brion uważnie badał oczy Alarika. — On wiedział. Wiedział o twoim przeznaczeniu.

— A czy o Marluku także wiedział? — spytał Nigel, tonem zdradzającym oburzenie, choć próżne byłyby teraz spory.

— „Starożytni moimi wrogami” — wymamrotał Brion. Jego twarz przybrała szlachetny i uduchowiony wyraz. — Nie, Nigelu, to nie on sprowadził tu Marluka. On tylko przewidział tę możliwość i z tego powodu poczynił plany. Mówią, że siostra ostatniego z czcigodnych królów nosiła w sobie dziecko, gdy musiała uciekać z Gwynedd. Dziecko miało na imię... nie pamiętam — to zresztą bez znaczenia. Choć jego ród umocnił się w państwie Tolan, nigdy nie musiał się wyrzekać pochodzenia derynijskiego. Mówią, że Marluk jest potomkiem tamtego dziecka.

— I prawdziwym Derynijczykiem — jeśli to co mówią jest prawdą — dopowiedział Nigel pośpiesznie. — Brionie, nie mamy takich sił, by zmierzyć się z Marlukiem. Będzie czekał na nas jutro wraz z armią i prawdziwymi Derynijczykami. A my? My będziemy mieć osiemdziesięciu ludzi mojej przedniej straży, być

może jeszcze część zaciągu lenników, jeśli wuj Richard zdąży wrócić. I ty chcesz stawić czoła prawdziwemu Panu derynijskiemu, który ma wszelkie prawa do twojego tronu!

Brion zwilżył usta, unikając spojrzenia brata.

— Alaric mówi, że ojciec poczynił pewne rozporządzenia. Nie mamy innego wyboru, jak tylko wierzyć i czekać. Bez względu na wynik jutro musimy próbować ratować miasto Rustan. Alariku, czy pomożesz nam?

— Będę się starał, Panie.

Poruszony sprzeczką między dwoma braćmi, ale zaraz potem otrzeźwiony odpowiedzialnością, jaką Brion go obciążył, Alaric położył palec wskazujący prawej ręki na pierwszym runie, brudnym paznokciem podkreślając mocno wytarty znak. Poczuł na sobie wzrok Haldane w chwili, gdy wyszeptał słowo: „Jeden!”

Słowo to sparaliżowało go, stał głuchy i ślepy na otaczający go świat, w którym mieściło się wszystko poza przebłyskującymi scenami z jego pamięci, scenami widzianymi oczami czteroletniego chłopca. Twarz starego króla, udzielającego mu tajemnych wskazówek, na nowo odżyła w umyśle młodzieńca tak silnie, jak runy wyryte na srebrze w jego dłoni.

I oto po chwili, wrócił do realnego świata, kierując swe szare oczy na zaniepokojonego Briona. Król i Nigel wpatrywali się w niego z rosnącym podziwem, nie czując żadnych wątpliwości. Zdało się, że w świetle księżyca Alaric promienieje.

— Musimy znaleźć równinę na wschodzie — rzekł giermek. Przez chwilę zmarszczył brwi w głębokim skupieniu. — W samym środku równiny będzie ogromny głaz, z tyłu bystra woda. Tam musimy zebrać zawilce.

Nim zaczęło świtać, byli już na miejscu. Niedaleko od obozu odszukali właściwe miejsce — za zakrętem strumienia, którego

woda bystro opływała północną i zachodnią stronę. Zaś na wschodzie rozciągał się niczym nie zmacony widok gór, zza których wkrótce miało wzejść słońce. Na środku polany leżał, wciągnięty tu z pomocą koni, ogromny, wygładzony wodą strumienia, blok granitu sięgający połowy człowieka. Wokół niego cztery pomniejsze kamienie oznaczały cztery strony świata.

Wokół każdego kamienia Alaric i Nigel kładli pęki polnych kwiatów w sposób, którego Alaric nie mógł wytłumaczyć, ale który musiał być, jak sądził, zachowany. Brion, milczący i wtulony w karmazynowy płaszcz, usiadł blisko środkowego kamienia z rękami splecionymi na kolanach. Miecz spoczywał u jego boku. Po jego prawicy zatknięto wiązkę płonących szczap sosnowych, by dawała światło, choć Brion i tak nic nie widział pogrążony w kontemplacji tego, co go czekało. Zerknąwszy na jaśniejące niebo, Alaric umieścił małe naczynie z wodą z lewej strony środkowego kamienia i przyklęknął na jedno kolano obok króla. Poruszony Nigel zgasił pochodnię i cofnął się kilka kroków, gdy Alaric uniósł bransoletę i palcem wskazał drugi znak, wypowiadając jednocześnie słowo: „Dwa!”.

Przez moment nastąpiła głęboka cisza, żaden z nich nie poruszył się. Po chwili Alaric spojrział w górę i z powrotem włożył królowi bransoletę na rękę.

— Świt już bardzo bliski, Panie — powiedział cicho. — Potrzebny mi twój miecz.

— Hm? — Brion zerknął na broń, chwycił ją i starannie owinął pochwę pasem z czerwonej skóry. To był miecz jego ojca i dziadka. Prawie dziesięć lat temu tym samym mieczem konsekrowano go na króla. Od tego dnia nikt nie uszedł spod niego z życiem.

Bez żadnych pytań, Brion odsłonił klingę i ceremonialnym gestem zbliżył rękojeść do przedramienia Alarika. W głębokim ukłonie Alaric ujął miecz, świadom powagi tego aktu, a potem oddał honory królowi i przeszedł na drugą stronę skały. Za jego plecami wschodnia część nieba płonęła już kolorami rózu i koralu.

— Kiedy tarcza słońca ukaże się nad widnokręgiem, zapalę ogień, który was ochroni, moi suwereni — powiedział. — Nie dziwcie się i nie trwóźcie, cokolwiek by się stało.

Brion skinął głową i wraz z Nigelem oddał się oczekiwaniu, zaś Alaric obrócił się na pięcie i podszedł do wschodniego skraju polany. Unosząc oburącz miecz przed siebie, trzymał krzyż rękojeści na wysokości oczu i patrzył, wyczekując wzejścia słońca nad horyzontem. I nagle, jak gdyby wschód słońca nie był naturalną kolejną rzeczą, zorza poranna wyłoniła się zza gór.

Pierwsze promienie słonecznego blasku obróciły stal miecza w ogień. Wzrok Alarika przesuwiał się wolno wzdłuż klingi ku płomieniom wijącym się teraz na jej końcu, a odbijającej się na całej długości ostrza, po czym — w geście hołdu — wolno opuścił miecz ku ziemi. Ogień łatwo przeskoczył na darń wypaloną przez słońce. Płonął, ale nie palił, a jego wstęga sunęła wzdłuż granic magicznego okręgu.

Kiedy już dokończył dzieła i znalazł się z powrotem w punkcie wyjścia, wszyscy trzej znaleźli się w środku półkuli jaśniejącej złotym blaskiem. Raz jeszcze młodzieniec, lekko drżąc na ciele, pokłonił się zbawczemu słońcu, potem cofnął się do środka koła. Z ukłonem zwrócił miecz Nigelowi. Kiedy ręce książęce zacisnęły się na rękojeści, Alaric obrócił się ku środkowemu kamieniowi i skłonił się. Potem rozpostarł przed sobą dłonie, utkwivszy wzrok w przestrzeń między palcami.

Przez kilka minut nic się nie działo, choć Alaric czuł siłę rosnącą pomiędzy dłońmi. Król, księżę i giermek stali wpatrzeni, aż oczy ich zwilgotniały. Nagle, w osłupieniu, zamrugali oczami, bo oto przestrzeń między dłońmi Alarika stanęła w ogniu. Pulsując w rytmie serca swojego stwórcy, promień przekształcał się w kulę o zielonym blasku, rosnącą na ich oczach do rozmiarów głowy. Pełen czci, Alaric wolno zniżył ręce ku wygładzonej powierzchni środkowego kamienia; patrzył, jak świetlista kula jaśniała na granitowej powierzchni.

Nie śmiał oddychać, tak trudno było mu utrzymać równowagę. Podciągnąwszy rękaw tuniki uderzył, niczym toporkiem, prawą ręką w czubek kamienia, przecinając granit jak gdyby był miękkim piaskiem. Jeszcze jeden ruch by wyrównać powierzchnię, a potem gołą dłonią wycisnął niewielkie wgłębienie, a kamień topniał pod dotykiem niczym poranny szron od słońca.

Wówczas ogień zgasł, a Alaric Morgan przestał być mistrzem magicznej ceremonii, czerpiącym swą siłę z najgłębszych ziemskich kuźni. Pozostał czternastoletnim chłopcem, który z wyczerpania chwiejnie opadł na kolana do stóp króla, nie mogąc nadziwić się dziełu swoich rąk. Nie pamiętał już, jak tego dokonał.

Przez chwilę zapadła cisza, przzerwana w końcu westchnieniem ulgi Briona, który oderwał wzrok od odciętego kamienia. Nigel, cały napięty i przerażony, wpatrywał się w niego i Alarika, mocno ściskając rękojeść miecza zbielełymi palcami, jak gdyby robił to po raz ostatni w życiu. Z delikatnym uśmiechem przywracającym spokój Brion położył swą rękę na ramieniu brata. Obracając się ku młodzieńcowi klęczącemu u jego stóp, wyczuł wokół niewielkie napięcie.

— Alariku, czy dobrze się czujesz?

— Tak, Milordzie.

Niemal mdlejąc Alaric skinął głową, przyłożył rękę do czoła i zamknął oczy. Wyszeptał krótkie zaklęcie, by odpędzić zmęczenie. Jeden głęboki wdech i po wszystkim. Uśmiechając się blado, wstał na nogi i znów wziął od Briona bransoletkę, rozprostował i złożył w zagłębieniu, które zrobił w skale. Trzy runy, jeden ciągle nie odgadnięty, zaśniły w blasku słońca, kiedy rozpostarł swą prawą rękę nad srebrem.

— Ja daję światłość i sprowadzam ciemność — wyszeptał młodzieniec. — Ja ustanawiam pokój i sprowadzam wojny. Ja jestem Panem wszechrzeczy.

Nie wykonał żadnego ruchu ręką, a jednak mięśnie i ścięgna napięły się pod opaloną skórą.

Pod wpływem jego siły srebro zaczęło się wyginać, dopasowując się do wgłębienia w kamieniu. Bransoletka skurczyła się, a potem stopiła, choć znikąd nie docierało ciepło. Kiedy po chwili Alaric odjął ręce, srebro wypełniło powierzchnię wgłębienia niczym srebrna czarka, z ocalałym ostatnim znakiem. Położył pod nim palec i wymówił jego nazwę: — „Trzeci!” Tym razem, na mgnienie oka, jakby pogrążył się w niebycie. Po chwili wrócił mu oddech.

Wówczas wziął naczynie z wodą i zwracając się ku Brionowi, dał mu znak oczyma, by otworzył dłonie. Woda połała się na nie, a skraj płaszcza Alarika służył mu za ręcznik. Kiedy król osuszył ręce, Alaric wręczył mu naczynie z resztą wody.

— Wlej wodę do srebra na głębokość palca, Panie — powiedział miękko.

Brion uczyniwszy tak, odstawił naczynie na ziemię. Nigel przeszedł na drugą stronę kamienia i ukląkł, trzymając w rękę

miecz, którego rękojeść rzuciła cień krzyża na skałę i srebro.

— Teraz — ciągnął dalej Alaric — rozłóż swoje ręce nad wodą. Twoje ręce są święte, bo poświęcone koronacyjnym olejem; tak jak święte są ręce księdza. Wiem, że tak właśnie jest.

Brion słuchał ze wzrokiem zawieszonym na oczach Alarika, gdy ten zaczął mówić, prosząc, by król powtarzał za nim: — Ja, Brion, Pomazaniec Boży...

— Ja, Brion, Pomazaniec Boży...

— ...błogosławię cię i świecę, O stwórcu wody...

— ...błogosławię cię i świecę, O stwórcu wody...w imię Boga żywego, w imię Boga prawdziwego, w imię Boga świętego... w imię Boga, który na początku swoim słowem powołał cię z jałowej ziemi... którego Duch wlał w ciebie życie.

— Amen — Alaric wyszeptał.

— Amen — zawtórował Brion.

— Teraz zanurz palce w wodzie — zaczął Alaric — i zbliż się do kamienia...

— Wiem co teraz! — przerwał mu Brion, czyniąc w wodzie znak krzyża. Jego pamięć przebudziła się i wskrzesiła sceny sprzed lat, i każdy jego gest, każde słowo było poprawne i celowe, kiedy zwilżonym palcem dotykał kamienia wokół srebra.

— Błogosławiony bądź Stwórcu, wczoraj i na wieki, Tyś Początkiem i Końcem, Alfą i Omegą.

Na kamieniu ukazał się mokry znak krzyża, greckie litery, choć koślawe, były jednak poprawne, gdy czytać je od wschodu na zachód.

— Jego są pory roku, dla Niego chwała i potęga przez wszystkie wieki wieków.

Błogosławiony niech będzie Pan. Błogosławione niech będzie Jego Święte Imię.

W czterech ramionach krzyża zajaśniały wyrysowane przez Briona znaki czterech żywiołów ziemskich: Powietrza, Ognia, Wody i Ziemi. Brion rozpoznał magiczne znaki, cofnął rękę jak oparzony i spojrzał osłupiony na Alarika.

— Skąd? — przełknął ślinę. — Skąd ja to wiedziałem? Alaric pozwolił sobie na nikły uśmiech, dzieląc jego uczucie zniewolenia, któremu musiał ulec, by odtworzyć wspomnienia i nakazy nie istniejące dotąd w jego świadomości.

— Ty także byłeś przygotowany na ten dzień, Panie — powiedział. — Teraz Ty musisz wypełnić pozostałe nakazy swego ojca i przejąć władzę, która ci się prawnie należy.

Brion skinął głową, a jego gładkie krucze włosy zalśniły w słońcu.

— Nie jestem pewien, czy wiem jak, choć patrząc na to, co się stało, myślę, że są też inne nakazy i wskazówki, które mnie wspomogą, lecz — tu uniósł wzrok na młodzieńca — to ty mnie poprowadzisz, Alariku. Ty jesteś tu władcą, nie ja.

— Nie, ty jesteś władcą, o Panie — odparł młodzieniec, dotykając palcem wody i unosząc błyszczącą kroplę ku twarzy Briona.

Wzrok króla odruchowo pomknął za koniuszkiem palca, a kiedy kropelka dotknęła jego czoła, zamknął oczy. Wówczas, ku własnemu zdziwieniu, sięgnął do szyi i odpiął ogromną królewską broszę, która spinała jego płaszcz. Ważył klejnot w rękę, gdy płaszcz opadł mu do stóp i napłynęły słowa:

Na wodzie świetlanej, krwi królewskiej krople trzy, Znad czary srebrzystej boski ogień przyjmij, W święte ręce swe, jego Mądrością tchnij, O Haldane — to, królu, świętym prawem twym.

Król spojrzał na zamyślonego Alarika, potem na Nigela, w końcu na czerwoną porcelanową broszę w swoich rękach.

Odwrócił broszę i uwolnił złotą szpilę z zamka.

Wyciągnął w górę lewą dłoń.

— Na wodzie świetlanej krwi królewskiej krople trzy — powtórzył. Szybkim i nagłym ruchem przebił szpilą kciuk.

Z rany trysnęła krew, a trzy jej krople wpadły do wody, falując szkarłatnymi okręgami na świetlistej powierzchni. Językiem dotknął rany na kciuku, po czym odłożył broszę na bok i rozpostarł nad wodą swoje ręce, ponad którymi widział cień krzyża. Zamknął oczy.

Zaległo należenie. W atmosferze rosnącego oczekiwania Brion koncentrował swe myśli.

Wtem Alark uniósł swoją dłoń nad dłoń Briona i dodał czarom swej własnej mocy. Usłyszeli melodyjnie pulsujący pogłos. Słońce świeciło coraz mocniej, a wraz z nim jaśniała przestrzeń między dłońmi Briona, aż ujrzeli na wodzie migocące widmo krwawego ognia. Brion zamarł z obojętnym wyrazem twarzy, zaś Alaric cofnął dłoń i ukląkł.

— Nie obawiaj się, ja cię wybawię — wyszeptał Alaric, przywołując w pamięci słowa — Przyzywam twoje imię, a ty dziełem moim. Przejdziesz przez ogień i nie spłoniesz, i żaden ogień nie wznieci się pod tobą.

Brion nie otworzył oczu. Jednakże gdy Alaric skończył, król wziął głęboki oddech, a jego ręce powoli spoczęły na srebrze czary. Nigel zamarł widząc, jak jego brat wsuwał ręce w płomienie, lecz ani jedno słowo, ani jęk nie wyrwał się z jego ust. Brion stał niezachwianie, z głową odrzuconą do tyłu i zamkniętymi oczyma, gdy krwawy ogień objął jego ręce, a potem całe ciało. Gdy płomienie już zgasły, Brion otworzył oczy i spojrzał na świat, który już nie był taki sam jak wcześniej i w którym on już nie był zwykłym śmiertelnikiem.

Przez chwilę jeszcze stał ciężko wsparty o kamienny ołtarz, oddalając od siebie zmęczenie.

Ale kiedy oderwał ręce od kamienia, jego brat zdusił w sobie przekleństwo. W miejscu, gdzie spoczywały królewskie ręce, srebro zostało wypalone. Widać było jedynie poczerńiały zarys trwale wytrawiony w zagłębieniu skały. Brion zbladł ujrzawszy, co zrobił, a Nigel przeżegnał się. Tylko Alaric pozostał niezmienny. Teraz, zwrócony twarzą na wschód, z rozpostartymi ramionami oddalał czary. Blask ognia rozproszył się w powietrzu.

Nie byli już teraz sami. Część ludzi ze straży przedniej Nigela — równo tuzin spośród jego dowódców i doradców — odnalazła obozowisko króla. Stali zebrani przy koniach, w szyku tak bezładnym, jakiego Alaric jeszcze nie widział. Brion nie od razu ich spostrzegł, pochłonięty porządkowaniem niedawnych przeżyć. Dojrzał ich Alaric i trącił ostrzegawczo Briona. Kiedy zaskoczony król zwrócił się ku nim, padli na kolana jak jeden mąż. Kilku z nich przeżegnało się ukradkiem.

Brion zmarszczył czoło w chwilowym niepokoju.

— Czy oni widzieli? — szepnął ledwie słyszalnie. Alaric niepostrzeżenie skinął głową: — To się okaże, Panie. Pójdź do nich natychmiast i uspokój ich, Panie. W przeciwnym bowiem razie, co bardziej bojaźliwi gotowi są uciec.

— Ode mnie, swojego króla?

— Teraz jesteś kimś więcej niż zwykłym człowiekiem, Panie — Alaric obrócił się zaniepokojony. — Widzieli to na własne oczy. Idź do nich, a spiesz się.

Westchnąwszy, Brion naciągnął na siebie tunikę i szybkim krokiem przemierzył polanę, po drodze wyciągając zza pasa rękawice, gotowy je założyć.

Mężczyźni ukradkiem obserwowali każdy jego ruch, gdy wtem Brion przystanął w odległości sześciu stóp od najbardziej wysuniętego. Widząc ich badawcze spojrzenia, zamarł w bezruchu z rękawicą do połowy wciągniętą na prawą rękę. Chwilę potem, z uśmiechem ściągnął ją z powrotem i wysunął ku nim otwartą dłoń. Na lekko stwardniałej skórze nie było żadnych śladów.

— Macie prawo żądać wyjaśnień — powiedział szczerze, widząc ich oczy skierowane na swoją dłoń. — Jak widzicie, jestem zdrów i cały. Wybaczcie, jeśli wywołałem w was niepokój. Powstańcie, proszę.

Mężczyźni powstali, szczękami swoich zbroi zakłócając ciszę, jaka niespodziewanie zapadła nad polaną. Za królem podążali Nigel i Alaric: Nigel dźwigał królewski miecz, zaś Alaric karmazynowy płaszcz z królewską broszą. Mężczyźni stali w milczeniu, aż jeden z odważniejszych odchrząknął i wystąpił pół stopy naprzód.

— Panie.

— Lordzie Ralson?

— Panie — mężczyzna przestępował z nogi na nogę i zerkał na swoich kompanów. — Panie, wygląda na to, że odprawiono tu jakieś czary — powiedział z rozwagą. — Zapytujemy, czy mądrze to tak podporządkować się Derynijkowowi? Kiedy zobaczyliśmy...

— Co zobaczyliście, Gerardzie? — zapytał Brion łagodnie.

Gerard Ralson odchrząknął. — No więc, ja... my... kiedy przybyliśmy, Panie, ty trzymałeś w ręce tamtą broszę — tu wskazał na królewską broszę trzymaną przez Alarika. — A potem widzieliśmy, jak ukłułeś się nią w palec. — Przerwał. — Nie byłeś sobą, Panie, jak gdyby ktoś inny kierował tobą. —

Spojrzał znacząco na Alarika, a kilku mężczyzn podeszło bliżej za Gerardem, ich ręce gotowe były spocząć na rękojeściach broni.

— Rozumiem — rzekł Brion. — I myślicie, że to Alaric kierował mną, tak?

— Tak nam się wydaje, Wasza Wysokość — wymamrotał inny mężczyzna z brodą sterczącą buntowniczo.

Brion pokiwał głową. — A potem widzieliście, jak trzymałem ręce nad kamieniem, zaś Alaric trzymał swe ręce nad moimi. A jeszcze potem zobaczyliście, jak ogarnia mnie ogień i to przeraziło was najbardziej.

Rozmówca kiwnął głową na potwierdzenie, a za jego ruchem podążyła niemal każda głowa. Brion westchnął i spojrział w dół, potem znowu na nich.

— Moi lordowie, nie będę was okłamywał. Byliście świadkami wielkich czarów. I nie będę zaprzeczał uczestnictwa Alarika w tym, co widzieliście, ani tego, że jest on bezsprzecznie Derynijczykiem.

Mężczyźni nic nie odparli, wymieniając tylko między sobą spojrzenia.

— Jest jednak coś, o czym chciałbym wam powiedzieć — ciągnął Brion, przeszywając ich swoim haldańskim wzrokiem. — Każdy z was słyszał legendę mojego rodu, o naszym powrocie na tron Gwynedd po usunięciu Derynijczyka Imre. Lecz jeśli zastanowicie się, zrozumiecie, że Haldanowie nie mogli pozbyć się lordów derynijskich bez pomocy ich samych.

— Czyżbyś był Derynijczykiem, Panie? — zapytał jakiś śmiałek z tylnych szeregów.

Brion uśmiechnął się i pokręcił głową. — Nie, a przynajmniej mam nadzieję, że nie jestem. Lecz Haldanowie mają pewne zdolności, dziedziczone z ojca na syna. — Zerknął na Nigela, nim

zaczął dalej. — Jak wiecie, mamy ogromne siły witalne. Mamy też i inne moce, gdy tego potrzeba, dzięki którym rządzymy, jakbyśmy sami byli Derynijczykami. Mój ojciec, król Blaine, powierzył mi przed śmiercią kilka tajemnic, ale były też i takie, które zatrzymał w sekrecie, pozostawiając jedynie pewne wskazówki Alarikowi Morganowi na wypadek, gdyby Hogan Gwernach rzucił wyzwanie, zeszłej nocy właśnie to uczynił. Alaric był czteroletnim chłopcem, gdy został wtajemniczony przez mego ojca. On sam nie pamiętał o tych wskazówkach, póki nie były one konieczne. Jak widzieliście i ja musiałem być pouczony.

— Widzieliście siłę dominującą w ognistym okręgu — kontynuował — był nią mój ojciec.

Przepowiednia dopełniła się pod każdym względem, jestem teraz spadkobiercą mego ojca, jego mocy i potęgi.

— Twój świętej pamięci ojciec wszystko to przewidział? — wyszeptał jeden z mężczyzn.

Brion kiwnął głową. — Nie ma tu złych mocy, Alwyne. Dobrze znałeś mego ojca. Wiesz, że on nie sprowadziłby tu nieszczęścia.

— Tak, on nie — odparł mężczyzna, bezwiednie spojrzawszy na Alarika. — Ale co z tym derynjskim chłopakiem?

— Nasi ojcowie zawarli pakt, że Alaric Morgan, gdy osiągnie odpowiedni wiek, przybędzie do dworu, aby mi służyć. Tak się stało. Alaric Morgan służy mnie i królestwu Gwynedd.

— Panie, ależ on jest Derynijczykiem! A jeśli jest w zмовie z nimi?

— On jest sprzymierzony ze mną! — rzucił ostro Brion. — Jest moim lennikiem jak każdy z was, zaprzysiągł służyć mi odkąd skończył dziewięć lat. Rzadko kiedy opuszczał mnie w tym

czasie. Czyż obciążony przez mego ojca przykazaniem, mógłby mnie zdradzić?

Nim król znowu zaczął, Ralson odchrząknął, wystąpił naprzód i pokłonił się.

— Panie, nie nam rozprawiać o chłopaku. Żaden z nas, z Waszą Wysokością włącznie, nie może wiedzieć, co kryje się w jego sercu. Pomówmy raczej o tobie. Jeśliś naprawdę chciał nas uspokoić, że nie masz żadnych złych zamiarów i że nie przysięgałeś się z Ciemnymi Mocami...

— Żadasz na to mojej przysięgi? — spytał Brion. — Byłbyś aż tak zuchwały?

Ralson kiwnął tylko głową, nie mając śmiałości użyć słów, a wraz z nim jak echo powtórzyli ten gest mężczyźni stojący za nim. Po mrożącej krew w żyłach chwili, Brion szorstko skinął na brata, by ukląkł przed nim z mieczem królewskim. Gdy Nigel uniósł w górę krzyż rękojeści, król złożył na nim swoją prawą dłoń i stanął twarzą do wyczekujących rycerzy.

— Przed wami wszystkimi i przed Bogiem, na ten święty miecz przysięgam, że jestem wolny od waszych podejrzeń, że nie zawarłem żadnego paktu z siłami nieczystymi, że obrzęd, który widzieliście, odbył się w dobrej i słusznej wierze. Przysięgam też, że nigdy nie byłem ani nie jestem powolny Alarikowi Morganowi, ani nikomu innemu, śmiertelnikowi czy Derynijkowowi; że on jest tak czysty jak ja — czysty od jakichkolwiek złych zamiarów wobec ludu i władcy Gwynedd. Daje na to słowo Briona Haldane. Jeślibym krzywo przysięgł, niech mój miecz złamie się w godzinie nieszczęścia, odsiecz niech nie nadejdzie, a ród Haldane niech zniknie z powierzchni ziemi.

Mówiąc to, przeżegnał się wolno i z pokorą, a gest ten

powtórzył Alaric, Nigel, a potem cała reszta mężczyzn.

Przygotowania do wyprawy na Rustan poczyniono w absolutnej ciszy.

Marluka napotkali w odległości godziny drogi od Rustan, gdzie czekała na nich reszta straży przedniej Nigela. Przez cały ranek posuwali się urwistym szlakiem kanionu Llegoddin, szlakiem krętym i pełnym zdradliwych kamieni, wygładzonych przez wodę, które przeskakiwały pod kopytami końskimi. Z prawej strony wiódł ich płytki strumień, przecinając im drogę w kilku miejscach mulistymi i wartkimi brodami. Na ostatniej mili ściany kanionu zwężyły się tak, że jeźdźcy musieli jechać po dwóch obok siebie. To było idealne miejsce na zasadzkę; zwykle nieomyłne przeczucie Alarika o zagrażającym niebezpieczeństwie, tym razem milczało.

W kanionie panował półmrok i chłód orzeźwiający po gorączce południowego słońca, a echo podkutyh kopyt niesło się daleko naprzód, obwieszczając koniec marszruty na długo zanim w istocie dotarli do skraju przesmyku. Tam droga gwałtownie skręcała przez strumień, za którym rozciągała się niewielka równina. Na środku jej oczekiwał już ich szyk uzbrojonej kawalerii, dwukrotnie przewyższający siły Briona.

Byli to wojownicy tolańscy zakuci w stalowe kolczugi i szyszaki, z lancami i toporami wojennymi połyskującymi w świetle słońca. Przed nimi biało odziany wódz z lancą w rękę i jasnym proporcem za plecami, dosiadał przysadzistego gniadosza. Tarcza herbowa nie pozostawiała złudzeń co do tożsamości. Był to Hogan Gwernach, zwany Marlukiem. Na jego proporcu widniał, pomiędzy innymi, królewski herb Gwynedd.

Czasu ledwie starczyło na wymianę spojrzeń. Nim usta Alarika poruszyły się ostrzegawczo, a garstka wojowników Briona

zdążyła przedrzeć się przez strumień i przesmyk kanionu, Marluk opuścił lancę i dał znak do ataku. Potężne konie rzuciły się na oszołomiony oddział królewski, z impetem skoczywszy na nadchodzących. Brion nachylił lancę i spiął konia ostrogami. Jego ludzie, pokonawszy przerażenie w godnym podziwu tempie, pogalopowali za nim w zwartym szyku, gotując po drodze tarcze i broń.

Ziemia zatrzęsła się pod ciężarem szarż, rozbrzmiewając szczękiem uprzęży i zbroi, skrzypieniem skóry, parskaniem i zziąjanym oddechem ciężkich rumaków. Nim wojska zderzyły się ze sobą, jeden z wojowników Briona wykrzyknął: „Haldane!” — co towarzysze broni natychmiast pochwycili i zawtórowali mu. Rozgorzała walka wręcz, wojownicy padali, a konie bez jeźdźców charczały okaleczone od lanc łamanych na tarczach, zbrojach i kościach.

Stal dzwoniła o stal, krzyki rannych i konających mieszały się z odgłosami mieczy i toporów. Uszedłszy cało z pierwszej utarczki, Alaric spotkał się teraz tarcza w tarczę z wojownikiem dwa razy starszym i potężniejszym od siebie, napierającym mocno na niego z maczugą gotową zmiażdżyć mu szyszak. Alaric odparował ten cios przeskoczywszy pod tarczą na prawą stronę. Chciał podejść przeciwnika z drugiej strony, ale on przewidział ten ruch i rzucił się do kontrataku. W ostatniej chwili Alaric odebrał cios na tarczę i zachwiał się w siodle, chcąc utrzymać równowagę i jednocześnie zaatakować. Jego miecz zawisł na moment w powietrzu i miał trafić w odsłonięty prawy bok, dźgnął w tylny łęk siodła innego jeźdźca. Po chwili otrząsnął się i wyszarpnął miecz, mocno ściskając kolanami boki konia, który szarpał gwałtownie łbem i chwycił zębami nogawkę pędzącego obok jeźdźca.

Odparowując atak drugiego przeciwnika, Alaric przeciął popręg innemu i zranił jego wierzchowca. Jednocześnie silnym kopnięciem wyrzucił z siodła trzeciego wojownika, który zmierzał ku niemu od strony tarczy. Pierwszy rycerz gruchnął o ziemię zwalając się wraz z koniem, cudem tylko uniknąwszy stratowania przez jednego ze swoich, który rzucił się w pogoń za rannym wojownikiem Briona.

Następny cios, głęboki i śmiertelny, i niedoszły zabójca Alarika sam był już martwy.

Łapiąc nierówny oddech, Alaric zakręcił konia, by ocenić sytuację Briona i bronić się jednocześnie przed atakiem następnych dwóch wojowników.

Sam król był w sytuacji niewiele lepszej. Utrzymując jeszcze równowagę na koniu i dzielnie się broniąc, uwolnił się od swojego śmiertelnego wroga w pierwszym starciu, nim na nowo przystąpił z nim do walki. Nigel walczył u boku brata, dzierżąc oprócz tarczy także chorągiew królewską. Przeszkadzała mu ona i wskazywała wrogowi, gdzie jest monarcha.

Właśnie obaj królewscy bracia znaleźli się w potrzasku, osaczeni przez pół tuzina rycerzy Marluka atakujących ze wszystkich możliwych stron. Tymczasem Marluk, oddalony o jakieś sto jardów, zawzięcie zabijał pomniejszych wojowników Briona, sam unikając najbardziej sławnych jego rycerzy. Król zmierzył wzrokiem pole walki i dostrzegł swego wroga. Jednym brutalnym dźgnięciem rozprawił się naprędce z jednym z łupieżców, uniósł miecz w górę i wykrzyknął: — Gwernach!

Marluk zwrócił się w tym kierunku, machając mieczem nad głową. Jego szyszak przepadł, a spod stalowego czepca wirowały na wietrze płowe włosy.

— Haldane jest mój! — krzyknął Marluk, popędziwszy w

stronę Briona, po drodze ścinając jeszcze innego wojownika. — Stań i walcz, uzurpatorze! Gwynedd jest moje po prawie!

Oto nadeszła chwila, na którą obaj czekali — walka wręcz dwóch rywalizujących królów.

Stal zgrzytnęła o stal, gdy dwaj mężowie stanęli na środku pola i zderzyli się w pojedynku.

Wojownicy obydwu stron wstrzymali walkę i rozstawieni po bokach, sekundowali im.

Przez chwilę wydawało się, że szansę walczących są równe. Oto Marluk odrąbał kawał drewna od tarczy Briona, ale Brion pozbawił Marluka strzemion. Walczyli zaciekle, choć żaden z nich nie zadawał rozstrzygającego ciosu. Aż w końcu miecz Briona natrafił na gardziel wierzchowca Marluka. Zdychające zwierzę runęło z kwikiem, zrzucając jeźdźca.

Brion, wykorzystując sytuację, usiłował stratować wroga, ale Marluk przekoziółkował pod tarczą i zerwał się na nogi, aby zagrozić koniowi Briona, nim ten zawróci, by z pasją ruszyć na niego po raz wtóry. Drugi podjazd kosztował Briona życie własnego wierzchowca, przeszytego mieczem Marluka. Gdy koń padł, Brion zeskoczył zręcznie i od razu ponownie zaatakował przeciwnika.

Przez kwadrans obydwaj walczyli na miecze i tarcze, Marluk mając przewagę wagi i wzrostu, a Brion młodości i większej zwinności ruchów. Na koniec, gdy już z ledwością mogli unieść broń, odsunęli się od siebie i oparli na ciężkich mieczach, łapiąc powietrze krótkimi, urywanymi oddechami. Po chwili, złote oczy spotkały szare. Marluk wyszczerzył zęby do przeciwnika w krótkim, serdecznym uśmiechu.

— Dobrze walczysz jak na Haldane — przyznał Marluk, oddychając jeszcze ciężko.

Wykonał ruch miecza w kierunku wyczekujących wojowników. — Jesteśmy wprawieni, przynajmniej w mieczu, więc gdyby nasi ludzie rzucili się znowu do walki, wyszłoby na koniec na to samo — ty przeciwko mnie.

— Albo moja władza przeciwko twojej — poprawił spokojnie Brion. — Czy to jest twój ostateczny zamiar?

Marluk wzruszył ramionami, lecz Brion mu przerwał.

— Nieprawda, zabiłbyś mnie mieczem gdybyś, mógł — powiedział. — Wygrać z pomocą czarów nie jest trudno, ale też nie daje, smaku zwycięstwa, którego przecież oczekujesz, a które dałoby ci panowanie nad moimi poddanymi i zapewniłoby tron. Lud Gwynedd nie przyjąłby króla derynijskiego z tymi wszystkimi twoimi krwiożerczymi przodkami.

Marluk zaśmiał się. — Siłą fizyczną czy tajemną... to niewiele znaczy w dalszych rozrachunkach. Liczy się tylko zwycięstwo. Ale twoja sytuacja, Haldane, jest o wiele bardziej niepewna niż moja, jeśli o dynastii mowa. Czy widzisz tamtych jeźdźców i tego wątlego, odzianego na niebiesko?

Wykonał ruch mieczem w stronę drugiej drogi na polanę, którą on i jego ludzie nadeszli, a gdzie połowa jeźdźców otoczyła bladą, drobną istotę na szarym rumaku.

— Tam jest moja córka i dziedziczka, Haldane — powiedział Marluk z zadowoleniem. — Bez względu na koniec naszej walki, ona odjedzie wolno, by zachować moje imię i pamięć na inne czasy. Ale ty... jeśli ja wygram, zginiesz nie tylko ty, lecz także twój brat. — Tu wskazał na Nigela, potem z powrotem skierował koniec swojego miecza na Briona. — Następnym i ostatnim Haldane jest twój wuj Richard, bezdzietny pięćdziesięcioletni kawaler. Poza nim nie ma już nikogo!

Ręka Briona zacisnęła się na rękojeści miecza, a on sam

przeszył wroga spojrzeniem zdradzającym respekt. Nie było w rodzie Haldane, przynajmniej teraz, innych mężczyzn, poza jego bratem i wujem. Nie było też sposobu, by on lub jego ludzie mogli zatrzymać córkę Marluka. Nawet jeśli Brion teraz wygra, dziewczyna będzie stanowić dlań niebezpieczeństwo w przyszłości. Od wieków trwający spór o supremację w Gwynedd nie może się zakończyć tutaj dopóki, rzecz jasna, Brion żyje.

Myśl ta otrzeźwiła go, ochłodziła gorącą krew pulsującą w żyłach i uspokoiła łomot serca.

Musi odpowiedzieć na wyzwanie uzurpatora teraz, tą jedyną kartą, jaka mu pozostała.

Wpierw walczyli na miecze, ale to było na nic. Teraz muszą stanąć do walki na inną broń.

Okazując znacznie więcej pewności niż chciał, nigdy bowiem stawką nie było życie i korona, Brion opuścił swój miecz i szyszak i powoli oddalił się od swojego śmiertelnego wroga. Z przejściem i stanowczością znaczył na piasku końcem miecza ślad równoramiennego krzyża, jednym ramieniem skierowanego ku Marlukowi.

— Ja, Brion, Pomazaniec Boży, Władca Gwynedd i Pan Szkarłatnych Granic, wzywam cię Hogue Gwernach, do walki na śmierć i życie za to, że podniosłeś wrogą dłoń przeciwko mnie, a tym samym przeciwko ludowi Gwynedd. Będę ich bronił ciałem i duszą, aż do śmierci. Tak mi dopomóż.

Twarz Marluka pozostała niezmienna podczas wyzwania Briona. Teraz on podszedł do zakreślonej na piasku figury i końcem swojego miecza przejechał po śladach krzyża.

— A ja, Hogue Gwernach, potomek prawowitych od starożytności królów Gwynedd, przyjmuję to wyzwanie, Brion — nie Haldane, i oskarżam cię, że nikczemnie uzurpujesz sobie

prawo do tronu i korony. Prawa tego będę bronić, aż do śmierci. Tak mi dopomóż Bóg.

Kończąc począł kreślić na ziemi drugi symbol obok krzyża — wijący się splot, który przykuwał uwagę Briona, coraz większą siłą. Brion w porę pojął, co się kryje za tym znakiem i z przekleństwem na ustach odtrącił miecz Marluka swym własnym orężem, jednocześnie butem zmazując symbol. Zerknął na leżący w oddali miecz, potem na wroga, powstrzymując ogarniającą go złość tylko największym wysiłkiem woli.

Jeśli dam mu się sprowokować — pomyślał — jestem zgubiony.

Dusząc w sobie wściekłość, odstawił swój miecz na bok.

Marluk cofnął się o krok i wzruszywszy ramionami — nie spodziewał się doprawdy tak nagłej zmiany — wycofał się na następnych kilkanaście kroków. Brion odpowiedział szybkim, szorstkim gestem i podobnie cofnął się na stosowną odległość. Po czym, bez żadnych przygotowań, rozłożył ręce na boki i wyszeptał słowa chroniącego zaklęcia. W odpowiedzi ogień za jego plecami buchnął szkarłatem, na co Marluk zareagował podobnym zaklęciem, wywołując niebieski ogień, który dopełnił wokół nich ochronnego kręgu. Pod powstałym firmamentem ognia łuki ich energii zaczęły trzaskać mieczem o miecz, raz odpływając to znów napływając w trakcie walki.

Gdy walczyli, okrąg rozjaśniał się światłem tak silnym, że wszystko wokół zginęłoby, gdyby nie działanie chroniącego zaklęcia. A powietrze tak się zamgliło, że stojący poza kołem nie widzieli już walczących w środku przeciwników. Trwało to około pół godziny, przykuwając uwagę wojowników obydwu stron. Gdy w końcu ogień zaczął nierówno migotać i zgasł, nic już nie było widać we wnętrzu koła poza dwiema sylwetkami duchów o

płonących zarysach, z których jedna zataczała się niczym zamroczona.

Trudno było je rozpoznać. Jedna postać padła na kolana i tak pozostała, z mieczem uniesionym w górę, w ostatnim rozpaczliwym geście obrony. Druga stała z uniesioną ręką gotową uderzyć, lecz coś ją powstrzymywało. Ta dramatyczna chwila trwała jeszcze na przeciąg kilku uderzeń serca, wzmagając napięcie pomiędzy dwiema postaciami, gdy nagle ta klęcząca skuliła się i opuściła miecz z jękiem udręki w głosie. Potem podparła się rękoma i poddańczo pochyliła głowę. Miecz zwycięzcy spadał jakby w zwolnionym tempie, by nagle jednym sprawnym cięciem odłączyć głowę od reszty ciała, a krew zbryzgała i piach, i zwycięzcę, i kadłub pokonanego. Ogień już prawie przygasł, ukazując ocalałego Briona.

Wojownicy z Gwynedd wznieśli potężny okrzyk triumfu. Kilku z ludzi Marluka czmychnęło w przestrachu przez pola do swoich kompanów, a pozostali natychmiast rzucili broń i poddali się. Poniżej polany, u wylotu kanionu na szarym rumaku oddalała się niska postać z eskortą. Pościgu nie było.

Przez mgłę Brion nie mógł ich zobaczyć, ale czuł ich obecność. Oszołomiony wrócił do środka koła i po raz ostatni obrysował ślad krzyża na piasku, wypowiadając sylaby zaklęcia.

Gdy ogniste koło już wygasło, rzucił dalekie spojrzenie na opustoszały wylot kanionu i wolno ruszył ku swoim ludziom. Rozstąpili się przed nim, tak Gwyneddowie jak i Tolanie.

Zaledwie tuzin wojowników pozostało z sił Briona, tyle samo lub mniej ze strony Marluka.

Znieruchomiali trwali teraz, w ciszy pełnej napięcia, a między nimi kroczył król. W pewnej chwili zatrzymał się, rozejrzał dokoła siebie i zobaczył wojowników, rannych wspartych o

swoje tarcze, Nigela i Alarika na zbryzganych krwią rumakach, zakrwawioną chorągiew w ręce Nigela. Przez dłuższą chwilę, wpatrzony w chorągiew stał nieruchomo, by nie zmącić ciszy. Potem spojrział na każdego z wojowników z osobna, pochłaniając bez reszty ich uwagę.

— Nie będziemy rozpowiadać o szczegółach tej bitwy poza tym miejscem — powiedział jasno. W słowach tych czuć było władzę i przymus, a Alaric Morgan, przysłuchujący się temu znał potęgę kryjącą się w tym prostym zdaniu!! Choć nie byli tego świadomi, każdy z nich naznaczony został haldańskim zaklęciem.

Minęło kilka chwil, w absolutnej ciszy stali zatopieni w myślach. Wtem Brion drgnął, uśmiechnął się i już był z powrotem w realnym świecie. Nigel natychmiast zeskoczył z konia i podbiegł, by uścisnąć brata. Alaric, nieco powściągliwie, wysunął nogę ze strzemion, zeskoczył na ziemię i ruszył dostojnie, aby powitać króla.

— Piękna walka, Panie — szepnął, z trudnością wymawiając słowa.

— Dzięki ci, że dałeś mi ku temu sposobność, Alariku — odparł król. — Chociaż nie chciałem tego przelewu krwi.

Miecz swój podał Nigelowi, a sam zakrwawioną ręką odgarnął pasmo włosów znad oczu.

Alaric przełknął ślinę i poruszony skłonił się.

— Nie trzeba dziękować, Panie. Zrobiłem tylko to, co do mnie należało. — Przełknął jeszcze raz ślinę i podniósł się z trudnością, po czym niespodziewanie padł na kolana i pochylił głowę.

— Panie, czy mogę prosić o błogosławieństwo?

— Błogosławieństwo? Wiesz, że ty możesz prosić o wszystko, Alariku. Tylko, błagam cię, dajmy spokój ceremoniom.

Alaric pokręcił głową i przeniósł wzrok na Briona.

— Nie, tego właśnie pragnę i tak będzie, Panie. — Uniósł przed nim złożone dłonie. — Panie, pozwól, że raz jeszcze złożę ci hołd.

— Hołd? — zaczął Brion. — Przecież już przysięgałeś służyć mi, Alariku, i ofiarowałeś mi swoją przyjacielską dłoń, co cenię sobie bardziej niż jakikolwiek hołd.

— Ja także, Panie — Alaric lekko pochylił głowę — ale złożyłem ci hołd, jaki składa każdy poddany swojemu panu. Natomiast teraz chciałbym złożyć ci hołd na moc, jaką obydwaj posiadamy; chciałbym złożyć ci hołd jako Derynijczyk.

Rozległo się wokół ciche szemranie, Nigel w trwodze spojrzął na brata, ale ani król, ani klęczący giermek nic nie słyszeli. Chwila ciszy, nikły uśmiech i oto Brion bierze dłonie młodzieńca w swe zakrwawione ręce. Jego szare oczy napotkały drugą parę szarych oczu, gdy tkwił zasłuchany w słowa przysięgi Derynijczyka, składającego hołd ziemskiemu królowi po raz pierwszy od przeszło dwóch stuleci.

— Ja, Alaric Anthony, Lord Morgan, jestem twoim lennikiem ciałem i duszą. Przysięgam ci wierność i lojalność ze wszystkich sił swoich, póki życie we mnie trwa. Przysięgam na swe życie, honor, wiarę i duszę. Jeślibym krzywo przysięgał, niech mnie siły opuszczą w godzinie nieszczęścia.

Brion przełknął ślinę, nie spuszczając wzroku z Alarika.

— A ja ze swej strony przysięgam ci, Alariku Anthony, Lordzie Morgan, opiekować się i bronić ciebie, i każdego, któremu ufasz, ze wszystkich sił swoich, póki życie we mnie trwa.

Przysięgam na swoje życie, tron i honor. Jeślibym krzywo przysięgał, niech ciemne moce pokonają mnie. Oto przyrzeczenie Briona Donalda Cinhila Uriena Haldane, Króla Gwynedd, Pana Szkarłatnych Granic i przyjaciela Alarika Morgana.

Kończąc, Brion uśmiechnął się i mocniej uściśnął rękę Alarika, potem je uwolnił i obrócił się ku Nigelowi, by wziąć swój miecz. Unosząc go spostrzegł zaplamione krwią ostrze.

— Obiecuję ci, że nie będziesz musiał obawiać się przelewu krwi — powiedział z lekkim uśmiechem — bo przelana tu krew sprawia, że jestem władny to uczynić.

Powoli dotknął klingą prawego ramienia młodzieńca.

— Alariku Anthony Morganie — uniósł miecz i dotknął nim drugiego ramienia. — Stanowię cię Księciem Corwynu, przez pamięć o twojej matce — dotknął klingą jego głowy.

— Nadaję ci ten tytuł na całe twoje życie i życie twoich potomków tak długo, jak nasienie Morgana trwać będzie na ziemi. — Uniósł miecz i dotknął nim swoich królewskich ust, a potem opuścił na ziemię. — Oto, co postanowiłem, ja, Brion z Gwynedd. Powstań, Książę Alariku.

przełożyła: Ewa Tokarska

Hank Reinhardt

WIEK WOJOWNIKA

Wesoły rozgwar biesiady ucichł nagle i choć świece wciąż paliły się jasno, strach i niepokój zawisły ciemną chmurą w wielkiej sali Zamku Glaun. Zapomniawszy o pozycji panowie i panie, mieszczanie i strażnicy zbili się w małe, wystraszone grupki. Cichy pomruk ich głosów milkł, gdy uchylały się drzwi wiodące do książęcych komnat, ale rozlegał się znowu, gdy pojawiał się w nich służący lub pokojówka.

Wieczór zaczął się nawet nieźle. Lyulf II, król Lyvane, w otoczeniu swej świty, przybył nieco wcześniej wraz z księciem Jagai. Książę Glaun był dobrze przygotowany na przyjęcie królewskich gości i uczta, jaką wydał, była wspaniała. Zawarty ostatnio traktat między królem Lyulfem II a Togaiem, królem Shangów, był pamiętnym wydarzeniem i książę nie szczędził kosztów, by je uczcić.

Cios spadł zaraz po zaimprovizowanym spotkaniu zapaśniczym Asgalta, księcia Jagai, z młodym strażnikiem. Zwyciężył książę. Gdy zakończono walkę, przybył posłaniec, przynosząc złe wieści, że Shangowie oblegają zamek Kels i wszystko wskazuje na to, że zamek padnie w ciągu kilku dni.

Zapanował piekielny rozgardiasz i król wraz ze swymi najbliższymi doradcami udał się do komnat księcia Glaun.

Król siedział zgarbiony nad stołem, wbijając wzrok w mapę, jakby siłą woli chciał zmienić położenie kraju. Wokół stołu stało kilku ministrów, a w kącie obaj książęta wdali się w ożywioną

dyskusję.

Władca spojrział na nich ze złością i głosem wyzutym z królewskiej łaskawości warknął: — Może zakończycie te przekłete swary i podejdziecie tu! Całe królestwo jest zagrożone, a wy kłóćcie się o zasady etykiety!

Asgalt, zamierzający wytoczyć kolejny argument, urwał w pół zdania i spojrział na króla.

— Panie, ja się nie spieram, tylko bronię mojej racji. Książę Glaun, imieniem Colwen, skłonił się w pas i odparł: — Proszę o wybaczenie, Panie, jednak uważam za niewłaściwe, by książę mocował się ze zwykłym strażnikiem nawet, jeśli ten jest mistrzem.

Asgalt mruknął gniewnie.

— Ba, spierasz się tylko dlatego, że wygrałem.

Lyulf obrzucił ich groźnym spojrzeniem i rzekł najbardziej władczynie tonem, na jaki mógł się zdobyć: — Nie chcemy słuchać o zapasach ani o dobrych manierach. Chcemy rady!

Colwen z godnością podszedł do stołu i zajął miejsce za królem. Był wysokim mężczyzną o włosach białych jak śnieg i twarzy pomarszczonej przez lata trosk i obaw.

Książę Jagai zbliżył się do króla i stanął przed nim, spoglądając nań z góry. Widział dorosłego mężczyznę, opanowanego i stanowczego, dobrze nadającego się na władcę, ale oczami duszy ujrzał też małego chłopca, patrzącego nań z podziwem i zachwytem.

Asgalt wskazał na mapę.

— Spójrzcie, a zobaczycie, co trzeba zrobić, a przynajmniej spróbować zrobić.

Król potrząsnął głową.

— Powiedziałem nie.

Asgalt ze złością klasnął dłońmi o uda. Był ogromnym mężczyzną o zimnych, niebieskich oczach spoglądających spod stalowoszarej strzechy włosów. Gruby kark spoczywał na potężnych ramionach i równie muskularnym torsie. Tylko siwizna i lekka otyłość zdradzały jego wiek. Odwrócił się plecami, po czym znów obrócił się do króla.

— Ty szczeniaku, gdybyś nie był dorosły, wbiłbym ci trochę rozumu do głowy. Król czy nie król. Na oczy Kimwalta przecież wystarczy popatrzeć!

Ministrowie spojrzeli po sobie zaszokowani, lecz ksiązę Glaun wyraził swą dezaprobatę głośno: — Wasza miłość! Tak się mówi do króla! Asgalt nadał się i ryknął.

— Mówi! Mówi! Shang niebawem najedzie wszystkie sioła, mordując i grabiąc do woli, a ty mówisz — „Tak się mówi”.

Ze zdumieniem potrząsnął głową i ryczał dalej: — Colwen, jesteś jednym z najlepszych wojowników jakich widziałem, ale...

Urwał i nieco cichszym głosem powiedział do króla: — Czy pamiętasz, jak Colwen i ja broniliśmy wyłomu w murze podczas oblężenia tego zamku? To było piętnaście lat temu, a on chciał, żebym stał z lewej strony, ponieważ on jest księciem krwi, a ja nie!

Król, mimo wszystkich swych obaw, uśmiechnął się. Słyszał tę historię co najmniej raz na miesiąc przez ostatnie piętnaście lat. Jednak zaraz odzyskał poczucie rzeczywistości i uśmiech zastygł mu na ustach.

— Dość tego. Togai złamał traktat, Shangowie idą na nas i trzeba ostrzec królestwo oraz zwołać pospolite ruszenie. Nie mam czasu, by siedzieć tu i słuchać waszych sprzeczek.

Asgalt skinął głową, porzucił udawaną wściekłość i powiedział poważnie.

— Tak, to prawda. Nie masz też czasu, aby wysłać gońca okrężną drogą, wokół Błękitnych Wzgórz. Wojownicy Shangu są już w Kels i zanim tam dotrzesz zajmą je, po czym nadciągną główne siły. Nim zostanie zwołane pospolite ruszenie, Lyvane będzie stało otworem dla wroga, przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: — Jedyne sposoby, aby zyskać na czasie, to przebyć przełęcz Jagai. Zręczny posłaniec zdoła przedrzeć się przez oddziały Shangów i pospolite ruszenie zostanie zwołane, nim nadciągną tu ich główne siły. Wtedy z łatwością schwytamy ich w pułapkę. Ale tylko jeden człowiek zna tę drogę — ja.

Lyulf siedział i nie przerywał mu. Wszyscy rozumieli jego rozterkę. Asgalt był dobrym przyjacielem i doradcą jego ojca; w rzeczy samej, dzięki niemu ojciec króla odzyskał tron utracony podczas rebelii. Jednak Asgalt zestarzał się, a wyprawa, o której mówił tak lekko, była trudna, nawet dla znacznie młodszego mężczyzny; ponadto przełęcz pilnowały silne oddziały Shangu.

W końcu Colwen przechylił szalę decyzji.

— Panie, książę ma rację. To nasza jedyna szansa! Wyruszysz natychmiast okrężną drogą, zaś Asgalt podąży ku przełęczu.

Ostatecznie Lyulf skinął głową. Spojrzał na Asgalta i twarz mu złagodniała.

— Uważaj na siebie, stary wojaku. Pamiętaj, że młody król nadal potrzebuje starych przyjaciół.

Książę uśmiechnął się do niego i przez moment jego surowa, kamienna twarz przybrała chłopięcy wyraz.

— Stary? Spytaj tego młodego strażnika. On myślał, że jestem stary... Jednak tej nocy jego plecy i ramię powiedzą coś innego.

— Więc weź go ze sobą. Wydawał się twardy jak podeszwa.

— Bo taki jest — odparł ze smutkiem Asgalt.

Poranne słońce stało jeszcze nisko na niebie, gdy król i książę

Glaun patrzyli na wyjeżdżających z miasta Asgalta i Flana. Król potrząsnął głową i powiedział do towarzysza: 180

Hank Reinhardt — Obawiam się, mój dobry książę, iż możemy już nigdy nie ujrzeć Asgalta. Dziwne, że los tego kraju znów spoczywa w rękach cudzoziemca.

Colwen przytaknął mu skinieniem głowy.

— Nie można by go złożyć w pewniejsze... Urwał, po czym mówił dalej.

— Wydawało się, że więcej niż ochoczo podjął się tego zadania. Czy to dlatego, że obawia się swego wieku czy też z nienawiści do Shangów?

Poranne mgły podniosły się i słońce grzało mocno. Jechali w równym tempie, rzadko odzywając się do siebie, każdy pogrążony w swoich myślach. W południe zsiadli z koni, by spożyć szybki posiłek i dać odpocząć koniom. Flan, strażnik, był wysokim młodzieńcem, krzepkim i długonogim, z grzywą czarnych włosów i oczami tego samego koloru. Zerknął na księcia i powiedział: — Powiedz mi, wasza miłość. W jaki sposób wódz Haga Hai staje się księciem Lyvane?

— O tym, chłopcze, długo by opowiadać. Nie jestem Haga Hai, lecz Birkitem.

Przyłączyłem się do jednego z ich oddziałów, aby wyrównać prywatne porachunki ze Shangami. No, jedno prowadziło do drugiego i skończyłem jako ich wódz. To było dobre życie; Haga Hai chcieli tylko pić i wojować. Pewnie nadal żyłbym wśród nich, gdyby Shangowie nie napadli na nas pewnej nocy. Zabili wszystkich prócz mnie. Zamierzali mnie udusić i wypchać.

Zachichotał.

— To był ich błąd. Wyrwałem się i zabiłem przy tym jeszcze kilku. Wędrowałem przez parę lat, po czym zaciągnąłem się do

armii Lyvane. W Żelaznych Górach spotkałem starego Lyulfa. Rebelianci przerwali nasze szeregi i było oczywiste, że wygrają, więc kiedy cała armia rzuciła się do ucieczki, starałem się pozostać przy życiu. Kilka dni później natknąłem się na człowieka próbującego walczyć z czterema buntownikami i bronić chłopca. Zabiłem rebeliantów, a mężczyzna poszedł ze mną. Zaśmiał się głośno.

— Minął niemal miesiąc nim dowiedziałem się, że to król. Stary Lyulf był przebiegłym diablem.

Wrócił myślą do dawnych dni i opowiadał w zadumie; zapomniawszy o tym, że ma słuchaczy, mówił bardziej do siebie niż do Flana.

— Wędrowaliśmy i walczyliśmy przez pięć lat. Ukrywaliśmy się w górach i jaskiniach z kilkoma wiernymi Koronie. W końcu zebraliśmy armię i dopadliśmy Morgauna na Równinie Białej Wody. Cóż to była za bitwa! Zabiłem Morgauna, niemal rozrąbałem go na pół! Jednak dość o mnie. Teraz ty opowiedz mi o sobie.

Flan uśmiechnął się.

— Nie mam wiele do opowiadania, wasza miłość. Głód podróży, dręczący wielu młodszych synów biednych wieśniaków. Trochę się włóczyłem, zakosztowałem morza, ale mój żołądek nie mógł go ścierpieć. Walczyłem pod lordem Conlenachem, byłem z nim pod Colnar. Uszedłem, znów trochę wędrowałem, aż osiadłem w Glaun. Księżę wziął mnie na służbę — dodał z nikłym uśmiechem — bo zrobiły na nim wrażenie moje umiejętności zapaśnicze!

Asgalt roześmiał się na całe gardło.

— Wiedziałem, że ten stary diabeł próbuje mnie podpuścić! I niemal mu się udało. Prawie mnie miałeś, ale zaskoczyłem cię

zręcznym chwytem. Dobrze walczysz; brak ci tylko doświadczenia, które przyjdzie z wiekiem.

— Następnym razem, wasza miłość, spróbuję nie dać się zaskoczyć.

Pojechali dalej i niebawem krajobraz zaczął się zmieniać. Miejsca łagodnych pagórków zajął gęsty las, który z kolei ustąpił miejsca nizinom oraz bogatym i żyznym dolinom. To była piękna kraina, lecz teraz jej piękno skaziły ślady wojny; popalone gospodarstwa, błędzące bydło i spustoszone wsie. Trupia woń, jaką sporadycznie wyczuwali mijając spalone zabudowania, wkrótce zmieniła się w straszliwy smród, wiszący w powietrzu i zdający się wciskać we wszystkie pory ciała. Wokół unosiła się śmierć.

Asgalt ściągnął lejce koniowi.

— Czas się uzbroić. Wszędzie roi się od Shangów, więc lepiej dobrze się rozglądajmy.

Szybko wyjęli z juków i założyli kolczugi oraz stalowe hełmy, po czym zawiesili swoje tarcze na plecach. Włócznie trzymali poziomo, tak aby nie sterczały nad głowami i nie zdradziły ich obecności. Książę przeciął uzdę jucznego kucyka i odesłał go silnym klepieniem w zad.

— Stąd mamy dwa dni jazdy. Później trzeba wspiąć się pod górę, przez most, i po wszystkim. Musimy tylko omijać Shangów.

Gdy zbliżyli się do skraju małej wioski, smród stał się jeszcze gorszy. Mijali śmierć w najbardziej groteskowej postaci, porozrzucane ciała zwrócone wzdętymi brzuchami ku słońcu. Obaj milczeli. Flan przejechał obok z ponurą obojętnością, lecz twarz Asgalta stała się nieruchoma jak kamień i nie pojawił się na niej żaden wyraz.

Gdy podjechali do szczytu małego pagórka, usłyszeli

dobiegające z drugiej strony odgłosy walki — wrzaski, przekleństwa i jęki agonii. Szybko ściągnęli wodze i zeskoczywszy z koni, niepostrzeżenie podczołgali się na grzbiet pagórka. Na ich oczach rozgrywał się ostatni akt dramatu. Jeden z mężczyzn bronił się jeszcze, niezręcznie opędzając się włócznią przed otaczającymi go wojownikami Shangu. U jego stóp leżała młoda dziewczyna, z przerażeniem patrząc na to szeroko otwartymi oczami. Jeden z Shangów niedbale odbił pchnięcie zadał cios i obrońca runął na ziemię. Krew z rozrąbanej arterii wysokim łukiem trysnęła w powietrze.

Shangowie otoczyli dziewczynę udając, że chcą ją chwycić i śmiejąc się z jej przerażenia.

Flan zaczął się podnosić, ale Asgalt przycisnął go do ziemi. Obrócił się do niego ze złością.

— Dlaczego? Przecież jest ich tylko pięciu i możemy ich zaskoczyć zanim się zorientują.

Asgalt wskazał na lewo. W oddali widać było duży oddział jeźdźców.

— Czuję to samo co ty, ale muszę się martwić o królestwo. Jeśli nas pochwyca, to mogą zawładnąć całą ziemią.

Krzyki dziewczyny sprawiły, że znów spojrzeli na pobojuwisko. Shangowie otoczyli ją kołem, poszturchując włóczniami.

Nagle Asgalt wstał i teraz jego wściekłość nie była udawana. Sięgnął ręką w dół i szarpnięciem postawił zdumionego Flana na nogi.

— Na jaja Kimwalta! W dniu, gdy nie będę w stanie zabić pięciu i prześcignąć stu, królestwo może się zawalić! Jedź, niech, to diabli! Złap dziewczynę i jedź.

Shangowie wciąż śmiali się i poszturchiwali dziewczynę, gdy

wpadli na nich dwaj jeźdźcy.

Pierwszy wojownik zginął nie wiedząc, czym jest ta dziwna, ostra rzecz, która nagle wyrosła mu z piersi. Drugi obrócił się, ujrzał blask i otoczyła go ciemność. Trzeci wrzasnął i odparował cios, lecz kant tarczy zmiażdżył mu kark. Czwarty zobaczył tylko siwowłosego demona, który pojawił się nagle i zabił trzech jego towarzyszy, gdy świsnął miecz i wbił mu się głęboko w bok. Zaskoczony, ujrzał jeszcze parę czarnych jak noc oczu, nim uszło z niego życie. Piątemu niemal się udało; zawrócił i pomknął galopem w kierunku widocznych w oddali jeźdźców. Chciał uratować życie, lecz Asgalt dopadł go także; jego miecz trafił dokładnie w miejsce, gdzie szyja styka się z barkiem.

Asgalt pochwyci shangaskiego wierzchowca i podprowadził go do Flana i dziewczyny.

— Wsiadaj i jedź z nami. Zauważyli nas — ruchem głowy wskazał na wzgórze — przetniemy je i jutro wrócimy na główny szlak.

Noc była zimna i Asgalt przeklął Shangów, wilgoć oraz małe ognisko. Jazda była druga i wyczerpująca, lecz jak na razie mieli przewagę nad pościgiem. Spojrzał na tych dwoje po drugiej stronie ogniska; dziewczyna dzieliła jeden płaszcz z Flaniem, który wyraźnie był z tego zadowolony.

Eithne była córką piekarza i odwiedzała właśnie swego wuja, gdy Shangowie zaatakowali wioskę. Uciekła z kilkoma innymi tylko po to, aby wpaść w ręce najeźdźców na otwartej przestrzeni. Zadygotała pod kocem, pytając Flana: — Czy sądzisz, że udało nam się uciec?

Flan wzruszył ramionami.

— Zapytaj księcia. Ja dopiero dziś pierwszy raz widziałem Shanga.

— Księcia... — szeroko otworzyła oczy ze zdumienia — wasza miłość...

Uczyła ruch, jakby zamierzała wstać.

— Siedź, dziewczyno. Jest za późno i za zimno na takie głupstwa — rzekł Asgalt grzejąc sobie dłonie nad małym ognikiem. — Nie, jedno co można powiedzieć o Shangach to to, że nigdy nie rezygnują. Dziwię się, że ten jeden próbował uciec. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby któryś stchórzył. Oni tam są. Obawiam się, że wiedzą dokąd zmierzamy.

Flan przycisnął dziewczynę do siebie i spytał: — Co to za przełęcz Jagai, ku której się kierujemy?

— To przełęcz w górach. Nikt nie wiedział o jej istnieniu, dopóki nie natrafiliśmy na nią ze starym Lyulfem. Shangowie nie mogą tamtędy przejść, ponieważ ich armia to konnica, a koni nie da się przeprowadzić tą drogą. My weszliśmy na szczyt i po drugiej stronie znaleźliśmy diabelnie głęboki wąwóz. Urwisko opada aż do samych stóp góry. Udało mi się tamtędy zejść.

W ten sposób wróciliśmy do Lyvane po rebelii. Później zbudowaliśmy most. Kiedy go przekroczymy, znajdziemy się w Jagai. Około trzy mile dalej jest strażnica, więc czeka nas krótki spacer i łatwa jazda do Zamku Jagai. Jeżeli Shangowie zorientują się dokąd zmierzamy, rzucą całą armię, żeby nas zatrzymać. Kiedy pokonamy przełęcz, zmobilizuje się naszą armię i atak Shangów załamię się.

Asgalt tęsknie spojrział na ognisko marząc, by było większe, po czym zgasił je.

— Teraz prześpijmy się nieco. Jutro czeka nas ciężki dzień.

Był zimny, jasny poranek i gdy Asgalt zbudził się, Flan i dziewczyna zdążyli już rozpalić ognisko. Księżę zdrętwiał i bolał go krzyż. — Przeklęty, źle ułożony koń! — mruczał pod nosem,

przeciągając się i próbując na powrót stać się mężczyzną, a nie kupą obolałych gnatów. Dotknęło go to, że wstali, zanim on się zbudził. Zazwyczaj budził się pierwszy i gotowy do działania. Jednak teraz czuł, że potrzeba mu więcej snu. Pochłaniając skąpy posiłek, był otępiały i półprzytomny. Dosiedli koni i rozpoczęli powolną, nużącą jazdę przez wzgórza.

Skalista wyżyna była poprzecinana rozpadlinami i parowami, pojechali wąwozem, który lekko opadał w dół, po czym znów się wznosił. Wolno wjeżdżali wyżej i wyżej. Minęli ostry przed sobą złowrogie zerwy gór.

Zatrzymali się, by dać odpocząć koniom. Podczas gdy wierzchowce poły się w górskim strumyku, książę obejrzał się za siebie.

— Flan, chodź zobacz. Nie mogę niczego dostrzec, ale może ty coś widzisz? Tam chyba coś się rusza?

Flan osłonił dłonią oczy.

— Shangowie. Duży oddział. Około stu ludzi.

— A więc wiedzą. Lepiej ruszajmy.

Tej nocy obozowali pod przewieszoną skałą. Ich zapasy, nie obliczone na trzy osoby, szybko się kurczyły. Przy koniu Shanga nie było sakwy z żywnością. Asgaltowi wydawało się, że dopiero co zasnął, gdy potrząsnęła nim Eithne.

— Wasza miłość, czas ruszyć. Shangowie jechali nocą.

Asgalt podniósł się szybko, ale jego ciało zaprotestowało. Ból przeszył mu plecy, a ramiona i łokcie zdawały się być zakute w żelazne okowy.

— Jak to? Skąd wiecie?

Flan powiedział spokojnie.

— Obudziłem się wcześniej i zawróciłem kawałek. Widziałem ich. Znacznie zmniejszyli dzielącą nas odległość.

Książę kiwnął głową.

— Zostawmy konie. Dalej będziemy się wspinać. Jeszcze jeden dzień, a następnego dnia rano przekroczymy most.

Flan zdjął kolczugę i tarczę, zostawiając sobie tylko włócznię i miecz. To samo zaproponował Asgaltowi, ale książę potrząsnął głową.

— Nie. Nosilem je przez dwadzieścia lat i chcę je mieć ze sobą, gdy złożą mnie do grobu.

Wspinaczka była powolna i męcząca. Asgalt spoglądał z zazdrością jak Flan, miarowo oddychając, bez trudu pnie się w górę. Asgaltowi wydawało się, że waży tonę, lecz uparcie odmawiał zdjęcia zbroi. Przeklinał wygodne życie i w duchu obiecywał sobie spędzać więcej czasu w polu, nie przyjmując do wiadomości, że wiek ma z tym coś wspólnego.

Teren stał się równiejszy i marsz łatwiejszy. Asgalt wskazał ręką.

— Tam jest strumień. Dobre miejsce, żeby chwilę odpocząć. Później czeka nas ciężka wspinaczka, ale będziemy mieli niezłe miejsce na nocleg. Rano pójdzie już łatwiej.

Na widok strumyka i małego stawu Eithne wydała okrzyk radości. Podbiegła i wskoczyła do wody. Flan i Asgalt uśmiechnęli się i Flan szybko poszedł w jej ślady. Asgalt zdjął zbroję i uwolniwszy się od jej ciężaru poczuł znaczną ulgę. Później i on wszedł do wody.

Jednak wiedząc, co ich czeka i kogo mają za plecami, nie zabawili długo. Asgalt przyniósł włócznię i oparłszy je o skałę rozwiesili na nich swoje ubrania. Zjedli resztę jedzenia, wypili trochę wody, po czym wolno zaczęli się ubierać. Właśnie skończyli, gdy Flan spojrział w górę i powiedział beznamiętnym głosem: — No, mają nas!

Asgalt powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem. Tam, obok jego zbroi, blokując drogę ucieczki, stali trzech shangascy wojownicy.

— Trzech, w pełnej zbroi, a my mamy tylko włócznie.

Rozejrzał się wokół, po drwiąco spoglądających nań nagich skałach. Obrócił się, wyrwał z za pasa nóż i niedbale rzucił go Eithne.

— Masz, dziewczyno, na wypadek, gdyby nam się nie powiodło.

Asgalt i Flan patrzyli ze stoickim spokojem, jak trzech Shangowie zwierają szereg i wolno ruszają na nich.

W pełnej zbroi, każdy z nich byłby równym przeciwnikiem dla tych trzech. W pełnej zbroi, mogliby zwyciężyć ich nawet w pojedynkę, lecz uzbrojeni tylko we włócznie i nie mając tarcz, mieli kiepskie widoki na przyszłość. Obaj byli zbyt doświadczonymi wojownikami, by się łudzić co do swoich szans.

Nagle Shangowie zatrzymali się i jeden z nich podniósł miecz.

— Stary człowieku! — wrzasnął. — Poznajesz mnie? Popatrz dobrze i długo, bo zamierzam zapewnić twoim martwym oczom lepszy widok z końca mojej lancy!

Asgalt prychnął i ryknął: — Ty gadzi pomioście! Chybiłem raz, ale teraz ci się nie uda! Potem rzekł cicho do Flana: — Znam tego psa. Kiedyś już potykaliśmy się, lecz mój koń poniósł, zanim zdążyłem go zabić. Później kobieta Spae przepowiedziała mu, że nie zginie z mojej ręki. Od tej pory miał nadzieję, że mnie spotka.

Ściszył głos i mówił pospiesznie: — Słuchaj, może mamy szansę. On jest pewien, że chcę go zabić własnoręcznie.

Zaatakujesz razem ze mną, ale zanim na nich wpadniemy, zostaniesz w tyle i pchniesz tego, który się odsłoni. Ja uderzę pierwszy. Jednak cokolwiek się zdarzy, miej oko na Artora, tego z czerwoną tarczą.

Obaj ścisnęli włócznie i ruszyli naprzód. Każdy w prawej dłoni dzierżył drzewce, mocno przytrzymując je przy biodrze, zaś lewą ręką trzymał je za grot. Przyspieszyli kroku, czujnie obserwując wrogów. Artor mruknął coś do swoich ludzi i Shangowie również zaczęli iść szybciej.

Nagle Asgalt zaczął biec i Flan poszedł w jego ślady, lecz w chwili gdy mieli już wpaść na wroga, został nieco w tyle. Asgalt, z włócznią skierowaną przed siebie, lecz ciągle zerkając w lewo, skoczył naprzód, okręcił się i pchnął prosto w twarz wojownika po prawej. Grot włóczni prześlizgnął się po krawędzi tarczy, przebił podniebienie i utkwił w kościach czaszki.

Wyszarpując włócznię, Asgalt ledwie zdążył uchylić się na czas i uniknąć morderczego pchnięcia mieczem. Straciwszy równowagę po chybionym ciosie, drugi przeciwnik potknął się. Asgalt złapał ręką jego tarczę, obrócił go i wbił mu włócznię w plecy. Książę podniósł włócznię i ujrzał wiszący nad nim miecz Artora, lecz nim ostrze zdążyło opaść, nadbiegający Flan z siłą popartą rozpędem przebił Shanga swoją włócznią. Grot wszedł Artorowi pod pachę i przeszył go na wylot razem z tarczą, którą Shang trzymał w drugiej ręce.

Artor zatoczył się z twarzą wykrzywioną bólem i zdumieniem. Spojrzał na Flana, i znów na Asgalta.

— Nie ty mnie zabiłeś — wymamrotał.

Mgła zasnęła mu oczy, runął na ziemię, zadrgał i znieruchomiał.

Reszta drogi była katorgą. Asgaltowi wydawało się, że zupełnie zapomniał, jak wielkiego wysiłku wymagało jej przejście. Dziękował losowi, że dziewczyna była krzepka, tak że tylko kilka razy musieli ją przenosić. Kiedy dotarli do skalnej półki, na której rozbili obóz, tylko duma powstrzymywała go przed osunięciem

się na ziemię. Shangowie mieli sakwy z żywnością, tak więc przynajmniej było teraz co jeść. Pożywienie było niewyszukane, ale wszyscy troje uznali, że nigdy nie jedli nic lepszego.

— Asgalcie, co nas czeka jutro?

— Krótka wspinaczka, a potem niezbyt trudny spacer. Kiedy dotrzemy do szczytu, będzie po wszystkim.

— Jak udało wam się wybudować ten most? — spytał Flan.

— Nie zbudowaliśmy go za pierwszym razem. Rosło tam drzewo, na nie zarzuciliśmy linę, po której przeszedłem na drugą stronę. Most zbudowaliśmy od drugiej strony. Zrobiliśmy to wtedy, gdy zbieraliśmy armię. To była doskonała kryjówka. Mogliśmy się w niej zaszyć i w dogodnej chwili spaść na wroga. Zbudowaliśmy ten most od tamtej strony, a sprytny stary Lyulf zaprojektował go tak, że z tej strony łatwo go zerwać. Po drugiej są fundamenty z kamienia.

Konwersacja wygasła, a na niebie zapaliły się gwiazdy, diamentowo jasne w chłodnym, czystym powietrzu. Asgalt oparł się o głaz i próbował zasnąć, ale tym razem sen nie przychodził. Patrzył na Eithne i Flana, słyszał ich cichy śmiech, widział jak spoglądają sobie w oczy. Uśmiechnął się do siebie i wspomniął inną dziewczynę, z włosami czarnymi jak noc, wargami jak korale i śmiejącymi się oczami. I inną noc, dawno temu, kiedy siedział obok niej i ich oczy spotkały się. Wciąż słyszał jej śmiech, widział jak się uśmiecha i czuł dotyk jej dłoni. Jak dziwili się ludzie, kiedy ją poślubił i uczynił księżną! Dobrze im się żyło. Wciąż czuł ból po jej utracie. To był ciężki cios, ale dała mu dwóch silnych synów oraz dwie piękne córki.

Usiadł i otrząsnął się z nagłej nostalgii.

— Flan. Dzieci, pozwólcie, że wam przerwę. Zdjął swój książęcy pierścień.

— Weź go. Byłoby głupotą z mojej strony udawać, że nie jestem śmiertelnie zmęczony, a wy dwoje możecie dotrzeć do strażnicy znacznie szybciej niż ja. Weźcie to, pokażcie strażnikowi, złapcie dwa szybkie konie i jeźdźcie do Zamku Jagai. Dajcie pierścień Olwenowi i niech roześle posłańców, by zwołali pospolite ruszenie. On będzie wiedział, co robić.

Flan wziął pierścień.

— Tak, i powiem mu, żeby przygotował powitanie dla swego pana, bohatera.

Asgalt zaśmiał się.

— Bohatera, bohatera... Do licha, niech przygotuje się na przyjęcie zmęczonego starca!

Kiedy to się skończy, Lyulf urządzi parady i widowiska. Teraz dajcie mi spać.

Jednak sen był krótki i tym razem Asgalt obudził się razem z Flanem i Eithne. Pospiesznie pochłonęli posiłek i rozpoczęli ostatnią część podróży.

Ostatni etap wspinaczki był trudny, lecz nie trwał długo. Gdy dotarli na szczyt jak planowali, wszyscy troje odwrócili się jednocześnie i spojrzeli za siebie, na przebyty szlak — zbroje Shangów błyszcząły w słońcu.

Z obrzydzeniem potrząsając głową, książę mruknął do siebie: — Jesteśmy do siebie podobni, Shangowie i ja, nigdy nie rezygnujemy i nigdy nie zapominamy.

Ostatnie metry, po twardym, równym gruncie, pokonali biegiem. Ostry zakręt, mały wzgórek i mieli przed sobą most. Był zawieszony nad przepaścią szerokości pięciu rosnących męzów, lecz w prawo i w lewo ciągnącą się jak okiem sięgnąć, a tak głęboką, że nie widać było jej dna.

Most był prostą, toporną konstrukcją: bez poręczy, jedynie z

dwoma linami przeciągniętymi po bokach dla bezpieczeństwa.

— Flan. Przetnij liny na tym końcu, a ja zajmę się drugim.

Asgalt klęknął i zajął się grubym powrozem. Zanim skończył, Flan zrobił już swoje i stał nad nim. Asgalt zdjął zbroję i zawiązał linę tak, by opasała go w talii i przechodziła między nogami. Kiedy skończył, zwrócił się do Flana i Eithne: — Wy dwoje idźcie naprzód. Ja mogę przeciąć most tej strony i przejść na dwóch pozostałych linach. Przygotowaliśmy to na wypadek, gdyby odcięto nam drogę. Mówiłem wam, że stary Lyulf był spryciarzem.

Flan potrząsnął głową.

— Daj mi to zrobić. Przetnę je szybciej niż ty.

— Nie. Pomagałem przy budowie mostu. Wiem, gdzie trzeba ciąć. Teraz przejdźcie przez most.

Asgalt przywiązał linę i opuścił się w dół, aż znalazł się przy podporach mostu. Rozkołysał linę i złapał za filar, po czym wcisnął się między pal i urwisko, obejmując nogami drewno.

Odchylił się. Był zmęczony i potrzebował kilku minut odpoczynku, ale nie było na to czasu.

Wyjął zza pasa topór i zaczął rąbać. Miał mało miejsca, a cięcie musiało być zrobione tuż przy ciele, więc nie mógł się dobrze zamierzyć. Uderzał toporem krótkimi, silnymi ciosami, za każdym razem wyszarpując ostrze. Ręka mu zdrętwiała, a przedramię zaczęło drżeć z wysiłku, ale nie ustawał. Wydawało mu się, że za każdym ciosem drzewo staje się twardsze, a topór bardziej tępy.

Powoli jednak cięcie poszerzało się i pogłębiało. Przestał rąbać, wepchnął topór za pas i rozmasował obolałą rękę.

Jeszcze parę uderzeń powinno wystarczyć — pomyślał. — Do licha, z przyjemnością znów położę się w łóżku, przy miłym,

ciepłym ogniu.

Ścisnął pal kolanami i zawierzając życie grubej linie wychylił się, po czym zaczął rąbać gwałtownymi uderzeniami, jakby drewniany filar był uosobieniem wroga.

Drewno trzasnęło i złamało się, a Asgalt odbił się nogą i zawisł na linie, zabezpieczając się przed pociągnięciem w dół. Most osunął się nieco, zatrzeszczał, ale nie spadł.

Nie zważając na ziejącą pod nim przepaść, książę zaklął z podziwu godnym żarem i zapalem. Wciąż przeklinając, wciągnął się po linie na górę, przywiązał sznur z drugiej strony i zaczął tę samą pracę przy drugim filarze.

Pot zalewał mu oczy i od nienaturalnej pozycji zaczął go boleć krzyż. Pracował wolniej i po każdym kilku uderzeniach przerywał, by ocenić głębokość cięcia i nabrać tchu. Most trzeszczał i osuwał się w miarę, jak podtrzymujący go pal stawał się cieńszy. Asgaltowi zdawało się, że minęły godziny zanim pale zaczęły się wyginać i łamać. Szybko ześlizgnął się ze słupa i zawisł na linie. Jeszcze raz uderzył toporem. Ostrze wbiło się, drewno trzasnęło i most osunął się niżej, wyrrywając stylisko z ręki Asgalta. Później cała konstrukcja wraz z toporem runęła koziółkując w przepaść.

Asgalt patrzył na malejące w dole resztki.

Hmm — pomyślał — można by umrzeć z głodu, zanim doleci się do dna.

Znów wciągnął się po linie, tym razem jeszcze wolniej. Powitały go wesołe okrzyki i po drugiej stronie ujrzął machających do niego Flana i Eithne.

— Dobra robota, wasza wysokość! Dobra robota!

Asgalt pomachał im ze znużeniem. Bolały go wszystkie kości. Nie był w stanie opanować drżenia rąk, a kolana uginały się pod

nim, z trudem utrzymując ciężar ciała. Usiadł ciężko, czując ogromne zmęczenie i ledwie widząc na oczy. Jego dłoń bezcelowo zacisnęła się na rękojeści miecza; spojrzął na leżącą u jego stóp kolczugę, tarczę i hełm. Podniósł się z wysiłkiem i wrócił kawałek ścieżką. Daleko w dole widział pierwszych Shangów mijających zakręt, idących ostrożnie, oczekujących za każdym załomem zasadzki.

— Jest jeszcze czas — mruknął po nosem.

Wrócił i podniósł kolczugę, założył ją i zapiął na biodrach pas z mieczem. Uspokoił się, czując znajomy ciężar starego przyjaciela. Znowu usiadł na głazie, ignorując ponaglające okrzyki Flana i Eithne.

Zachichotał.

— Mieli rację, starzeję się. Stary Lyulf miał rację, to przychodzi zanim się zorientujesz i niebawem jest ci już wszystko jedno.

Spojrzął na drugą stronę wąwozu, na Flana i Eithne. I ich młode postacie przywiodły łańcuch wspomnień i całe życie przesunęło mu się przed oczami. Przypomniawszy sobie włóczęgi bez celu i stoczone bitwy; znowu stał na murach Zamku Glaun z Colwenem u boku, odpierając atak za atakiem, aż nieprzyjaciel wycofał się w popłochu, nie będąc w stanie przełamać ich obrony. Znowu wędrował, strzegąc życia króla i młodego księcia. Wspominał ostatnią szarżę w bitwie o tron. Wrogowie padali pod jego ciosami, aż dotarł do sztandaru, powalił chorążego i jednym ciosem przeciął hełm, głowę i pierś Morgauna.

Nagle uświadomił sobie, że miał dobre życie, że wiele osiągnął, i że teraz walka już się skończyła. Pozostało mu tylko przejść po linach na drugą stronę. Będą parady, uczyty, a nawet turnieje — wszystko na jego cześć. A kiedy to się skończy, będzie wiódł spokojne życie do końca swoich dni. Stanie się stary i nieco gruby

i wciąż będą nań spadać zaszczyty. Królestwo było bezpieczne: żadnych nowych zagrożeń, żadnych nowych bitew.

Pomyślał o tym, jak miło byłoby spać w miękkim łóżku, wziąć do łóżka jakąś miłą pokojóweczkę... Tak, życie byłoby piękne, aż zasnęłyby w tym miękkim łożu na zawsze.

Książę Jagai wstał i ze znużeniem sięgnął po tarczę i hełm — stary człowiek, o siwych, błyszczących w słońcu włosach, niewyobrażalnie zmęczony.

Miecz błysnął krótkim, zdecydowanym łukiem i przecięta lina wijąc się poleciała w dół.

Lata i zmęczenie zdawały się z niego opadać, gdy zakładał hełm i przypinał tarczę do ramienia. Wyprostował się, wysoki i silny, a jego oczy rozbłysły piekielnym blaskiem.

Równym, miarowym krokiem, Asgalt, Książę Jagai pomaszerował w dół na spotkanie Shangów.

przełożył: Zbigniew A. Królicki

Robert E. Howard

CONAN ZA CZARNĄ RZEKĄ

..1..

CONAN TRACI TOPÓR

W lesie panowała tak głęboka cisza, że nawet stąpania miętko obutych stóp zdawały się rozchodzić aż po jego krańce. A przynajmniej tak wydawało się wędrowcowi podążającemu z ostrożnością cechującą każdego człowieka, który odważył się przekroczyć Rzekę Gromu. Był to młody mężczyzna średniego wzrostu, o otwartej twarzy i zmierzwionej, płowej czuprynie.

Nie nosił hełmu ani czapki, a jego strój nie wyróżniał się niczym szczególnym; zgrzebna przewiązana w pasie tunika, skórzane bryczesy i miękkie, sięgające kolan buty. Zza cholewy jednego z nich sterczała rękojeść noża, a przy szerokim pasie wisiał krótki, ciężki miecz i sakwa z kozłej skóry. Podróżny wpatrywał się bacznie w ciągnące się po obu stronach szlaku zielone ściany lasu, lecz nie zdradzał niepokoju. Mimo niewysokiego wzrostu miał potężne bary, a szerokie rękawy jego tuniki odsłaniały nagie ramiona poznaczone grubymi węzłami mięśni.

Dotychczas nic nie powstrzymało go w marszu, chociaż ostatnia osada pozostała o wiele mil za nim, a każdy krok przybliżał go do niebezpieczeństwa, które jak ponury cień zawisło nad prastarym lasem.

Nie robił aż tak wiele hałasu jak mu się wydawało, ale dobrze wiedział, że nawet cichy trzask łamanej gałązki może zaalarmować nieprzyjaciół kryjących się gdzieś w zdradliwej, zielonej gęstwinie. Jego swobodne zachowanie było tylko pozą; nawet na chwilę nie zaprzestawał wypatrywać i nasłuchiwać ewentualnego zagrożenia. Czujnie wsłuchiwał się w najlżejsze szmery dochodzące z głębi lasu, zdając sobie sprawę, że nie zdoła przebić wzrokiem gęstej plątaniny liści.

Nagle, bardziej kierując się instynktem niż ostrzeżeniem swoich zmysłów, chwycił za rękojeść wiszącego u boku miecza. Stanął jak wryty na środku ścieżki, wstrzymując oddech i zastanawiając się czy rzeczywiście coś usłyszał, czy też tylko coś mu się przywidziało. Wokół panowała absolutna cisza. Nawet ptak nie zaćwierkał w gęstwinie. Spojrzenie wędrowca zatrzymało się na kępie krzaków rosnących kilka jardów dalej. Nie było wiatru, a jednak dostrzegł lekko poruszające się liście. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Przez moment stał bez ruchu, pewien, że śmierć dopadnie go zanim zdąży zrobić następny krok.

Wtem, za zasłoną listowia rozległ się suchy chrzęst i łomot. Krzaki zatrzęsyły się gwałtownie. Wyleciała z nich wypuszczona na oślep strzała i ze świstem wpadła gdzieś między drzewa. Wędrowiec dostrzegł ją kątem oka, uskakując pod osłonę grubego pnia.

Chowając się za nim i ściskając w drżącej dłoni obnażony miecz ujrzał wyłaniającą się z zarośli ogromną postać. Wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. Nieznajomy miał na sobie takie same jak on buty i bryczesy, chociaż te ostatnie były z jedwabiu, nie ze skóry. Zamiast tuniki był odziany w pozbawioną rękawów kolczugę, a grzywę czarnych włosów osłonił ciężkim hełmem.

Właśnie ten hełm przykuł uwagę wędrowca; zamiast pióropusza zdobiła go para bawolich rogów. Niewątpliwie nie wykuły go ręce cywilizowanego człowieka. Bo też i twarz pod okapem hełmu nie była twarzą cywilizowanego mieszkańca nizin: smągła, poznaczona bliznami, z parą płonących, niebieskich oczu, stanowiła oblicze nieprzeniknione i groźne jak rozciągający się wokół dziewiczy las. Obcy wyszedł na ścieżkę, trzymając w prawej ręce szeroki, okrwawiony miecz.

— Wyjdź! — zawołał, z obcym akcentem. — Jesteś bezpieczny. To tylko jeden z tych psów! Wychodź.

Wędrowiec niepewnie wynurzył się z lasu i wbił wzrok w nieznajomego. Czuł się dziwnie bezradny i śmieszny, patrząc na tę gigantyczną postać — potężną, opiętą kolczugą pierś i muskularne, zbrązowiałe od słońca ramiona. Olbrzym poruszał się zwinnie i bezszelestnie jak pantera; nie ulegało wątpliwości, że nie był wytworem cywilizowanego świata czy choćby takiej jego namiastki, jaką stanowiły rejony pogranicza. Odwrócił się zwinnie i rozchylił krzaki.

Wciąż jeszcze zdezorientowany podróżny podszedł do zarośli i spojrzał. W gęstwinie leżał niski, ciemnoskóry człowiek, odziany jedynie w przepaskę biodrową, mosiężną bransoletę i naszyjnik z ludzkich zębów. Jego głowę pokrywały czarne, długie włosy; spryskane teraz szybko krzepnącą krwią. W jednej ręce trup wciąż ścisnął ciężki, krótki łuk.

— O bogowie, to Pikt! — wykrzyknął wędrowiec. Para niebieskich oczu zmierzyła go spojrzeniem.

— Dziwi cię to?

— No, mówiono mi w Velitrium, a później w chatkach osadników, że te diabły czasem przekradają się przez granicę, ale nie spodziewałem się, że spotkam jednego z nich aż tutaj.

— Jesteśmy tylko cztery mile na wschód od Czarnej Rzeki poinformował go nieznajomy — a oni zapuszczają się nawet na przedpola Velitrium. Żaden z osadników, mieszkających pomiędzy Rzeką Gromu a Fortem Tuscelan nie jest naprawdę bezpieczny. Dziś rano zauważyłem ślady tego psa trzy mile na południe od Fortu i podążałem za nim aż tu.

Podszedłem go gdy wymierzył w ciebie strzałę. Jeszcze chwila, a zakończyłbyś swoją wędrówkę. Na szczęście byłem szybszy.

Wędrowiec patrzył szeroko otwartymi ze zdziwienia oczyma na swojego rozmówcę, pojmując z trudem, że ten olbrzym nie tylko zdołał wytropić, ale także zaskoczyć i zabić jednego z leśnych diabłów. Dowodziło to głębokiej znajomości lasu i mistrzostwa w tropieniu, niespotykanego nawet wśród mieszkańców Conajohary.

— Należysz do załogi fortu? — spytał po chwili.

— Nie jestem żołnierzem. Otrzymuję żołd i racje żywnościowe oficera liniowego, ale działam w lesie. Vallanus wie, że większy ze mnie pożytek tutaj niż za murami fortu.

To mówiąc, obojętnie wepchnął ciało zabitego w zarośla, przykrył je gałęziami i wrócił na ścieżkę.

— Mnie zwą Balthus — rzekł wędrowiec. — Ostatnią noc spędziłem w Velitrium. Chcę się tu rozejrzeć i zdecydować, czy wziąć kawałek ziemi, czy też zaciągnąć się na służbę w forcie.

Ruszyli razem dalej.

— Najlepsze ziemie w pobliżu Rzeki Gromu są już zajęte — mruknął olbrzym. — Między Strumieniem Skalpów, które minąłeś kilka mil wcześniej, a fortem jest mnóstwo wspaniałej ziemi, ale to zbyt blisko tej przeklętej rzeki. Piktowie często przeprawiają się przez nią aby palić i mordować — tak jak ten wojownik, którego zabiłem. Jednak nie zawsze wyprawiają się w

pojedynek. Pewnego dnia spróbują przepędzić osadników z Conajohary — i może im się to udać. Nawet na pewno im się uda. Kolonizowanie tych ziem to szaleństwo. Na wschodzie Bossonii leży dużo dobrej ziemi. Gdyby Aquilończycy okroili choć trochę majątki swych baronów i zasiali zboże tam, gdzie teraz tylko poluje się na jelenie, to nie musieliby przekraczać granicy i zabierać ziemię Piktom.

— Dziwnie mówisz, jak na człowieka w służbie namiestnika Conajohary — zauważył

Balthus.

— Mało mnie to obchodzi — odparował nieznajomy. — Jestem żołnierzem. Oddaję swój miecz na usługi temu, kto najlepiej płaci. Nigdy nie uprawiałem roli i nie mam zamiaru, dopóki nie zabraknie żniwa dla mojego ostrza. Jednak wy, Hyborianie, podbiliście już dosyć ziem — więcej nie zdołacie. Przekroczyliście stepy, spaliliście parę wiosek, wyrznęliście kilka szczepów i przesunęliście granicę aż do Czarnej Rzeki, ale wątpię czy zdołacie choćby utrzymać to co zdobyliście — nie mówiąc już o dalszych podbojach. Wasz zidiociały król nie zna sytuacji. Nie przyśle wam żadnych posiłków, a osadników jest za mało by odeprzeć zmasowany atak zza rzeki.

— Przecież Piktowie są podzieleni na małe plemiona — spierał się Balthus. — I nigdy nie łączą swoich sił. A my możemy pokonać wszystkich po kolei.

— Owszem — zgodził się olbrzym. — nawet połączone siły trzech czy czterech plemion.

Jednak pewnego dnia zjednoczy się ich trzydzieści lub czterdzieści, tak jak się to stało przed laty w Cymmerii, gdy Gundermanowie przekroczyli pomocną granicę. Próbowali skolonizować tamtejsze ziemie: zniszczyli kilka małych klanów i

wznieśli ufortyfikowane miasto Venarium. Chyba o tym słyszałeś?

— Słyszałem — odrzekł Balthus, krzywiąc się. Ta pamiętna klęska stanowiła czarną plamę w dziejach wojowniczego ludu Gunderlandu. — Mój stryj był w Venarium, kiedy Cymmerianie wdarli się na mury. Uszedł z życiem jako jeden z nielicznych. Opowiadał mi o tym wiele razy. Barbarzyńcy spadli z wyżyn jak hordy szaleńców i bez ostrzeżenia zaatakowali miasto z taką furją, że nic nie zdołało ich powstrzymać. Wymordowali wszystkich — mężczyzn, kobiety, dzieci — a Venarium obrócili w stertę gruzów.

Aquilończycy zostali odepchnięci na południe i już nigdy nie ponowili prób podboju Cymmerii. Ale skąd tak dobrze znasz tę historię? Może byłeś w Venarium?

— Byłem — mruknął zapytany. — Szturmowałem mury jako jeden z owych barbarzyńców. Nie miałem wtedy jeszcze nawet piętnastu wiosen, lecz moje imię było już sławne.

Balthus odsunął się mimowolnie i wybałuszył oczy. Wydało mu się nieprawdopodobne aby ten spokojnie idący obok niego mężczyzna mógł należeć do zgrai wrzeszczących, żądnych krwi diabłów, którzy tamtego pamiętnego dnia wdarli się na mury Venarium siejąc śmierć i zniszczenie.

— A więc ty też jesteś barbarzyńcą! — wykrzyknął. Nieznajomy obojętnie skinął głową.

— Jestem Conan z Cymmerii.

— Słyszałem o tobie — w głosie Balthusa dało się słyszeć prawdziwe zaciekawienie. Nic dziwnego, że Pikt tak łatwo stał się ofiarą Conana. Cymmerianie byli barbarzyńcami równie okrutnymi jak Piktowie, ale o wiele bardziej inteligentnymi. Conan najwidoczniej spędził wiele czasu wśród cywilizowanych

ludzi, jednak ta styczność nie przytępiła jego pierwotnych instynktów. Uznanie Balthusa przerodziło się w podziw. Zauważył bezszelestny, koci chód towarzysza. Naoliwiona kolczuga Cymmerianina nie wydawała najcichszego brzęku i Balthus pojął, że Conan może prześlizgnąć się przez gęste chaszczę równie bezszelestnie jak każdy nagi Pikt.

— A ty, nie jesteś Gundermanem?

Balthus potrząsnął głową.

— Pochodzę z Tauranu.

— Spotkałem kilku dobrych wojowników z twego kraju, ale to nieliczne wyjątki.

Bossonianie zbyt długo chronili was, Aquilończyków, przed barbarzyńcami. Przydałoby się wam trochę zaprawy.

Conan mówił prawdę. Pograniczne, ufortyfikowane wioski Bossonii, zamieszkałe przez wprawnych łuczników, od dawien dawna były dla Aquilonii strefą buforową. Teraz, wśród osadników znad Rzeki Gromu, wyrastało nowe pokolenie wojowników obeznanych z leśną głuszą, lecz było ich wciąż zbyt mało aby mogli podjąć walkę z Piktami. Większość mieszkańców pogranicza wolała uprawiać rolę niż ćwiczyć się w wojennym rzemiośle.

Słońce jeszcze nie zaszło, ale zniknęło już za gęstą ścianą lasu. Dwaj towarzysze wędrowali dalej wśród gęstniejącego mroku i wydłużających się cieni.

— Zanim dotrzemy do fortu będzie już całkiem ciemno — stwierdził Conan i dodał po chwili. — Słuchaj!

Zatrzymał się w pół kroku i — lekko pochylony — zastygł w pozie człowieka spodziewającego się niebezpieczeństwa, gotowy do walki lub ucieczki. Balthus też to usłyszał

— przeraźliwy wrzask, który urwał się na najwyższej nucie.

Tak mógł krzyczeć jedynie śmiertelnie przerażony lub konający człowiek.

Conan nie namyślając się wiele pomknął ścieżką, z każdym susem powiększając odległość dzielącą go od usiłującego dotrzymać mu kroku kompana. Balthus zaklął. Wśród taurańskich osadników uważano go za dobrego biegacza, ale barbarzyńca z rozwścieczającą łatwością zostawił go w tyle. W następnej chwili Taurańczyk zapomniawszy o rozdrażnieniu, bo uszy rozdarł mu najstraszliwszy ryk jaki słyszał w życiu. Nieludzki, demoniczny wrzask ohydneho tryumfu zdawał się drwić z całej ludzkości i gromkim echem odbijać w niezgłębionych, mrocznych zakamarkach puszczy..

Balthus zwolnił kroku i na czole pojawiły mu się lepkie krople potu. Jednak Conan nie zawahał się. Mknąc jak strzała wypuszczona z łuku zniknął za zakrętem ścieżki. Obawiając się zostać sam na sam z dzikim wrzaskiem rozbrzmiewającym echemi wśród drzew, Balthus wyteżył wszystkie siły i szybko pobiegł za nim. Po kilku krokach prawie wpadł na Cymmerianina stojącego nad człowiekiem leżącym w kałuży krwi. Ślizgając się i wymachując rękami Balthus zdołał się zatrzymać przy Conanie, który nie zwracał uwagi ani na niego, ani na leżącego u jego stóp trupa. Płonącymi oczyma wpatrywał się bacznie w leśną gęstwinę po obu stronach szlaku.

Balthus zmęł w zębach przekleństwo. Na ścieżce leżało ciało niskiego, grubego mężczyzny ubranego w pozłacane buty i (pomimo upału) podbitą gronostajami tunikę bogatego kupca. Tłusta, blada twarz zastygła w grymasie przerażenia, a długa ciągnąca się od ucha do ucha rana była tak równa jakby zadano ją brzytwą. Krótki miecz tkwiący w pochwie zdawał się wskazywać, że ofiara została napadnięta niespodziewanie.

— Pikt? — szepnął Balthus wodząc spojrzeniem po ciemnej ścianie lasu.

Conan potrząsnął przecząco głową i zmarszczył brwi, spojrzał na ciało zabitego.

— Leśny diabeł. Na Croma, to już piąty!

— Co takiego?

— Czy słyszałeś kiedyś o piktyjskim czarowniku zwanym Zogar Sag?

Balthus pokręcił głową.

— Mieszka w Gwawela, najbliższej wiosce po drugiej stronie rzeki. Trzy miesiące temu ukrył się przy tej drodze i ukradł kilka jucznych mułów z karawany zdążającej do fortu — uśpiwszy w jakiś sposób przewodników. Muły należały do tego człowieka — Conan obojętnie wskazał nogą trupa. — To Tiberias, kupiec z Velitrium. Muły przenosiły beczułki z piwem i stary Zogar zatrzymał się przed brodem by łyknąć sobie przed przeprawą. Wyśledził go drwal imieniem Soractus i sprowadził Vallanusa z trzema żołnierzami na kark staremu, który leżał w chaszczach pijany jak świnia. Vallanus, ulegając prośbom Tiberiasa, zamknął czarownika w celi, co jest najgorszą zniewagą dla Pikta. Staremu udało się zabić strażnika i uciec. Wróciwszy do swojej wioski poprzysiągł, że pozbawi życia Tiberiasa i czterech pozostałych, którzy go pojмали w taki sposób, że Aquilończykom na zawsze odechce się przekraczać granicę. Soractus i żołnierze już nie żyją. Soractus zginął nad rzeką, a żołnierze niedaleko fortu. Teraz przyszła kolej na Tiberiasa. Nie pozabijali ich Piktowie. Każdej ofierze — z wyjątkiem Tiberiasa, jak widzisz — odrabano głowę, która teraz niewątpliwie zdobi ołtarz bóstwa czczonego przez Zogar Saga.

— Skąd wiesz, że to nie Piktowie ich zabili? — dopytywał się

Balthus.

Conan wskazał na rozcięte gardło kupca.

— Sądysz, że przecięto je nożem lub sztyletem? Przyjrzyj się dobrze, a przekonasz się, że ciało jest rozerwane, a nie przecięte. Tylko pazury zostawiają taki ślad.

— Może to pantera... — zaczął bez przekonania Balthus. Conan niecierpliwie potrząsnął głową.

— Tauraricznyk powinien rozpoznawać ślady pantery. Nie. To leśny diabeł przyzwany przez Zogar Saga by pomógł mu w zemście. Tiberias był głupcem wyruszając z Velitrium samotnie i to przed zmierzchem. Jednak każdą z tych czterech ofiar ogarnęło na krótko przed śmiercią jakieś dziwne szaleństwo. Spójrz tutaj; ślady są zupełnie wyraźne. Tiberias podążał szlakiem na swoim mule, być może z nowym transportem skór do Velitrium, gdy coś skoczyło na niego z krzaków. Widzisz te połamane gałęzie? Tiberias zdążył tylko krzyknąć i z rozerwanym gardłem poszedł sprzedawać swoje skóry w Piekło. Muł uciekł w las. Posłuchaj! Jeszcze słyhać jak przedziera się przez gąszcz. Demon nie miał czasu by zabrać głowę Tiberiasa; wystraszyliśmy go.

— To ty go wystraszyłeś — poprawił go Balthus. — Nie jest to chyba zbyt groźne stworzenie, skoro umyka przed jednym uzbrojonym człowiekiem. Skąd jednak wiesz, że nie był to Pikt z jakimś hakiem rozrywającym, a nie rozcinającym ciało? Przecież nie widziałeś jak się to stało?

— Tiberias też był uzbrojony — mruknął Conan. — Jeżeli Zogar Sag mógł wezwać na pomoc demony, to mógł im też powiedzieć kogo mają zabić, a kogo zostawić w spokoju. Nie, nie widziałem jak to się stało. Widziałem tylko kołyszące się gałęzie. Jeśli jednak żądasz dowodu, to spójrz tutaj!

Zabójca wdepnął w kałużę krwi otaczającej martwe ciało kupca i zostawił krwawy ślad na twardej glinie ścieżki.

— Wciąż uważasz, że uczynił to człowiek? — zapytał Conan. Balthus poczuł jak włos mu się jeży na głowie, ani człowiek, ani żadne ze znanych zwierząt nie mogło pozostawić tak dziwnego — ni to ptasiego, ni to gadziego — śladu. Taurariczyk pochylił się nisko i dotknął ręką tropu, starając się go nie zatrzeć. Zaklął cicho, widząc, że ślad jest większy niż jego dwie dłonie.

— Co to jest? — szepnął. — Nigdy nie widziałem zwierzęcia, które zostawiałoby takie ślady.

— Niewielu go widziało — odparł ponuro Conan. — To diabeł błotny. Za Czarną Rzeką jest ich więcej niż nietoperzy. W parne noce, gdy powieje wiatr z południa, słychać ich upiorne wycie — niczym jęki potępionych.

— Co teraz zrobimy? — spytał Aquiloóczyk, zerkając niepewnie na otaczające ich czarne cienie. Zastygły na twarzy zabitego kupca strach udzielił się i jemu. Usiłował wyobrazić sobie jaką to potworną maskarę ujrzał ów nieszczęśnik przed śmiercią.

— Nie ma sensu ścigać diabła — mruknął Conan wyjmując z sakwy toporek. — Próbowałem go tropić kiedy zamordował Soractusa, lecz już po kilku krokach straciłem go z oczu. Może rozpostarł skrzydła i poleciał za rzekę, a może zapadł się pod ziemię, wprost do Piekieł. Nie wiem. Muła też nie będziemy łapać. Na pewno sam trafi do fortu lub do chaty któregoś osadnika. , To mówiąc, Conan zabrał się do pracy. Kilkoma uderzeniami toporka ściął dwa młode drzewka, ociosał je z gałęzi i zerwał pędy winorośli oplątujące pobliski krzak. Po chwili miał już toporne lecz mocne nosze.

— Ten demon nie dostanie głowy Tiberiasa — warknął. —

Zaniesiemy ciało do fortu. To nie więcej niż trzy mile stąd. Nigdy nie lubiłem tego grubego durnia, ale nie możemy pozwolić żeby ci przekłęci Piktowie poczynali sobie tak swobodnie z głowami białych ludzi.

Smagłokórzy Piktowie należeli wprawdzie do białej rasy, ale pogranicznicy uparcie temu zaprzeczali.

Balthus chwycił nosze, na które Conan bezceremonialnie rzucił zwłoki nieszczęsnego kupca, i najspieszniej jak mogli ruszyli szlakiem. Mimo obciążenia Cymmerianin poruszał się z taką samą kocią zwinnością jak przedtem. Zdjął kupcowi pas, zrobił pętlę i połączywszy nią końce żerdzi niósł nosze w jednej ręce. W drugiej natomiast ścisnął swój długi, ciężki miecz.

Idąc, przez cały czas lustrował badawczym spojrzeniem tonące w mroku pobocza ścieżki, wypatrując niebezpieczeństwa. Ciemności zapadały szybko. Gęstniejące cienie pogłębiały mrok, kryjąc wszystko w niebieskawej mgiele.

Przeszli ponad milę. Balthus, mimo swej wytrzymałości i siły, zaczął już odczuwać ból w ramionach, gdy przeraźliwy krzyk wstrząsnął pogrążającym się w różowej łunie zachodu lasem.

Conan drgnął, a Balthus niemal upuścił nosze.

— Kobieta! — wykrzyknął Taurańczyk. — Na Mitrę! To głos kobiety! .

— Z pewnością żona któregoś z osadników zabłąkała się w lesie — warknął Conan stawiając nosze na ziemi. — Może szukała krowy i... Zostań tutaj!

Jak wygłodniały wilk, Cymmerianin skoczył w gęstwinę. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie.

— Mam zostać tu z trupem i krążącym wokół demonem? — jęknął. — Idę z tobą!

I zamieniając słowa w czyn, skoczył za barbarzyńcą. Conan

obejrzał się , ale nic nie powiedział i nie zwolnił kroku. Balthus klął cicho resztkami tchu, widząc z jaką łatwością Conan zostawia go w tyle i znika wśród drzew. Wypadł na małą polanę i ujrzał stojącego tam Cymmerianina.

— Dlaczego się zatrzymałeś? — spytał Balthus, ocierając pot z czoła i nie wypuszczając miecza z ręki.

— Krzyk dochodził z tej polany, albo z jej pobliża — odparł zapytany. — Nie myślę kierunków, nawet w lesie. Tylko gdzie...

Przerwał mu ten sam krzyk; ale tym razem rozlegający się za nimi, gdzieś w tyle. Wrzask śmiertelnie przerażonej kobiety, piskliwy i przeszywający, wzniósł się wysoką nutą — by zmienić się w jękliwy, drwiący chichot, który mógł się wydobyć tylko z gardła jakiejś piekielnej bestii.

— O Mitro! — w zapadającym mroku twarz Balthusa była biała jak kreda.

Klnąc wściekle, Conan zawrócił i pomknął z powrotem, a słaniający się już lekko Balthus poszedł w jego ślady. Cymmerianin zatrzymał się tak nagle, że Aquilończyk wpadł na niego, odbijając się jak od ściany. Lekko zamroczony, usłyszał jak Conan z sykiem wciąga powietrze przez zaciśnięte zęby. Cymmerianin stał nieruchomo jak posąg.

Zerknąwszy zza jego pleców, Balthus poczuł jak zimne palce strachu ściskają mu gardło.

Coś przedzierało się przez krzaki porastające pobocza szlaku — coś, co wydawało się pełzać jak wąż, ale nie było gadem. W ciemnościach nie mógł wprawdzie rozróżnić dobrze kształtów stwora ale dostrzegł, że był wyższy od dorosłego mężczyzny i niezbyt gruby. Jego ciało jarzyło się upiornym blaskiem, przypominającym lśnienie księżycowej poświaty. W rzeczy samej, upiorne światło było jedyną uchwytną cechą stwora.

Pozostałe szczegóły były zupełnie nierozróżnialne, tak, jakby to jakiś niebieskawy płomień o ludzkim kształcie podążał przez ciemne ostępy.

Conan zaklął i z potworną siłą cisnął toporem, lecz stwór posuwał się dalej nie zmieniając nawet kierunku. Widzieli go jeszcze przez krótką chwilę — świecącą, niewyraźną plamę unoszącą się wśród gałęzi — po czym zniknął im z oczu w gęstych zaroślach. Las zastygł w oniemiałej ciszy.

Conan przedarł się przez gąszcz i wyskoczył na ścieżkę. Balthus poszedł za jego przykładem. Stanęli przy noszach, na których leżało ciało Tiberiasa. Głowa kupca zniknęła...

— Wyprowadził nas w pole tym przeklętym miauczeniem — wrzasnął rozwścieczony Conan wymachując swym potężnym mieczem jak piórkami. — Powinienem się domyślić!

Powinienem wiedzieć, że to podstęp! Teraz już pięć głów przyozdobi ołtarz Zogar Saga.

— Cóż to za stwór, który potrafi krzyczeć jak kobieta i śmiać się jak demon? I jarzyć się nieziemskim światłem? — zastanawiał się Balthus, ocierając pot z pobladłej twarzy.

— Diabeł błotny — odparł kwaśno Cymmerianin. — Łap za nosze, zanieśmy ciało do fortu. Teraz jest już trochę lepsze.

Po tym filozoficznym stwierdzeniu chwycił pętlę, dźwignął nosze i ruszył w drogę.

..2..

CZAROWNIK Z GWAWELA

Fort Tuscelan wznosił się na wschodnim brzegu Czarnej Rzeki, której fale omywały jego palisadę. Ta ostatnia była zbudowana z grubo ciosanych pni drzew, tak jak wszystkie budowle fortu łącznie z górującym nad nim donżonem, w którym mieściły się kwatery gubernatora. Za rzeką rozciągał się gęsty jak dżungla las dochodzący do samego brzegu. Dzień i noc zbrojne straże pilnowały fortu, bacznie obserwując zieloną ścianę puszczy. Czasem widzieli pojedyncze sylwetki, ale dobrze wiedzieli, że są nieustannie śledzeni przez ukrytych w gąszczu, bezlitosnych nieprzyjaciół. Las za rzeką wydawał się pusty i wymarły, lecz były to tylko pozory. Oprócz ptaków, gadów i zwierząt kryły się tam też najniebezpieczniejsze z drapieżników — ludzie.

Za rzeką kończył się cywilizowany świat. Fort Tuscelan był ostatnim przyczółkiem cywilizacji, najdalej na zachód wysuniętym punktem hyboriańskich dominiów. Za rzeką barbarzyństwo królowało pod cienistym sklepieniem drzew, w chatach z oblepionych błotem gałęzi, gdzie wisiały szczerzące zęby czaszki, huczały bębny i płonęły ognie, a ciemnoskórzy ludzie o zmierzwionych włosach i bezlitosnych oczach ostrzyli swoje włócznie. Ich spojrzenia często kierowały się na fort po drugiej stronie rzeki. Niegdyś wznosili swoje chaty tam, gdzie teraz stał fort, tak, i wznosili je też tam gdzie teraz rozpościerały się pola uprawne jasnowłosych osadników, aż za Velitrium — tym nędznym, pogranicznym miastem nad Rzeką Gromu — i dalej, po granice Bossonii. Później przybyli kupcy, a za nimi bosonodzy kapłani Mitry, którzy przyszli z pustymi rękami i prawie wszyscy zginęli straszną śmiercią — ale za nimi ciągnęli

żołnierze oraz ludzie z toporami w dłoniach i ich rodziny w ciągniętych przez muły wozach. Masakrowani Piktowie wycofali się za Rzekę Gromu a potem aż za Czarną Rzekę, opuszczając swoje ziemie. Jednak nigdy nie zapomnieli, że Conajohara niegdyś należała do nich. Strażnik przy wschodniej bramie głośno okrzyknął nadchodzących. Przez drewnianą kratę okienka sączyło się migotliwe światło pochodni, odbijając się w stalowym hełmie i podejrzliwych oczach pod jego okapem.

— Otwieraj bramę — warknął Conan. — Chyba widzisz, że to ja?

Dyscyplina wojskowa doprowadzała go do szału.

Brama uchyliła się nieco i obaj kompani przeszli przez nią, dźwigając nosze. Balthus zauważył, że po obu stronach bramy wznosiły się wieże, których wieżyczki górowały nad ostrokołem. Dostrzegł też wyciosane w nich strzelnice dla łuczników.

Strażnicy jęknęli ze zgrozy widząc ponure brzemie. Pośpiesznie zamknęli wrota.

— Nigdy nie widzieliście człowieka z odrąbaną głową? — spytał dociekliwie Conan.

W świetle pochodni ich twarze były białe jak kreda.

— To Tiberias — wykrztusił jeden z żołnierzy. — Poznaje po lamowanej futrem tunice.

Valerius jest mi winien pięć luna. Wrony krakały, gdy wyjeżdżał dziś rano z fortu. Miał takie szkliste spojrzenie. Założyłem się, że wróci bez głowy.

Conan mruknął coś pod nosem, po czym gestem pokazał Balthusowi by postawił nosze na ziemi i razem z nim poszedł w kierunku kwatery gubernatora. Rozczochrany Aquilończyk towarzyszył mu jak cień; rozglądając się z ciekawością wokół, podziwiając rzędy baraków, stajnie, małe stragany kupców,

wysoki blokhauz i inne budynki otaczające mały plac, gdzie w dzień ćwiczili żołnierze, a teraz płonęły ogniska i leniuchowali mieszkańcy. Tłumek zgromadzony wokół zwłok kupca przy wschodniej bramie rósł z każdą chwilą. Smukli Aquilończycy mieszały się w nim z niższymi, bardziej krępyimi łucznikami z Bossonii.

Balthusa nie zdziwił specjalnie fakt, że gubernator przyjął ich osobiście. Autokratyczne społeczeństwo z jego sztywnymi podziałami kastowymi pozostało daleko na wschodzie.

Vallanus był młodym jeszcze mężczyzną o szlachetnych rysach, lecz na jego twarzy widać było już ślady pozostawione przez trudy i odpowiedzialność.

— Powiedziano mi, że opuściłeś fort przed świtem — powiedział do Conana. — Zacząłem się obawiać, że Piktowie dostali cię w końcu.

— Kiedy będą wędzić moją głowę — odparł Cymmerianin — dowie się o tym całe dorzecze. Płacz piktyjskich kobiet oplakujących mężów słyhać będzie aż w Velitrium...

Poszedłem na zwiady. Nią mogłem dziś zasnąć. Przez całą noc słyszałem dudnienie bębnow za rzeką.

— Słyhać je każdej nocy — zauważył gubernator. W jego oczach pojawił się niepokój.

Nieraz już przekonał się, że nie należy lekceważyć instynktu barbarzyńcy.

— Tej nocy brzmiało to zupełnie inaczej — warknął Conan.

— Wciąż to samo, od kiedy Zogar Sag umknął za rzekę.

— Powinniśmy go wtedy obdarować i odesłać do domu, albo powiesić — westchnął gubernator. — Tak mi radziłeś, ale...

— Ale wy, Hyborianie, nie możecie się nauczyć jak postępować z Piktami. Teraz i tak już nic na to nie poradzimy. Dopóki Zogar

Sag żyje i pamięta celę, w której go więziono, nie będzie spokoju na granicy. Wytropiłem dziś wojownika, który wyruszył na wojenną ścieżkę by zrobić kilka nacięć na swoim łuku. Rozpłatałem mu czaszkę i spotkałem tego oto młodzieńca imieniem Balthus, przybywającego tu z Tauranu by pomóc w walce. Vallanus z aprobatą spojrział na Aquilończyka.

— Miło mi cię powitać w forcie, młody panie. Życzyłbym sobie, żeby przychodziło do nas więcej ludzi z Tauranu. Potrzebujemy tu takich, którzy są przyzwyczajeni do trudów i życia w lesie. Wielu moich żołnierzy i osadników pochodzi z wschodnich prowincji i nie ma zielonego pojęcia o lesie, a nawet o uprawie roli.

— Niewielu jest takich po tej stronie Velitrium — przytaknął Conan — chociaż w mieście wciąż przybywa mieszkańców. Słuchaj, Vallanusie, na szlaku znaleźliśmy martwego Tiberiasa.

W paru słowach opowiedział gubernatorowi co zaszło.

— Nie wiedziałem, że Tiberias opuścił fort! — Vallanus pobladł. — Chyba zwariował!

— Chyba tak — rzekł Conan. — Tak samo jak tamci czterej. Kiedy przychodził ich czas zrywali się i biegli jak szaleni w las, na spotkanie śmierci — jak króliki zahipnotyzowane przez węży. Coś wezwało ich z głębi puszczy, coś co inni nazywają przeznaczeniem z braku innej nazwy, i co słyszą jedynie nieliczni. Jedno jest pewne — Aquilończycy nie potrafią przewyciężyć czarów Zogar Saga.

Vallanus nic nie odpowiedział, tylko wytarł spocone czoło trzęsącą się ręką.

— Czy żołnierze wiedzą o tym? — zapytał po chwili.

— Zostawiliśmy ciało przy wschodniej bramie.

— Nie powinniście tego robić. Mogliście ukryć je gdzieś w

lesie. Żołnierze są już i tak wystraszeni.

— I tak by się o tym dowiedzieli. Gdybym ukrył gdzieś trupa, Piktowie podrzuciliby go nam do fortu tak samo jak zwłoki Soractusa — przywiązane w nocy do palisady.

Vallanus zadrżał. Podszedł do okna i spojrzał na rzekę, w której czarnych wodach odbijały się błyszczące gwiazdy. Na drugim brzegu wznosiła się hebanowo czarna ściana lasu.

Zalegającą ciszę przerywał ryk polującej pantery. Nadciągająca noc rozpędziła zgromadzonych wokół blokhauzu żołnierzy; zgasły ogniska i ucichły rozmowy. Wiatr szeptał wśród czarnych konarów, marszczył gładkie lustro wody. Przyniósł ze sobą głucho, rytmiczne dudnienie, złowieszcze jak ślad lamparta na ścieżce.

— Mimo wszystko — rzekł Vallanus, jakby wypowiadając na głos swoje myśli — cóż wiemy — co ktokolwiek wie — o rzeczach jakie skrywa ta beztroska puszcza? Słyszeliśmy pogłoski o wielkich bagnach i rzekach, o nieprzebytych leśnych równinach ciągnących się aż po wybrzeże zachodniego oceanu. Jednak nawet nie próbujemy zgadnąć co naprawdę znajduje się między tą rzeką a brzegiem oceanu. Żaden biały człowiek nie dotarł tak daleko.

Nikt nie wie jakie tajemnice kryją w sobie ziemie Piktów. Jesteśmy dumni z naszej wiedzy, a ona nie sięga dalej jak do zachodniego brzegu tej prastarej rzeki! Któż wie jakie stwory zamieszkują poza wąskim kręgiem światła rzucanego przez naszą wiedzę? Kto wie jakim bogom oddaje się cześć w mrokach leśnych ostępów i jakie demony wypełzają z czarnego szlamu bagien? Kto wie czy wszyscy mieszkańcy tej ponurej krainy są zwykłymi ludźmi?

Zogar Sag — mędrcy z miast na wschodzie śmialiby się z jego

prymitywnych obrzędów tak samo, jak ze sztuczek fakira; a jednak zdołał doprowadzić do szaleństwa i śmierci pięciu ludzi — i to w sposób, jakiego nikt nie potrafi wytłumaczyć. Zastanawiam się czy on jest człowiekiem, czy demonem.

— Jeżeli tylko znajdę się dostatecznie blisko niego, wyjaśnię ten problem — warknął

Conan, częstując się winem i podsuwając puchar Balthusowi, który spojrzał niepewnie na Vallanusa i z wahaniem podniósł go do ust.

Gubernator odwrócił się i spojrzał na niego w zadumie.

— Nawet ci żołnierze, którzy nie wierzą w duchy i demony — powiedział — wpadli w panikę. A ty, wierząc w diabły, upiory, gobliny i wszelkie rodzaje nieziemskich stworzeń, zdajesz się nie obawiać żadnej z istot, w których istnienie wierzysz.

— Nie ma na świecie istoty, której nie imałoby się zimne, stalowe ostrze — odparł Conan.

— Rzuciłem toporem w demona i nie zdołałem go zranić, ale mogłem chybić w półmroku lub też zwisająca nisko gałąź mogła zmienić tor lotu broni. Nie zamierzam tracić czasu na szukanie demonów; ale też nie zamierzam im schodzić z drogi.

Vallanus podniósł głowę i spojrzał Conanowi prosto w oczy.

— Conanie, od ciebie zależy więcej niż się spodziewasz. Znasz sytuację prowincji — tego wąskiego przyczółka wbijającego się klinem w morze barbarzyństwa. Wiesz, że życie wszystkich ludzi na zachód od granic Bossonii zależy od istnienia tego fortu. Jeżeli upadnie, okrwawione topory Piktów uderzą w bramy Velitrium zanim konny posłaniec zdoła dotrzeć do granic Marchii. Jego Wysokość, a raczej doradcy Jego Wysokości, zignorowali moje prośby o przysłanie posiłków. Nic nie wiedzą o sytuacji na granicy i czują niechęć do wydawania pieniędzy na coś, czego nie

rozumieją. Los pogranicza spoczywa w rękach tych, którzy je zamieszkują. W naszych! Wiesz, że większość oddziałów, które zdobyły Conajoharę wróciła do domu? Wiesz, że siły, jakimi dysponuję są niewystarczające — zwłaszcza od kiedy temu diabłowi Zogar Sagowi udało się zatruć wodę i otruć czterdziestu żołnierzy. Wielu innych jest chorych, pogryzionych przez węże lub dzikie zwierzęta, które w niezwykłej ilości pojawiają się ostatnio w pobliżu fortu. Moi ludzie mówią, że Zogar Sag przechwala się swoją umiejętnością przyzywania na pomoc leśnych bestii. Mam trzystu oszczepników, czterystu łuczników z Bossonii i może pięćdziesięciu ludzi takich jak ty — znających las. Każdy z nich jest wart dziesięciu żołnierzy, ale to i tak za mało. Szczerze mówiąc, Conanie, moja sytuacja staje się coraz bardziej niepewna. Żołnierze szepczą o dezercji; podupadli na duchu wierząc, że Zogar Sag nasłał na nas swoje diabły. Obawiają się też moru, którym nam groził — straszliwej, śmiertelnej zarazy z bagnisk. Za każdym razem kiedy widzę chorego żołnierza pocę się ze strachu na myśl, że może nagle zrobić się czarny, pomarszczony i umrzeć na moich oczach. Conanie, jeżeli wybuchnie zaraza to wszyscy żołnierze uciekną. Granica zostanie niestrzeżona i nic nie powstrzyma naporu ciemnoskórych. Hordy Piktów staną u bram Velitrium — może nawet ruszą dalej? Jeżeli nie utrzymamy fortu, to jakie są szanse na obronę miasta? Zogar Sag musi umrzeć — inaczej stracimy Conajoharę! Ty znasz piktyjskie terytorium lepiej niż ktokolwiek inny w forcie; ty wiesz gdzie jest Gwawela i jak przebiegają leśne ścieżki. Czy zechcesz wyruszyć dziś na czele małego oddziału, żeby pojmać lub zabić czarownika? Och, wiem że to szaleństwo. Jest jedna szansa na tysiąc, że ktoś z was wróci żywy. Jednak jeśli się wam nie uda, śmierć czeka nas wszystkich. Mógłbyś zabrać

tylu ludzi ilu zechcesz, Conanie.

— Do takiego zadania nie potrzeba regimentu, wystarczy tuzin ludzi — odparł

Cymmerianin. — Pięciuset wojowników nie zdołaloby się przedrzeć do Gwawela, ale małej grupce może się to udać. Pozwól mi wybrać odpowiednich ludzi. Nie chcę żadnych żołnierzy.

— Weź mnie ze sobą! — wykrzyknął gwałtownie Balthus. — Przez całe życie polowałem na zwierzynę w lasach Tauranu.

— Dobrze — zgodził się Conan. — Teraz udamy się na wieczrę do baraku drwali, gdzie spróbuję zebrać ochotników. Wyruszymy za godzinę. Przepłyniemy rzekę łodzią, przybijemy do brzegu opodal wioski i podkradniemy się do niej. Jeżeli się nam powiedzie, przed świtem będziemy z powrotem.

..3..

W MROKU

Ledwie widoczna w ciemnościach wstęga rzeki wiła się leniwie między czarnymi ścianami lasu. Wzdłuż jej wschodniego brzegu, kryjąc się w gęstym cieniu, pomykała smukła łódź popychana silnymi uderzeniami wiosł zanurzających się w wodzie z pluskiem cichszym niż dziób polującej czapli. Balthus ledwie mógł dostrzec ramiona siedzącego przed nim wioślarza. Wiedział, że nawet sokoli wzrok siedzącego człowieka na dziobie nie przebije panujących ciemności dalej jak na kilka stóp. Conan kierował łodzią tylko dzięki instynktowi i znakomitej znajomości rzeki.

Nie padło ani jedno słowo. Balthus zdążył się przyjrzeć swoim towarzyszom jeszcze w forcie, zanim wyszli poza ostrokół i zeszli na brzeg, do łodzi. Byli to ludzie urodzeni i wychowani w surowych warunkach pogranicza; ludzie, których ponura rzeczywistość zmusiła do poznania praw puszczy. Wszyscy byli Aquilończykami z zachodnich prowincji; małomówni i żyłaści, o pooranych bliznami, posępnych obliczach, nosili podobne stroje: wysokie buty z koziej skóry, skórzane spodnie i bluzy przepasane szerokimi szarfami, za którymi tkwiły miecze lub topory. W pewnym sensie byli barbarzyńcami, jednak nie w takim stopniu jak olbrzymi Cymmerianin. Oni byli wytworem cywilizacji i tylko okoliczności zmusiły ich do powrotu do barbarzyństwa, natomiast Conan odziedziczył spuściznę tysiąca pokoleń barbarzyńców. Spryt i przebiegłość Aquilończyków to owoc długotrwałych ćwiczeń, natomiast on urodził się z takimi cechami. Wyróżniał się wśród nich jak tygrys wśród stada wilków.

Balthus patrzył z podziwem na swych towarzyszy i ich przywódcę. Czuł dumę rozpierającą go z powodu tego, że przyjęli go do swej kompanii. Radował się widząc, że jego wiosło nie czyni więcej hałasu niż wiosła pozostałych wiosłarzy. Pod tym względem co najmniej dorównywał im, chociaż znajomość lasu zdobyta w Tauranie nie mogła się równać z doświadczeniem mieszkańców dzikiego pogranicza.

Poniżej fortu rzeka zataczała szeroki łuk. Światła blokhauzu szybko zniknęły w tyle, lecz łódź płynęła jeszcze prawie milę, z niesamowitą zręcznością unikając wystających głazów i płynących rzeką pni.

Na cichy rozkaz przywódcy wiosłarze skierowali dziób canoe do brzegu i mocniej nacisnęli na wiosła. Wynurzając się z cienia porastających brzeg zarośli i wypływając na środek rzeki poczuli się dziwnie odsłonięci i bezbronni, chociaż nieliczne gwiazdy nie rozjaśniały panujących ciemności. Balthus wiedział, że nawet najbystrzejsze oczy nie dostrzegą czarnego kształtu płynącej po rzece łodzi — chyba że ktoś by jej specjalnie wypatrywał.

Wśliznęli się pod nisko zwieszające się nad wodą gałęzie krzaków na zachodnim brzegu.

Balthus wyciągnął rękę, namacał wystający korzeń i przytrzymał go mocno. Nie padło ani jedno słowo. Wszystkie rozkazy zostały wydane jeszcze przed opuszczeniem fortu. Cicho jak wielki kot, Conan ześliznął się na brzeg i zniknął w zaroślach. Pozostałych dziewięciu ludzi równie bezszelestnie poszło w jego ślady. Tylko Balthus i jeden z Aquilończyków zostali przy łodzi. Ściskając w dłoni wiosło spoglądał za odchodzącymi. Wydawało mu się niemożliwością, by dziewięciu ludzi mogło poruszać się tak cicho w tym gęstym podszyciu.

Nastawił się na długie czekanie.

Gdzieś w lesie, o milę lub o dwie na pomoc, leżała wioska Zogar Saga. Balthus znał rozkaz: wraz z drugim Aquilończykiem czekać na powrót towarzyszy. Jeżeli Conan ze swymi ludźmi nie powróci przed świtem, mieli jak najszybciej powiosłować do fortu i zameldować, że piktyjska puszcza pochłonęła kolejne ofiary. Wokół panowała przygnębiająca cisza. Żaden dźwięk nie dochodził zza nadbrzeżnych krzewów, zasłaniających czarną ścianę lasu. Bębny umilkły. Balthusowi wydawało się, że czekają już wiele godzin. Mimowolnie wyteżył wzrok, usiłując przebić otaczające ich ciemności. W powietrzu wisiał ciężki, nieprzyjemny zapach rzeki i wilgotnego lasu. Gdzieś w pobliżu rozległ się głośny plusk, jakby kłaśnięcie rybiego ogona o powierzchnię wody. Balthus pomyślał, że ta ryba musiała przepływać dość blisko, bo canoe zakołysało się lekko, jakby poruszane kręgami rozchodzących się fal. Rufa łodzi zaczęła się lekko odsuwać od brzegu. Widocznie drugi wartownik puścił korzeń, którego się trzymał. Balthus odwrócił głowę i wbił wzrok w ciemność, lecz zdołał dostrzec tylko niewyraźną sylwetkę towarzysza. Syknął ostrzegawczo, lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Podejrzewając, że wartownik zasnął, Tauranczyk wyciągnął ramię i trącił go lekko. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu poczuł, że mężczyzna osuwa się bezwładnie na dno łodzi.

Balthus wykręcił się w tył i pomacał ręką. W tej samej chwili serce podeszło mu do gardła i tylko konwulsyjny skurcz szczęk powstrzymał cisnący mu się na usta okrzyk zgrozy. Jego palce natrafiły na świeżą, ziejącą ranę. Aquilończyk miał gardło podcięte od ucha do ucha.

Zdjęty przerażeniem Balthus zerwał się na równe nogi — i w tej samej chwili muskularne ramię otoczyło jego szyję, tłumiąc

krzyk. Canoe zakołysało się gwałtownie. Balthus poczuł, że trzyma w dłoni swój myśliwski nóż, chociaż nie pamiętał jak i kiedy zdołał go wyciągnąć z za cholewy buta. Dźgnął na oślep. Wąskie ostrze wbiło się po rękojeść i straszliwy ryk wstrząsnął powietrzem. Wydawało się, że ciemności ożyły nagle. Ze wszystkich stron rozległy się wściekłe wrzaski i wyciągnęły się uzbrojone ręce. Łódź zakołysała się na boki, lecz zanim zdążyła się wywrócić, coś twardego trzasnęło Balthusa w głowę. Mrok nocy rozbłysnął nagle snopem iskier — po czym wszystko zgasło.

..4..

BESTIE ZOGAR SAGA

Odzyskującego przytomność Balthusa oślepił blask płomieni. Mrugnął kilkakrotnie oczami i potrząsnął głową. Nieznośna jasność raziła wzrok aż do bólu. W miarę jak wracała mu świadomość zaczynał wyławiać pojedyncze dźwięki z panującej wokół wrzawy. Podniósł głowę i spojrzał tępo przed siebie. Otaczał go krąg czarnych postaci, stojących na tle purpurowej ściany ognia.

W jednej chwili przypomniał sobie i zrozumiał wszystko. Zdał sobie sprawę, że jest przywiązany do pala stojącego na otwartej przestrzeni, otoczonego przez zwarty tłum dzikich.

Za ich plecami paliły się ogniska, którymi opiekowały się nagie, ciemnoskóre kobiety. Dalej widział rząd niskich chat z gałęzi oblepionych nawozem i błotem oraz palisadę z wielką bramą wjazdową. Jednak Balthus zauważył to wszystko tylko mimochodem. Nie zwrócił uwagi nawet na kobiety i ich dziwne fryzury. Całą swoją uwagę zwrócił na otaczających go wojowników.

Niscy, krępi, o szerokich barach i wąskich biodrach, byli nadzy jeśli nie liczyć wąskich przepasek na biodrach. Migotliwy blask ognia uwidaczniał potężne mięśnie ramion i torsów.

Ponure twarze nie wyrażały żadnych uczuć, lecz w wąskich oczach tlił się żar, jaki można ujrzyć w ślepiach wygłodniałego tygrysa. Zmierzwiłone włosy przytrzymywali mosiężnymi obręczami, a w dłoniach trzymali miecze i topory. Niektórzy mieli obandażowane ręce lub nogi i ślady zakrzepłej krwi na ciele — widome znaki niedawnej walki.

Balthus odwrócił wzrok od ich płonących oczu i z trudem

powstrzymał okrzyk zgrozy.

Kilka stóp od pala, do którego był przywiązany wznosiła się okropna piramida, ułożona z odciętych ludzkich głów. Szkliste oczy patrzyły nieruchomo w czarne niebo. Oniemiały Aquilończyk rozpoznał rysy tych twarzy, które były ku niemu zwrócone. Głowy należały do mężczyzn, którzy poszli z Conanem, chociaż jego głowy nie mógł wśród nich dostrzec.

Jednak na stosie musiało ich być dziesięć czy jedenaście i nie wszystkie dobrze widział.

Ogarnęła go fala mdłości. Z trudem opanował je i spojrzał uważniej. Za odciętymi głowami ujrzał pół tuzina ułożonych rzędem ciał piktyjskich wojowników. Widok ten sprawił mu radość — ludzie Conana nie oddali tanio swojej skóry.

Odwracając głowę w bok, Balthus odkrył obok drugi, pomalowany na czarno palek, taki sam jak ten, do którego on był przywiązany. Zobaczył przy nim bezwładnie wiszącego w pętach człowieka, jednego z tych, którzy towarzyszyli Conanowi. Mężczyzna miał na sobie tylko skórzane spodnie. Krew sączyła mu się z ust i głęboko rozciętego boku. Drwal podniósł głowę, oblizął wargi i wymamrotał, z trudem dające się słyszeć przez wrzawę słowa: — A więc was też dostali!

— Podpłynęli do nas i poderżnęli gardło mojemu towarzyszowi — jęknął Balthus. — Niczego nie słyszeliśmy, dopóki nie skoczyli na nas. Mitro, jak mogliśmy się dać tak zaskoczyć!

— To diabły — mruknął drwal. — Musieli nas dostrzec kiedy jeszcze byliśmy przy drugim brzegu. Wpadliśmy w zasadzkę. Zanim zorientowaliśmy się, zasypali nas gradem strzał.

Większość naszych padła od razu. Trzech czy czterech przedarło się przez krzaki i uderzyło na nich. Jednak

nieprzyjaciół było zbyt wielu. Conanowi chyba udało się ujść. Nie widziałem jego głowy. Jeżeli chodzi o nas to szkoda, że nie zabili nas od razu. Nie można winić Conana za to, co się stało. Powinniśmy dostać się do wioski bez problemów. Piktowie nie wystawiają posterunków aż tak daleko w dół rzeki. Musieliśmy wpaść na jakiś duży oddział nadciągający z południa. Szykują jakieś nowe diabelstwo. Jest ich tu zbyt wielu. Nie wszyscy mieszkają w Gwawela; widzę tu Piktów z zachodnich plemion i wszystkich nadrzecznych wsi.

Balthus przyjrzał się uważnie wojownikom i chociaż niewiele wiedział o obyczajach Piktów zdał sobie sprawę, że zgromadzony wokół tłum był zbyt liczny jak na jedną wioskę.

Nawet nie zdołaliby się pomieścić w chatach Gwawela. Zauważył też różnice w znakach plemiennych wymalowanych na twarzach i nagich torsach.

— Szykują jakieś diabelstwo — powtórzył towarzysz niedoli.
— Może zgromadzili się by zobaczyć czary Zogar Saga. Wyobrażam sobie co będzie wyczyniał z naszymi zwłokami.

Wprawdzie żyjąc na pograniczu nie można liczyć na to, że się umrze we własnym łóżku, ale wolałbym zginąć z tamtymi.

Wściekłe wrzaski i poruszenie wśród otaczającego ich tłumy zapowiadały nadejście kogoś ważnego. Balthus obrócił głowę i stwierdził, że pale do których byli przywiązani stoją przed długim budynkiem, większym od pozostałych chat i udekorowanym girlandami zwisających z kalenic, ludzkich czaszek. W progu chaty pojawiła się niezwykła postać.

— Zogar! — mruknął z odrazą drwał, nieświadomie szarpiąc pęta.

Balthus ujrzał niewysokiego, szczupłego człowieka prawie zupełnie ukrytego w strusich piórach zdobiących jego oryginalny

strój. Brzydką twarz szamana wykrzywił odrażający, złowrogi grymas. Strusie pióra zaintrygowały Balthusa. Wiedział, że pochodzą z kraju leżącego daleko na południu. Zafascynowany patrzył jak powiewają i szeleszczą w takt podskoków i pląsów czarownika.

Skacząc i podśpiewując wkroczył w krąg otaczających jeńców ludzi. Mógłby się wydawać zabawny — głupi dzikus szeleszczący piórami i mamroczący bezsensowne zaklęcia — gdyby nie jarzące się nienawiścią oczy i ohydne oblicze. Żaden człowiek z taką twarzą nie mógł być śmieszny. Zogar Sag wyglądał jak demon w ludzkiej postaci.

Nagle przerwał swe pląsy i stanął nieruchomo jak posąg; nastroszone pióra zawirowały i opadły. Rozwrzeszczany tłum umilkł. Zogar Sag stał bez ruchu, dumnie wyprostowany — i zdawał się rosnąć w oczach. Balthus miał wrażenie, że czarownik spogląda nań z wysoka chociaż wiedział, że starzec jest od niego niższy o głowę. Z trudem oparł się złudzeniu.

Szaman przemówił ochrypłym, gardłowym głosem — mimo to dziwnie przypominającym syk węża. Wyciągnąwszy długą szyję, przysunął twarz do rannego jeńca przy sąsiednim palu; w blasku ognia oczy czarownika miały barwę krwi. Pogranicznik plunął mu w twarz.

Ze zwierzęcym rykiem Zogar Sag odskoczył w tył, a jego wojownicy zawyli wściekle.

Wygrażając bronią, rzucili się na przywiązanego do pala mężczyznę, ale szaman powstrzymał ich gestem ręki. Wydał krótki rozkaz i kilku Piktów pobiegło do bramy. Otworzyli ją na oścież i szybko wrócili do koła. Tymczasem pierścień wokół jeńców pękł; wojownicy pośpiesznie odsuwali się na lewo i prawo. Balthus zobaczył, że kobiety i dzieci umykają w popłochu,

kryjąc się w chatach i za nimi. Na placu powstał szeroki szpaler pustej przestrzeni, ciągnący się od pali do otwartej bramy, za którą majaczyła czarna ściana lasu.

W napiętej ciszy Zogar Sag zwrócił twarz w tym kierunku, wspiął się na palce i przeciągle, nieludzko zawył. Po chwili z głębi mrocznego lasu odpowiedziało mu podobne, niesamowite wycie. Balthus zadrżał. Głos dobiegający z leśnych ostępów nie wydobył się z ludzkiego gardła. Taurańczyk przypomniał sobie co mówił Vallanus; że szaman przechwala się swoją władzą nad zwierzętami. Twarz drwala stała się siną, pokrytą zeschniętą krwią maską.

Tłum wstrzymał oddech. Zogar Sag wciąż stał nieruchomo jak posąg — tylko strusie pióra jego stroju poruszały się lekko na wietrze. Nagle z ust zgromadzonych Piktów wyrwał się jęk zgrozy. Wojownicy skoczyli między chaty, potrącając się wzajemnie w pośpiechu. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. Stojący w bramie stwór zdawał się ucieleśnieniem koszmarnego snu. Dziwnie blada sierść nadawała mu upiorny, nierealny wygląd, lecz nisko zwieszony, spłaszczony, łeb i zakrzywione, błyszczące kły były jak najprawdziwsze. Krocząc bezgłośnie na miękkich łapach wydawał się zjawą z odległej przeszłości. Relikt minionych, ponurych wieków; stwór z prastarych legend — tygrys szablastozębny.

Już od kilkuset lat hyboriańscy myśliwi nie napotykali tych potwornych bestii. Niezliczone legendy przypisywały im nadprzyrodzoną moc związaną z upiorną barwą sierści i nieokiełznaną dzikością.

Zbliżająca się do jeńców bestia była większa od zwykłego pasiastego tygrysa — budową bardziej przypominała niedźwiedzia. Chociaż tylne łapy miała potężniejsze niż lew,

masywne mięśnie karku i przednich łap nadawały jej dziwnie niezgrabny wygląd. Jej szczęki były niezwykle silnie rozwinięte, w przeciwieństwie do płaskiej czaszki kryjącej maleńki mózdzek, w którym zabrakło miejsca na coś więcej niż mordercze instynkty. Tygrys szablastozębny był wybrykiem natury, szaleństwem ewolucji ukierunkowanym na zabijanie.

Takiego potwora przywołał Zogar Sag z głębi puszczy. Balthus już dłużej nie wątpił w historie opowiadane o starym szamanie. Tylko przy pomocy czarnej magii Zogar Sag mógł uzyskać władzę nad tą bezmyślną, uzbrojoną w kły i pazury bestią. Głęboko w zakamarkach pamięci tkwiły niemal zapomniane opowieści o prastarym bóstwie ciemności czczonym niegdyś przez ludzi i zwierzęta, którego potomkowie — jak szeptano — wciąż jeszcze żyli gdzieś na krańcach świata. Balthus z rosnącym przerażeniem spoglądał na Zogar Saga.

Tygrys przeszedł obok okrwawionych ciał Piktów i stosu czaszek nie zwracając na nie uwagi. Gardził padliną. Był stworzony do zabijania i polował tylko na żywe stworzenia.

Zielone, nieruchome ślepia pały żądzą mordy; nie głodem płynącym z pustego brzucha.

Potężne szczęki rozchyliły się szeroko. Szaman cofnął się o krok i wskazał ręką drwala.

Wielki kot przyczaił się do skoku. Balthusowi przypomniały się opowieści o potwornej sile tego zwierzęcia; o tym, że potrafi rzucić się na słońca i wbić swoje zakrzywione kły tak głęboko w jego czaszkę, że nie mogąc ich wyjąć ginie z głodu. Czarownik krzyknął piskliwie i tygrys ze wstrząsającym rykiem skoczył na ofiarę.

Balthus nie wyobrażał sobie, że w jednym cielsku — nawet tak ogromnym — może kryć się tak druzgocąca siła. Zwierzę spadło

jak błyskawica na ofiarę, z trzaskiem łamiąc pal, do którego ją przywiązano, i pół niosąc, pół ciągnąc okropne brzemie ruszyło ku bramie.

Sparaliżowany przerażeniem Balthus patrzył na to bezsilnie.

Bestia nie tylko złamała pal, ale też oderwała od niego ciało swojej ofiary. Jej potężne pazury w mgnieniu oka rozpruły brzuch jeńca i częściowo oderwały mu ręce, a gigantyczne kły zgmiotły mu czaszkę z taką łatwością, jakby była z papieru. Grube rzemienne więzy prysnęły jak nitki. Balthus zwymiotował. Polował na pantery i niedźwiedzie, ale nie wyobrażał sobie, że jakiegokolwiek zwierzę może w ułamku sekundy tak zmasakrować człowieka.

Tygrys zniknął za bramą i w chwilę później głuchy ryk wstrząsnął puszcza, cichnąc wolno w dali. Jednak Piktowie nie opuszczali jeszcze swoich kryjówek, a szaman stał bez ruchu zwrócony twarzą ku ciemnej ścianie lasu.

Balthus oblał się zimnym potem. Jakież nowy potwór pojawi się w otwartych wrotach by zamienić jego ciało w krwawe strzępy? Wstrząsnął nim dreszcz przerażenia. Bezsilnie szamotał się w więzach. Mrok nocy zdawał się napierać na wioskę Piktów, przygaszając blask ognisk jarzących się niczym ognie Piekieł. Taurańczyk czuł na sobie spojrzenia całej wioski — setek wygłodniałych, okrutnych oczu odzwierciedlających stan ich dusz pozbawionych ludzkich cech. Już nie myślał o nich jak o ludziach; byli demonami tej puszczy, równie okrutnymi jak bestie wzywane z jej głębi przez okrytego piórami szamana.

Zogar znów wysłał w noc mrozące krew w żyłach wezwanie. Słyszając ten syczący, zupełnie odmienny od pierwszego dźwięk, Balthus zadrżał — tak mogłaby syczeć olbrzymia żmija.

Tym razem czarownikowi odpowiedziało tylko milczenie. W

dźwięczącej ciszy Taurańczyk prawie słyszał łomot swego serca. Nagle jego uszu dobiegł cichy szmer dolatujący od strony bramy. Dreszcz przerażenia przeleciał mu po grzbiecie — w otwartych wrotach pojawił się nowy potwór.

Balthus rozpoznał w nim monstrum z pradawnych legend. Szaman przywołał gigantyczną żmiję. Jej ogromny, klinowaty łeb wznosił się wyżej niż głowa dorosłego człowieka, a wijące się, błyszczące cielsko było grubsze od beczki. Z rozdziawionej paszczyki wysuwał się rozdwojony język, a blask ognia odbijał się od wyszczerzonych kłów.

Taurańczyk zamarł z przerażenia. Starożytni nazywali tego gada Wężem Upiorem. Blade, ohydne cielsko wślizgiwało się nocą do ludzkich siedzib by pożerać całe rodziny. Swoje ofiary dusił jak pyton, w uścisku potężnych splotów, lecz w przeciwieństwie do węży — dusicieli ten uzbrojony był w kły ociekające jadem, który niósł szaleństwo i śmierć. Jego również od dawna uważano za wymarłe zwierzę. Jednak Vallanus mówił prawdę. Żaden biały człowiek nie miał pojęcia co kryją puszcze za Czarną Rzeką.

Wąż podpełznął bliżej i uniósłszy łeb zakołysał nim w przód i w tył, szykując się do ataku.

Balthus patrzył jak zahipnotyzowany w głąb odrażającej gardzieli, która miała go pochłonać.

Nie odczuwał nic prócz lekkich mdłości.

Nagle z cienia zalegającego wokół chat śmignęło coś błyszczącego i wielki gad zaczął się wić w konwulsjach. Zdumiony Balthus dostrzegł sterczącą z grubego karku, tuż pod rozdziawioną paszczką, krótką włócznię. Z jednej strony wystawało drzewce, z drugiej stalowy grot. Wijący się, oszalały z bólu stwór wpadł na stojących w pobliżu wojowników, którzy

rozpierzchnęli się w panice.

Grot włóczył nie przeciął wprawdzie kręgów gada, ale na wylot przeszył mięśnie potężnego karku. Wściekle smagając ogonem wąż obalił tuzin Piktów i wściekle kłapiąc paszczką opryskał wielu innych palącą żywym ogniem trucizną. Wyjąc, klnąc i wrzeszcząc rozbiegli się na wszystkie strony, zderzając się i tratując leżących. Gad potoczył się w jedno z ognisk, rozrzucając głownie i sypiąc iskry. Nowy ból zmusił go do jeszcze gwałtowniejszych ruchów. Ściana chaty rozpadła się pod ciosem walącego jak taran ogona, grzebiąc pod sobą jęczących Piktów. Biegający tam i z powrotem wojownicy porozrzucali płonące gałęzie i zdeptali ogniska. Zapadła ciemność rozjaśniona jedynie nikłą poświatą żaru i przerywana łomotem wijącego się cielska oraz wrzaskami umykających ludzi.

Balthus poczuł jak coś szarpie jego pęta i nagle, jakimś cudem był wolny! Silne ręce pociągnęły go do tyłu. Z osłupieniem zobaczył olbrzymią postać i poczuł żelazny uścisk dłoni na ramieniu. W nikłym blasku poznał gigantycznego Cymmerianina. Krew zasychała na kolczudze i obnażonym mieczu barbarzyńcy, a posępne oblicze rozjaśnił słaby uśmiech. — Chodź! Zanim się opamiętają!

To mówiąc, Conan wcisnął mu w dłoń rękojeść topora. Zogar Sag zniknął gdzieś w mroku.

Conan prawie włókł Balthusa za sobą dopóki Taurariczyk nie otrząsnął się z odrętwienia i zaczął samodzielnie poruszać nogami. Wtedy Conan puścił jego ramię i wbiegł do długiego budynku obwieszanego ludzkimi czaszkami. Balthus poszedł w jego ślady.

Dostrzegł ponury, kamienny ołtarz, słabo oświetlony blaskiem gwiazd; a na nim pięć wyszczerbionych w uśmiechu ludzkich

głów. Jedna z nich wydawała mu się dziwnie znajoma: należała do kupca Tiberiasa. Za ołtarzem stał posąg jakiegoś bożka. Jego niekształtna postać o niewyraźnych, zwierzęcych rysach miała jednak w sobie coś ludzkiego.

Nagle gardło Balthusa ścisnęło się z przerażenia, bowiem bożek wyprostował się i ze szczękiem łańcuchów podniósł w górę długie, niekształtne ramiona.

Miecz Conana opadł jak błyskawica, przecinając ciało i kości. Cymmerianin pociągnął

Balthusa za ołtarz, obok skulonego na podłodze, włochatego cielska i do tylnych drzwi długiej chaty. Wskoczyli na zewnątrz, na dziedziniec za budynkiem. Po kilku krokach wpadli na palisadę.

Wokół panowały nieprzeniknione ciemności. Oszalali ze strachu Piktowie uciekali we wszystkie strony. Conan stanął przy palisadzie, złapał Balthusa za pas i z dziecinną łatwością podniósł go w górę. Taurańczyk chwycił się krawędzi ostrokołu i wdrapał się nań nie zwracając uwagi na zadrapania. Właśnie wyciągał rękę po Conana, gdy zza rogu chaty wyskoczył umykający wojownik. Dzikus stanął jak wryty, dostrzegłszy skulonego na palisadzie Balthusa. Ze straszliwą precyzją Conan cisnął toporem, lecz Pikt zdążył już otworzyć usta. Przez zgiełk przedarł się jego ostrzegawczy krzyk — urwany nagle, gdy topór Cymmerianina strzaskał mu czaszkę.

Paniczny strach nie zagłuszył pierwotnych instynktów piktyjskich wojowników. Wrzawa przycichła na moment, po czym z setek gardeł wydobył się wściekły ryk i Piktowie rzucili się do palisady, by odeprzeć wroga.

Conan skoczył, chwycił ręką Balthusa i podciągnął się w górę. Aquilończyk zacisnął zęby z wysiłku, ale Cymmerianin w

mgnieniu oka znalazł się na szczycie palisady. Prawie jednocześnie zeskoczyli na drugą stronę.

..5..

DZIECI JHEBBAL SAGA

— Którędy do rzeki? — spytał bezradnie Balthus.

— Nie zdołamy teraz dotrzeć do rzeki — mruknął Conan.

— W lasach między jej brzegiem a wioską roi się od Piktów! Chodź! Pójdziemy w kierunku jakiego najmniej oczekują — na zachód!

Kiedy zagłębiali się w gęste krzaki, Balthus odwrócił się i zobaczył rząd czarnych głów wystających znad palisady. Piktowie byli zbici z tropu. Dobiegli do ostrokołu zbyt późno by zauważyć kryjących się w gąszczu zbiegów. Spodziewali się gwałtownego ataku — tymczasem nigdzie nie było widać śladu wroga, chociaż na ziemi leżało ciało zabitego wojownika.

Balthus zrozumiał, że jeszcze nie zauważyli jego ucieczki. Świst strzał i dzikie wrzaski świadczyły o tym, że część Piktów, wypełniając rozkazy Zogar Saga, zabijała rozszalałego gada. Potwór zupełnie wyrwał się spod kontroli szamana. Po chwili podniosła się nowa wrzawa. Wściekłe wycie wstrząsnęło puszcza.

Conan uśmiechnął się ponuro. Wiódł Balthusa wąską ścieżką biegnącą wśród gęstego podszycia na zachód, a kroczył tak szybko i pewnie jakby podążał dobrze oświetloną aleją.

Balthus szedł za nim potykając się i macając na boki wyciągniętymi ramionami.

— Zaraz ruszą w pościg. Zogar odkrył, że cię nie ma i wie, że między głowami leżącymi na placu nie było mojej. Nędzny pies! Gdybym miał dwie włócznie, to najpierw przeszyłbym jego, a dopiero potem węża. Trzymaj się szlaku. Nie mogą nas tropić przy świetle pochodni, a od wioski biegnie wiele ścieżek.

Najpierw pobiegną tymi, które wiedą do rzeki — i ustawią się gęstym kordonem wzdłuż brzegu sądząc, że zechcemy się przeprowić na drugą stronę. Nie wejdzimy do lasu dopóki nie będziemy musieli. Ścieżką idzie się znacznie szybciej. Teraz weź się w garść i pędź tak szybko jak potrafisz!

— Piekielnie szybko otrząsnęli się z przerażenia! — wysapał Balthus, zastosowując się do poleceń Cymmerianina i przyspieszając kroku.

— Nic nie jest w stanie przestraszyć ich na dobre — mruknął Conan.

Przez dłuższą chwilę nie padło ani jedno słowo więcej. Uciekający wkładali wszystkie siły w zwiększenie odległości dzielącej ich od prześladowców. Z każdym krokiem oddalali się od cywilizacji i coraz bardziej pogrążali w nieprzebytych ostępach, lecz Balthus nie kwestionował decyzji Cymmerianina. Ten wreszcie wydusił z siebie mrukliwe wyjaśnienie: — Kiedy już znajdziemy się wystarczająco daleko od wioski, zatoczmy wielki łuk i wrócimy nad rzekę. Na wiele mil od Gwawela nie ma innej wioski. Tam zebrali się wszyscy Piktowie. Ominiemy ich z daleka. W nocy nie mogą nas tropić. Ruszą po naszych śladach rano, ale my jeszcze przed świtem porzucimy szlak i wejdzimy w las.

Nie zwalniali kroku. Wrzaski ucichły w oddali. Balthus ze świstem wciągał powietrze przez zaciśnięte zęby. Kłuło go w lewym boku i każdy krok stał się torturą. Gałęzie krzaków rosnących po obu stronach ścieżki nieustannie smagały go po twarzy. Nagle Conan stanął, odwrócił się i spojrział na ścieżkę. Gdzieś za lasem wschodził księżyc; przez gęste listowie sączyło się jego blade światło.

— Wchodzimy do lasu? — wysapał Taurańczyk.

— Daj mi swój topór — szepnął Cymmerianin. — Coś się zbliża.

— Więc lepiej zejdźmy ze szlaku! — jęknął Balthus. Conan potrząsnął głową i pociągnął kompana w gęstwinę.

Czekali chwilę. Księżyc wzeszedł wyżej i na ścieżkę padła niebieska poświata.

— Nie możemy walczyć z całym Szczepem! — wyszeptał Balthus.

— Żadna ludzka istota nie zdołałaby tak szybko wpaść na, nasz trop i dogonić nas w tak krótkim czasie — zamruczał Conan. — Bądź cicho.

Zapadła cisza pełna napięcia. Balthusowi wydawało się, że bicie jego serca słychać na milę. Nagle, bez najcichszego dźwięku oznajmiającego jej nadejście, na ścieżce pojawiła się płowa bestia. W pierwszej chwili Aquilończykowi wydawało się, że to straszliwy szablastozębny i serce podskoczyło mu do gardła. Jednak przypłaszczony łeb był znacznie mniejszy i węższy; na ścieżce stał lampart — warcząc cicho i tocząc wokół płonącymi ślepiami. Słaby wietrzyk wiał w kierunku ukrytych w gąszczu zbiegów, nie pozwalając zwierzęciu zwęszyć ich zapach. Lampart opuścił łeb i obwąchał szlak, po czym niepewnie ruszył dalej. Balthusowi dreszcz przebiegł po plecach. Zwierzę najwidoczniej szło ich śladem.

I było podejrzliwe. Płonące jak węgle ślepia wodziły nieustannie spojrzeniem po poboczu ścieżki, a z gardła wydobywał się głuchy pomruk. Powoli podeszło bliżej i Conan zamachnął się błyskawicznie, wkładając w ten ruch całą siłę ramienia i barku. Ciśnięty topór śmignął w powietrzu jak srebrna smuga. Zanim Balthus zrozumiał co się dzieje, zobaczył, że lampart wije się w śmiertelnych skurczach. Stalowe ostrze

rozplatało grubą czaszkę i wbiło się w mózg.

Conan wyskoczył z krzaków, wyrwał topór i wciągnął ścierwo między drzewy skrywając przed wzrokiem ludzi, którzy mieli później tędy podążać.

— Teraz w drogę; i to szybko! — powiedział, wchodząc w las i kierując się na południe.

— Za lampartem przyjdą wojownicy. Zogar wysłał go w pościg jak tylko trochę ochłonął.

Piktowie z pewnością idą za kotem, tylko nie mogli za nim nadążyć. Lampart krążył wokół wioski aż trafił na nasz trop — wtedy pomknął jak strzała. Nie mogli dotrzymać mu kroku, ale wskazał im kierunek, w jakim się udaliśmy. Biegną za nim, orientując się po jego pomrukach. No, teraz już ich nie usłyszą, ale zobaczą krew na ścieżce, rozejrzą się trochę i znajdą ścierwo w krzakach. Jeżeli tylko wpadną na nasz trop, ruszą za nami. Nie możemy zostawić żadnych śladów.

Mówiąc to, Conan zwinnie unikał nisko zwieszających się gałęzi i kolczastych krzewów; przemykał się między drzewami nie dotykając ich pni i zawsze stawiając stopy tak, by nie pozostawić żadnych śladów zdradzających ich przejście — ale Balthusowi szło to znacznie wolniej i z większym trudem.

Nie słyszeli żadnych odgłosów pościgu. Przeszli więcej niż milę, gdy Balthus rzekł: — Czy Zogar Sag używa lampartów jako swoich psów gończych? Conan potrząsnął głową.

— Raczej przywołał go z puszczy, tak jak tamte zwierzęta.

— Jednak — dopytywał się Taurańczyk — jeżeli może rozkazywać zwierzętom, to dlaczego nie obróci przeciwko nam wszystkich leśnych stworzeń? W puszczy jest pełno lampartów, dlaczego wysłał za nami tylko jednego?

Conan pomilczał chwilę, po czym rzekł niechętnie: — On nie

może rozkazywać wszystkim zwierzętom. Tylko tym, które pamiętają Jhebbal Saga.

— Jhebbal Saga? — z namysłem powtórzył Aquilończyk. Wydawało mu się, że słyszał to imię.

— Niegdyś wszystkie żywe stworzenia oddawały mu cześć. Było to dawno temu, kiedy zwierzęta i ludzie mówili jednym językiem. Ludzie już o tym zapomnieli: nawet zwierzęta zapomniały. Jednak nieliczne jeszcze pamiętają. One spełnią życzenia człowieka, który przemówi do nich w prastarym języku.

Balthus nic nie powiedział. Wrócił myślą do wioski Piktów i znów ujrzał krwiożercze bestie wyłaniające się z mrocznej puszczy na wezwanie szamana.

— Cywilizowani ludzie śmieją się z tego — ciągnął Cymmerianin — ale nikt nie potrafił mi wyjaśnić w jaki sposób Zogar Sag może przywoływać tygrysy, lamparty czy węże i skłaniać je by wykonywały jego rozkazy. Gdyby się odważyli, zarzuciliby mi kłamstwo. Tak jest z cywilizowanymi ludźmi. Jeżeli nie potrafią czegoś wyjaśnić przy pomocy swej niedowarzonej nauki, to twierdzą, że nie istnieje.

Taurańczycy byli bardziej zbliżeni do natury niż większość Aquilończyków i wciąż zachowali niektóre wierzenia, których źródła ginęły w pomroce dziejów. Poza tym, Balthus widział na własne oczy to, o czym mówił mu teraz Conan. Nie mógł nie wierzyć jego słowom.

— Słyszałem, że gdzieś w tej puszczy znajduje się prastary grobowiec Jhebbal Saga — ciągnął Conan. — Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Jednak w tych lasach pamięta o nim więcej zwierząt niż gdzie indziej.

— I one też ruszą za nami?

— Już ruszyły — padła niepokojąca odpowiedź. — Zogar nie

wysłałby za nami tylko jednego zwierzęcia.

— Więc co robimy? — spytał niespokojnie Balthus, ściskając rękojeść miecza i wpatrując się w mroczny gąszcz. Na myśl o czających się w nim, uzbrojonych w kły i pazury, stworach, dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

— Zobaczysz!

Conan odwrócił się, przykucnął i zaczął kreślić nożem dziwne wzory na ziemi.

Zaglądający mu przez ramię Balthus — nie wiedzieć czemu — poczuł znów zimny dreszcz strachu. Na twarzy nie czuł nawet najłżejszego podmuchu wiatru, a jednak liście nad ich głowami zaszeleściły dziwnie i wśród gałęzi rozległ się niesamowity, przeciągający jęk.

Conan spojrzał obojętnie, po czym podniósł się i popatrzył ponuro na narysowany symbol.

— Co to takiego? — szepnął Aquilończyk. Znak wydawał mu się dziwny i zupełnie pozbawiony znaczenia. Osądził, że to jakiś wzór zdobniczy jednej z pradawnych kultur, którego nie pozwala mu rozpoznać nieznajomość historii sztuki. Nie zdawał sobie sprawy jak daleki był od rozwiązania zagadki.

— Ten znak widziałem wyryty na ścianie jaskini, w której od miliona lat nie powstała ludzka stopa — mruknął Conan. — Było to wśród bezludnych wzgórz za Morzem Vilayet, szmat drogi stąd. Później widziałem jak czarny zaklinacz z Kush kreślił go w przybrzeżnym piasku nie nazwanej rzeki. Wyjaśnił mi jego znaczenie — to święty znak Jhebbal Saga i stworzeń oddających mu cześć. Patrz!

Skryli się w gęstym listowiu kilka jardów dalej i czekali w napięciu. Ze wschodu dolatywało bicie bębnow, którym odpowiadały inne — z zachodu i pomocy. Balthus zadrżał,

choć wiedział, że całe mile dzielą ich od tych piktyjskich wiosek gdzie monotony, pulsujący rytm bębnow jak upiorna uwertura zapowiadał krwawy finał. Stwierdził, że nieświadomie wstrzymuje oddech. Nagle liście zatrzęsły się lekko i rozchyliwszy gałęzie, wychynęła z krzaków wspaniała czarna pantera. Sączące się przez listowie światło księżycy padało na lśniące futro, falujące wraz z ruchem potężnych mięśni. Z nisko pochylonym łbem, zwierzę sunęło w kierunku ukrytych mężczyzn. Zwęszyła ich trop i ruszyła szybciej — lecz zaraz zastygła w bezruchu, nosem niemal dotykając ziemi i narysowanego symbolu. Przez dłuższą chwilę stała nieruchomo, brzuchem prawie dotykając ścieżki. Balthusowi włosy stanęły dęba na głowie. W zachowaniu zwierzęcia wyczuł podziw i szacunek.

Później pantera podniosła się i wycofała ostrożnie. Kiedy jej tylne łapy dotknęły krzaków określiła się gwałtownie i zniknęła z oczu zbiegów jak błyska zgaszonej świecy.

Balthus otarł czoło trzęsącą się ręką i spojrzał na Conana. W oczach barbarzyńcy płonął ogień jakiego Aquilończyk nigdy nie widział w spojrzeniu cywilizowanego człowieka. Na chwilę stał się Balthusowi zupełnie obcy. W jego pałającym spojrzeniu Aquilończyk widział dziwne obrazy i na pół sformowane wspomnienia, pradawne wierzenia zapomniane w miarę rozwoju cywilizacji, prymitywne i przerażające. Po chwili Conan otrząsnął się z zadumy i cicho poprowadził towarzysza dalej, w puszcę. — Nie musimy się już obawiać zwierząt — rzekł po dłuższym milczeniu — ale zostawiliśmy ślady, które można dostrzec bystrym okiem.

Trudno im będzie znów wpaść na nasz trop i dopóki nie znajdą tego symbolu, nie będą pewni czy rzeczywiście

skierowaliśmy się na południe. Nawet wtedy trudno im będzie iść za nami bez pomocy zwierząt. Jednak lasy na południe od szlaku roją się od szukających nas wojowników. Jeżeli nie ukryjemy się gdzieś w ciągu dnia, to z pewnością wpadniemy na jakiś oddział. Jak tylko znajdziemy odpowiednie miejsce, zatrzymamy się i zaczekamy do zmroku — potem zawrócimy i przeprowimy się przez rzekę. Musimy ostrzec Vallanusa, a wcale mu nie pomożemy jeżeli damy się zabić.

— Ostrzec Vallanusa?

— Na Croma, lasy wzdłuż rzeki roją się od Piktów! Dlatego wpadliśmy w zasadzkę. Zogar szykuje świętą wojnę; nie jakiś tam wypad rabunkowy. Dokonał czegoś, co za mojej pamięci nie udało się żadnemu Piktowi; zjednoczył dziesięć czy piętnaście plemion. Udało mu się to dzięki czarom; wojownicy słuchają bardziej szamana niż wodza. Widziałeś ten tłum w wiosce; a wzdłuż brzegu rzeki ukrywają się setki wojowników, których nie zauważyłeś. I wciąż przybywają nowi — z bardziej oddalonych wsi. Zogar będzie miał co najmniej trzytysięczną armię. Leżałem w krzakach i podsłuchałem rozmowę kilku przechodzących Piktów. Chcą zaatakować fort. Nie wiem kiedy, ale Zogar nie ośmieli się czekać zbyt długo.

Zebrał ludzi i doprowadził do wrzenia. Jeżeli szybko nie doprowadza ich do bitwy, zaczną walczyć ze sobą. Są jak oszalałe z żądzы krwi tygrysy. Nie wiem, czy zdołają zdobyć fort, czy nie? W każdym razie musimy przejść przez rzekę i ostrzec Vallanusa. Osadnicy wzdłuż drogi do Velitrium muszą się schronić w forcie albo uciekać do miasta. Podczas gdy główne siły Piktów będą oblegać fort, mniejsze oddziały spustoszą wschodnie tereny — może nawet przekroczą Rzekę Gromu i napadną na gęsto zaludnione obszary za Velitrium.

To mówiąc, wiódł Balthusa coraz dalej i dalej w puszcę. Wreszcie mruknął coś z zadowoleniem. Dotarli do miejsca, gdzie podszycie było mniej gęste i ujrzeni skalny grzbiet pasma ciągnącego się na południe. Ruszyli w górę. Balthus poczuł się bardziej bezpiecznie.

Nawet Pikt nie zdoła znaleźć ich śladów na nagiej skale.

— Jak ci się udało uciec? — spytał Cymmerianina. Conan klepnął się po kolczudze.

— Gdyby wszyscy pogranicznicy to nosili, mniej czaszek wisiałoby przed piktyjskimi ołtarzami. Jednak większość ludzi robi zbyt wiele hałasu chodząc w zbroi. Piktowie czekali na nas po obu stronach ścieżki, ukryci w krzakach. A kiedy Pikt stoi bez ruchu, nawet zwierzę nie zdoła go dostrzec. Zauważyli nas jak przeprawialiśmy się przez rzekę i czekali na nas w zasadzce. Gdyby zajęli swoje pozycje kiedy byliśmy już na brzegu zauważyłbym coś. Jednak oni już tam byli. Sam diabeł niczego by nie podejrzewał. Zrozumiałem co się dzieje dopiero gdy usłyszałem szmer strzały trącej o napinany łuk. Rzuciłem się na ziemię i krzyknąłem do pozostałych by zrobili to samo, ale byli zbyt zaskoczeni i zbyt powolni. Większość zginęła od razu, gdy spadła na nas chmura strzał. Część strzał przeleciała na drugą stronę ścieżki, rażąc ukrytych tam Piktów. Słyszałem ich wycia — Conan uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. — Ci, którzy pozostali przy życiu, wpadli w las i starli się z ukrytymi w zasadzce wojownikami.

Kiedy zobaczyłem, że wszyscy moi ludzie są martwi lub umierający, przebiłem się przez pierścień wrogów i zniknąłem tym malowanym diabłem z oczu. Wszędzie ich było pełno.

Biegłem, czołgałem się i przemykałem w ciemnościach między oddziałkami ścigających mnie wojowników, a czasem leżałem na

brzuchu w krzakach, gdy przechodzili obok. Próbowałem przejść przez rzekę, ale już tam na mnie czekali. Wyrąbałby sobie drogę i spróbowałbym przepłynąć pod gradem strzał, ale usłyszałem bicie bębnow i zrozumiałem z ich mowy, że wzięli kogoś żywcem. Tak byli zapatrzeni w czary Zogar Saga, że zdołałem niepostrzeżenie wspiąć się na palisadę za chatą z ołtarzem. Stał tam wojownik, który miał jej pilnować, ale zamiast tego siedział na ziemi i przyglądał się zza węgła widowisku. Zaszedłem go od tyłu i skręciłem mu kark zanim pojął co się dzieje. To jego włócznią przeszyłem gada, a ty masz jego topór.

— A co to był za stwór — ten którego zabiłeś w chacie? — spytał Balthus, otrząsając się na samo wspomnienie.

— To jeden z bożków Zogar Saga. Dziecko Jhebbal Saga, które nie pamięta i musi być trzymane na łańcuchu. Goryl. Piktowie uważają to zwierzę za wcielenie Włochatego Bóstwa z Gullah, żyjącego na księżycu. Robi się jasno. Musimy się tu ukryć, dopóki się nie uspokoi.

Pewnie będziemy musieli poczekać do zmroku.

Weszli wyżej na łagodny, pokryty plataniną drzew i krzewów zbocze. Na szczycie pagórka Conan znalazł pierścień poszarpanych głazów, porośniętych gęstymi zaroślami. Ta naturalna forteca posłużyła im za kryjówkę. Balthus nie wierzył by nawet sokole oczy Piktów mogły wypatrzyć ich ślady na skalistym gruncie, ale obawiał się zwierząt posłusznych Zogar Sagowi. Wiara, jaką początkowo pokładał w siłę magicznego symbolu osłabła nieco, lecz Conan zbył jego wątpliwości wzruszeniem ramion.

Przez gęste gałęzie sączyła się upiorna poświata; prześwitujące przez zielone sklepienie skrawki nieba zmieniły barwę z różowej na błękitną.

Wprawdzie Balthus ugasił pragnienie w napotkanym strumieniu, ale głód wciąż szarpał mu wnętrzności. Wokół panowała zupełna cisza, przerywana z rzadka lęklwym nawoływaniem ptaków. Nie było już słycać bicia bębnów. Balthus znów wrócił myślą do wydarzeń, które miały miejsce w wiosce.

— Zogar Sag nosił strusie pióra — rzekł do Conana. — Widziałem je na hełmach rycerzy, którzy przybyli ze wschodu do baronów Marchii. W tym lesie nie ma strusi, prawda?

— Pióra pochodzą z Kush — odparł zapytany. — Na zachód stąd, za stepami, jest brzeg morza. Czasem przypływają tam statki z Zingary by wymieniać z tamtejszymi szczepami broń, ozdoby i wino na skóry, miedź i złoty piasek. Czasami przywożą strusie pióra, które otrzymują od Stygijczyków, a ci otrzymują je od czarnych z Kush, krainy, która leży na południe od Stygii. Piktyjscy szamani przywiązują do tych piór niezwykłą wagę. Jednak handel z Piktami niesie pewne ryzyko. Zawsze mogą zaatakować statek, a i brzeg jest bardzo niebezpieczny dla żeglugi. Pływałem wzdłuż niego kiedy żyłem wśród piratów z Wysp Baracha, położonych na południe od Zingary. Balthus z podziwem spojrział na kompana.

— Wiem, że nie spędziłeś całego życia na pograniczu. Wspomniałeś o kilku odległych miejscach. Musiałeś dużo podróżować?

— Dotarłem daleko; dalej niż jakikolwiek inny człowiek z moich stron. Widziałem wszystkie wielkie miasta Hyborian, Shemitów, Stygijczyków i Hyrkanian. Włóczyłem się po niezbadanych krainach za południowymi granicami czarnych królestw Kush i na wschód od Morza Vilayet. Byłem kapitanem piechoty, korsarzem, kozakiem, włóczęgą bez grosza,

generałem... Do diabła! Byłem wszystkim tylko nie królem cywilizowanego kraju — ale może będę i nim zanim umrę!

Ta myśl wydawała się go bawić; uśmiechnął się lekko. Później wzruszył ramionami i wyciągnął się wygodnie na skale.

— Tak samo dobre życie jak każde inne. Nie wiem jak długo zostanę na pograniczu; tydzień, miesiąc, rok... Jestem niespokojnym duchem. Tu mi tak samo dobrze jak gdzie indziej.

Balthus usadowił się tak, by obserwować las w dole. W każdej chwili spodziewał się widoku pomalowanych twarzy dzikusów wyłaniających się z gęstwiny. Jednak mijały godziny i zalegające wokół ciszy nie mącił żaden podejrzany odgłos. Balthus osądził, że Piktowie zgubili trop i zaniechali pościgu. Conan był coraz bardziej niespokojny.

— Ich oddziały powinny przeczesywać puszcę. Jeżeli zrezygnowali z pogoni to tylko dlatego, że mają coś ważniejszego do roboty. Pewnie zbierają się by przekroczyć rzekę i uderzyć na fort.

— Myślisz, że poszliby za nami aż tutaj, gdyby było inaczej?

— Trop stracili na pewno; inaczej już siedzieliby nam na karku. Przeczesałoby lasy w promieniu wielu mil. Być może jakiś oddział przeszedł blisko nie odkrywszy wzgórza, ale większość zebrała się wokół Gwawela. Szykują się do przeprawy przez rzekę. Zaryzykujemy i spróbujemy ich wyprzedzić.

Kiedy przemykali się między skałami, Balthus czuł nieprzyjemne mrowienie między łopatkami, gdzie w każdej chwili mogła się wbić świszcząca strzała wypuszczona z gęstwiny.

Jednak Conan był przekonany, że w pobliżu nie ma nawet śladu nieprzyjaciela — i jak zwykle miał rację.

— Znajdujemy się o wiele mil na południe od wioski —

mruknął. — Teraz ruszymy prosto ku rzece. Nie wiem jak daleko dotarli Piktowie, ale miejmy nadzieję, że nie ma ich tutaj.

Pośpiesznie podążyli na wschód. Balthus uważał to za zuchwalstwo, ale Conan sądził, że piktyjscy wojownicy albo już przeprawili się przez rzekę, albo stanęli u brodu w pobliżu Gwaweli. Tę drugą możliwość uznał za bardziej prawdopodobną.

— Jakiś drwal mógłby ich zauważyć i podnieść przedwczesny alarm. Przeprowią się powyżej i poniżej fortu, poza zasięgiem wzroku strażników. Wtedy inni wsiądą do canoe i zaatakują od strony rzeki. Jak tylko uderzą, pozostałe, ukryte w lasach oddziały natrą na fort z obu stron. Raz już próbowali tej sztuczki, ale musieli się wycofać. Jednak tym razem jest ich wystarczająco dużo by im się to powiodło.

Parli naprzód bez wytchnienia, chociaż Balthus tęsknym wzrokiem spoglądał na śmigające wśród gałęzi wiewiórki, które mógł strącić na ziemię jednym rzutem topora. Z westchnieniem zacisnął szeroki pas. Wieczysta cisza i półmrok pierwotnej puszczy zaczynały mu działać na nerwy. Złapał się na myślach o otwartych przestrzeniach i skąpanych w słońcu łąkach Tauranu; o jasnych, czystych ścianach krytego strzechą, rodzinnego domu; o tłustym bydle pasącym się w gęstej soczystej trawie oraz o serdeczności tamtejszych pasterzy.

Poczuł się samotny. Conan był częścią tej leśnej głuszy w takim samym stopniu, w jakim Balthus był jej obcy. Cymmerianin mógł spędzić długie lata w wielkich miastach hyboreańskie — go świata i poznać jego władców; mógł też któregoś dnia urzeczywistnić swój kaprys i zostać królem cywilizowanego państwa — zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

Jednak nie zmieniało to faktu, że był barbarzyńcą. Obchodziły go tylko jego prymitywne potrzeby. Łagodne przyjemności i

wzruszenia spokojnego życia nie miały dla niego znaczenia. Wilk pozostaje wilkiem, nawet jeżeli kaprys losu każe mu strzec stada owiec razem z psami. Dla Conana życie składało się z rozlewu krwi, zaciekłych bitew i przemocy; nie rozumiał i nigdy nie miał zrozumieć drobnych radości tak miłych sercu cywilizowanych ludzi.

Zanim dotarli do rzeki cienie drzew zaczęły się już wydłużać. Zerknęli przez gęste krzaki.

Czarne wody toczyły się leniwie. Na milę w każdą stronę rzeka była pusta. Conan zmarszczył brwi, spoglądając na drugi brzeg.

— Musimy zaryzykować! Spróbujemy przepłynąć na drugą stronę. Nie wiem, czy Piktowie się już przeprawili, czy nie. Być może jest ich już tam pełno. Trudno, musimy podjąć takie ryzyko. Jesteśmy teraz prawie sześć mil na południe od Gwawela.

Cymmerianin okręcił się na pięcie i przykucnął w tej samej chwili gdy rozległ się brzęk napiętej cięciwy i świst przeszywającej powietrze strzały. Conan poderwał się natychmiast i jednym susem skoczył w zarośla. Balthus pochwycił okiem błysk spadającego ostrza i usłyszał przedśmiertny wrzask. Wpadł w chaszczę za swoim towarzyszem.

Na ziemi leżał Pikt z rozplataną czaszką, spazmatycznie drąc ziemię palcami. Pół tuzina innych nacierało na barbarzyńcę z mieczami i toporami w dłoniach, odrzuciwszy bezużyteczne w bezpośrednim starciu łuki. Ich pomalowane na biało dolne szczęki kontrastowały z ciemnymi twarzami, a plemienne znaki na muskularnych piersiach nie przypominały tych, jakie Balthus widział do tej pory.

Jeden z napastników cisnął toporem w Balthusa i rzucił się na niego z nożem. Taurańczyk uchylił się i chwycił za przegub

uzbrojonej ręki. Razem upadli na ziemię, tocząc się tam i z powrotem w zacieklej walce. Pikt był zwinny jak dzikie zwierzę, a jego mięśnie miały moc stalowych sprężyn. Balthus usiłował przytrzymać uzbrojone w nóż ramię i zadać decydujący cios toporem, ale szamoczący się wściekle przeciwnik udaremniał jego zamiar. Pikt trzymał go za rękę, w której dzierżył topór, gwałtownymi szarpnięciami usiłując uwolnić własne ramię i próbując kopnąć Balthusa między nogi. W chwili gdy zamierzał przerzucić nóż do wolnej ręki Aquilończyk poderwał się na jedno kolano i rozpaczliwym ciosem topora rozłupał mu głowę na dwoje.

Balthus skoczył na równe nogi, szukając wzrokiem towarzysza, spodziewając się, że ujrzy go powalonego przez przeważających liczebnie wrogów. Dopiero wtedy uświadomił sobie w pełni siłę i zręczność Cymmerianina. Conan stał okrakiem nad ciałami dwóch napastników, przeciętych na pół jednym straszliwym cięciem szerokiego miecza. Na oczach zdumionego Balthusa barbarzyńca odparował pchnięcie mieczem, z kocią zwinnością uniknął ciosu toporem skacząc w bok, do Pikta, który schylał się po upuszczony łuk. Zanim wojownik zdołał się wyprostować, zbroczone ostrze opadło jak błyskawica, rozrąbując bark od ramienia do piersi, gdzie uwięzło. Pozostali wojownicy skoczyli na Cymmerianina z dwóch stron.

Celnym rzutem topora Balthus zmniejszył liczbę atakujących do jednego, a Conan, zaniechawszy beznadziejnych prób wyrwania miecza z ciała zabitego, odparł atak gołymi rękami. Wojownik, który na niego natarł, był o głowę niższy, ale przysadzisty i uzbrojony w topór i nóż. Wąskie ostrze prysnęło na kolczudze Cymmerianina, a topór zatrzymał się w powietrzu,

bo stalowe palce barbarzyńcy zamknęły się jak stalowy potrzask na ramieniu wymachującego nim wojownika. Rozległ się głośny trzask pękających kości; Pikt wrzasnął i zwiotczał. W następnej chwili Conan podniósł szamoczącego się i wierzgającego wojownika nad głowę, potrzymał go przez moment w powietrzu, po czym cisnął o ziemię z taką siłą, że Pikt potoczył się i legł nieruchomo z połamanymi żebrami i kręgosłupem.

— Chodźmy! — rzekł Conan, podnosząc topór i wyszarpując ostrze z ciała zabitego. — Weź łuk i trochę strzał. Pośpiesz się! Musimy pędzić ile sił w nogach. Te wrzaski było słyhać w całej puszczy. Za chwilę zaroi się tu od Piktów. Gdybyśmy teraz próbowali przepłynąć rzekę, to naszpikowaliby nas strzałami zanim dotarlibyśmy na drugi brzeg.

..6..

CZERWONE TOPORY

Conan nie zagłębił się zbyt daleko w las. Kilkaset jardów dalej zmienił kierunek ich ucieczki i ruszył równolegle do biegu rzeki. Balthus rozumiał rozpaczliwą decyzję Cymmerianina. Nie mogli dać się odpędzić od rzeki, którą musieli przepłynąć by ostrzec ludzi w forcie. W dali rozległy się dzikie wrzaski. To Piktowie odnaleźli polankę, gdzie leżały trupy ich współplemieńców. Przybliżające się okrzyki świadczyły o tym, że dzicy natychmiast ruszyli w pościg. Dwaj towarzysze uciekając w pośpiechu zostawiali wyraźny ślad.

Conan przyśpieszył kroku, a Balthus zacisnął zęby i trzymał się tuż za nim, chociaż miał wrażenie, że zaraz upadnie. Wydawało mu się, że od wieków nic nie jadł. Biegł tylko dzięki sile woli. W uszach szumiało mu tak mocno, że nawet nie usłyszał kiedy wrzaski ucichły nagle.

Cymmerianin zatrzymał się. Balthus oparł się o drzewo i dyszał ciężko.

— Zrezygnowali! — mruknął wreszcie, zmarszczywszy brwi.

— Skradają się! — wydusił z siebie Balthus. Conan potrząsnął głową.

— Nie. Wrócili. Wydawało mi się, że ktoś ich zawołał i dopiero wtedy wycia ucichły. Ktoś odwołał pościg. Dla nas to dobrze, ale dla ludzi w forcie — nie. To oznacza, że wojownicy szykują się do ataku. Ci, na których wpadliśmy, należeli do jednego ze szczepów mieszkających w dole rzeki. Niewątpliwie zmierzali do Gwawela by przyłączyć się do atakujących. Niech to diabli, jesteśmy już prawie zbyt daleko od fortu! Jeżeli chcemy zdążyć musimy się szybko przedostać na drugi brzeg. Zwróciwszy się na wschód,

Conan pośpiesznie gnał przez gąszcz, nawet nie próbując zacierać swoich śladów. Balthus deptał mu po piętach, dopiero teraz czując pieczenie w miejscach, gdzie paznokcie Pikta rozorały mu skórę.

Aquilończyk zanurzał się już w gęste krzaki na brzegu rzeki, gdy Cymmerianin chwycił go za ramię. Usłyszeli rytmiczny plusk i zerkając przez zielone listowie ujrzeli podążające w górę rzeki canoe. Siedzący w nim wiosłarz walczył zawzięcie z silnym prądem. Silnie zbudowany, smagłoskóry, nosił miedzianą obręcz przytrzymującą czarną grzywę prosto przyciętych włosów i wetknięte za nią białe pióro czapli.

— To wojownik z Gwawela — szepnął Conan. — Wysłannik Zogar Saga. Świadczy o tym białe pióro. Zaniósł posłanie pokoju do szczepów w dole rzeki, a teraz próbuje wrócić na czas i wziąć udział w bitwie.

Tymczasem samotny Pikt znalazł się na wysokości miejsca, gdzie krył się Conan z Balthusem. Ten ostatni niemal wyskoczył ze skóry, kiedy tuż nad jego uchem rozległy się gardłowe dźwięki piktyjskiej mowy. To Cymmerianin zawołał Pikta w jego własnym języku.

Wojownik drgnął, wbił wzrok w zarośla i krzyknąwszy coś, rzucił wystraszone spojrzenie na sąsiedni brzeg, po czym pochylił się nisko i skierował łódź ku ukrytym w krzakach pogranicznikom. Conan wyjął łuk z ręki zdeorientowanego Balthusa i nałożył strzałę na cięciwę.

Pikt płynął teraz przy samym brzegu, szukając wzrokiem niewidocznego pobratymcy.

Krzyknął coś półgłosem. W odpowiedzi z krzaków świsnęła śmiercionośna strzała i wbiła mu się w pierś po sam bełt. Dzikus ze zduszonym jękiem przechylił się w bok i zwałił za burtę, w

płytką wodę. Conan wypadł na brzeg i brnąc po kolana w wodzie, chwycił dryfujące canoe.

Oszołomiony Balthus poszedł w jego ślady i wgramolił się do łódki. Cymmerianin chwycił wiosło i potężnym uderzeniem skierował dziób canoe w stronę drugiego brzegu. Balthus patrzył z podziwem na grające pod opaloną skórą mięśnie towarzysza. Nie znający zmęczenia barbarzyńca wydał mu się człowiekiem z żelaza.

— Co powiedziałeś temu Piktowi? — spytał.

— Ostrzegłem go, że na drugim brzegu czai się łucznik, który chce go ustrzelić.

— To nie w porządku — rzekł Balthus. — On myślał, że to przyjacielska rada. Udawałeś Pikta tak dobrze.

— Potrzebna nam była jego łódź — mruknął Conan. — Nie widziałem innego sposobu by ściągnąć go bliżej. Co gorsze — oszukać Pikta, który z radością obdarłby nas żywcem ze skóry, czy zawieść ludzi za rzeką, których życie spoczywa w naszych rękach?

Balthus przez chwilę przeżuwał w myślach ten problem etyczny, po czym wzruszył ramionami i rzekł: — Jak daleko jesteśmy od fortu?

Conan wskazał na strumyk wpadający do Czarnej Rzeki ze wschodu, kilkaset jardów w dół rzeki od miejsca, w którym się znajdowali.

— To Strumień Południowy; dziesięć mil od fortu. Jesteśmy przy południowych granicach Conajohary. Dalej rozpościerają się całe mile bagnisk. Nie ma obawy by uderzyli z tej strony.

Dziewięć mil w górę rzeki stąd Strumień Północny tworzy drugą linię graniczną. Tam też są bagna. Właśnie dlatego atak musi przyjść z zachodu, przez Czarną Rzekę. Conajohara ma

kształt włóczni z dziewiętnastomilowym grotem, wbitym w terytorium Piktów.

— Dlaczego nie popłyniemy do fortu rzeką, skoro mamy już canoe?

— Ponieważ ze względu na silny prąd, który musielibyśmy pokonywać i liczne zakręty, szybciej dotrzemy tam piechotą. Ponadto pamiętaj, że po drodze mijamy Gwawela; jeżeli Pikto — wie przepływają się na drugą stronę, to moglibyśmy wpaść prosto w ich ręce.

Kiedy przeprawili się na drugi brzeg, zaczynało już zmierzchać. Nie zatrzymując się nawet na chwilę, Conan zwałowo ruszył na północ; Balthus z trudem dotrzymywał mu kroku.

— Vallanus chciał wybudować dwa forty: przy ujściu Strumienia Północnego i Południowego — mruknął Cymmerianin. — Wtedy mysz by się nie prześliznęła przez granicę. Ale doradcy króla nie pozwolili na to. Tłusci głupcy wylegujący się na aksamitnych poduszkach z nagimi dziewczkami podającymi im na kolanach wino — znam ten typ ludzi. Nie widzą dalej niż ściany własnego pałacu. Dyplomaci — niech ich diabli! Walczą z Piktami przy pomocy teoryjek o ekspansji terytorialnej. Vallanus i jemu podobni muszą słuchać rozkazów tej bandy idiotów. Nigdy już nie zagarną innych piktyjskich ziem, tak samo jak nie odbudują Venarium. I może przyjdzie czas, że barbarzyńcy staną u bram ich wspaniałych miast!

Tydzień wcześniej Balthus wyśmiałby takie nieprawdopodobne twierdzenia. Teraz milczał.

Widział nieposkromioną odwagę dzikich wojowników. Zadrzał, rzucając spojrzenie na toczące się wolno, ciemne wody i zwieszające się nad nimi gałęzie drzew. Pamiętał o tym, że Piktowie mogli już przepłynąć się na ten brzeg i czekać gdzieś w

zasadzce. Zmierzch zapadał szybko.

Cichy szmer sprawił, że serce podskoczyło Taurariczykowi do gardła. Conan błysnął wzniesionym do ciosu mieczem, lecz opuścił go na widok wielkiego, wychudłego i poznaczonego bliznami psa, który wyszedł na ścieżkę.

— To pies osadnika, który chciał zbudować chatę na brzegu rzeki, kilka mil na południe od fortu — rzekł Conan. — Piktowie zabili go, oczywiście, i spalili chatę. Przy zgliszczach znaleźliśmy tego psa leżącego wśród Piktów, których zagryzł. Porąbali go prawie na kawałki.

Zabraliśmy psa do fortu i opatrzyliśmy mu rany, ale kiedy wydobrzezał uciekł do lasu i zdziczał.

I co, Siekacz, polujesz na tych, którzy zabili ci pana?

Masywny łeb psa zakołysał się lekko, a zielone ślepia zmrużyły się w dziwnie złowrogim grymasie. Zwierzę nie szczeknęło i nie warczało. Cicho jak duch stanęło obok Balthusa i Conana.

— Niech idzie z nami — rzekł Cymmerianin. — Zwęszy ciemnoskórych diabłów zanim my zdołamy ich dostrzec.

Balthus uśmiechnął się i delikatnie położył rękę na głowie psa. Instynktownie ściągnięte wargi obnażyły lśniące kły zwierzęcia; potem wielki łeb pochylił się nieco, a ogon zadrgał niepewnie, jakby jego właściciel zapomniał o takich odruchach. Balthus porównał w myślach to olbrzymie zwierzę z tłustymi psami o gładkim futrze, kłębiącymi się w psiarni ojca.

Westchnął. Pogranicze było równie okrutne dla ludzi, co i dla zwierząt. Ten pies prawie zapomniał co oznacza przyjaźń z człowiekiem.

Siekacz wysunął się naprzód i Conan nie wyraził żadnego sprzeciwu. Ostatnie promienie słońca zgasły gdzieś za górami, pozostawiając kompletną ciemność. Spiesznie pokonywali milę

za milą. Pies wydawał się niemym stworzeniem. Nagle stanął w miejscu, czujnie nastawiając uszu. Conan i Balthus także to usłyszeli — demoniczne wycie niosące się po wodzie w dół rzeki. Conan zaklął wściekle.

— Zaatakowali fort! Spóźniliśmy się! Chodź! Pomknął jak strzała nie zważając na nic, wierząc, że pies zwęszy ewentualną zasadzkę. W przypiływie emocji Balthus zapomniał o głodzie i zmęczeniu. W miarę jak się zbliżali, wycie stawało się coraz głośniejsze i coraz wyraźniej słyszeli okrzyki żołnierzy. Kiedy Balthus zaczął się już niepokoić, że pędzą wprost na dzikusów, Conan zatoczył szeroki łuk, który wyprowadził ich na łagodne wzniesienie, z którego mogli się dobrze przyjrzeć wszystkiemu. Zobaczyli fort, oświetlony pochodniami wystawionymi na długich tykach poza parapety strzelnic. W ich migotliwym, niepewnym świetle ujrzeli setki nagich, pomalowanych na wojenne barwy wojowników. Na rzece było gęsto od łodzi. Piktowie zupełnie otoczyli fort.

Nieustanny deszcz wysyłanych z lasu i łodzi strzał spadał na palisadę. Brzęk cięciw zagłuszył wrzaski. Wyjąc jak stado wygłodniałych wilków, kilkuset nagich wojowników wybiegło spomiędzy drzew i z toporami w dłoniach pognało do palisady. Kiedy znaleźli się o sto pięćdziesiąt jardów od niej, chmura wystrzelonych przez obrońców strzał usłała ziemię trupami i zmusiła pozostałych do pośpiesznego odwrotu. Wojownicy w łodziach również skierowali się ku palisadzie, lecz zostali przywitani nie tylko gradem strzał, ale i pociskami z małych balist, zamocowanych na drewnianych platformach. Kamienie i belki śmigały w powietrzu, druzgocząc i zatapiając pół tuzina łodzi wraz z załogami, a inne zmuszając do ucieczki. Obrońcy fortu wydali donośny okrzyk tryumfu; ze wszystkich stron

odpowiedziało im przeraźliwe wycie dzikich.

— Spróbujemy się przebić? — spytał niecierpliwie Balthus. Cohan potrząsnął głową. Stał lekko pochylony, z rękami założonymi na piersiach.

— Nie. Fort jest już stracony. Piktowie oszaleli z żądzą krwi; można ich powstrzymać tylko zabijając wszystkich. A jest ich zbyt wielu, by żołnierze w formie zdołali tego dokonać.

Nie udałoby się nam nawet przedrzeć, a gdyby nawet, nie moglibyśmy zrobić nic więcej, jak zginąć razem z Vallanusem.

— A więc możemy tylko ratować własną skórę?

— Też nie. Musimy ostrzec osadników. Wiesz dlaczego Piktowie nie próbują podpalić fortu ognistymi strzałami? Nie chcą wzniecać ognia, żeby dym nie ostrzegł ludzi na wschodzie. Chcą zdobyć fort i uderzyć wzdłuż drogi do Yelitrium, zanim ktokolwiek się zorientuje w sytuacji. Wtedy mogliby nawet przekroczyć Rzekę Gromu i wziąć Velitrium zanim Aquilończycy się opamiętają. W każdym razie zabiją każdą żywą istotę między fortem a rzeką. Wprawdzie nie udało nam się ostrzec Vallanusa, lecz teraz widzę, że to i tak niczego by nie zmieniło. Jeszcze kilka takich szturmów i Piktowie wedrą się do fortu. Jednak powinniśmy ocalić osadników. Chodź! Jesteśmy poza pierścieniem okrążenia. Trzymajmy się od niego z daleka.

Zatoczyli szeroki łuk, nasłuchując rosnących i zamierających wrzasków znaczących każdy szturm odparty przez obrońców. Załoga fortu trzymała się dzielnie, ale wściekłość Piktów nie słabła. W ich wyciu słyhać było pewność zwycięstwa.

Zanim Balthus zorientował się, wyszli na szeroki trakt, wiodący na wschód.

— Teraz biegiem! — nakazał Conan.

Balthus zacisnął zęby. Do Velitrium było dziewiętnaście mil, a

do pierwszych zabudowań osadników dobre pięć. Aquilończykowi wydawało się, że już od wieków biega z Conanem po puszczy. Jednak nerwowe napięcie dodawało mu sił.

Siekacz biegł przed nimi z nisko pochylonym łbem. Nagle warknął cicho — po raz pierwszy od kiedy go spotkali.

— Przed nami Piktowie! — mruknął Conan, przyklękając na moment i badając ślady w blasku gwiazd. Potrząsnął głową, zbity z tropu. — Nie wiem ilu. Raczej niewielu. To ci, którym się nie chciało czekać na zdobycie fortu. Poszli naprzód by mordować śpiących osadników! Musimy się spieszyć!

Przed sobą ujrzeli nikłą poświatę i usłyszeli dzikie wrzaski. Szlak zakręcał w tym miejscu, więc skrócili sobie drogę idąc przez zarośla. Po chwili zobaczyli okropny widok. Na drodze stał wóz zaprzężony w muły, wiozący różne przedmioty potrzebne w gospodarstwie. Wóz palił się, a muły leżały z popodrzynanymi gardłami obok zmasakrowanych ciał młodej pary.

Pięciu Piktów wymachując zakrwawionymi toporami tańczyło taniec zwycięstwa wokół swych ofiar; jeden z nich nałożył zdartą z kobiety koszulę.

Balthusowi czerwone płatki zawirowały przed oczami. Napiął łuk, wymierzył w podskakującą postać i zwolnił cięciwę. Morderca wyprężył się konwulsyjnie i padł ze strzałą w sercu. W następnej chwili obaj kompani skoczyli na pozostałych czterech dzikusów.

Conanem powodowała nie tylko żądza walki, ale i zapiekła nienawiść do odwiecznego wroga, natomiast Balthus oszalał z wściekłości widząc zwłoki ziomków.

Potężnym ciosem topora rozłupał czerep pierwszemu Piktowi, jaki stanął mu na drodze i przeskakując przez padające ciało

rzucił się na następnego. Jednak spóźnił się trochę, bo Conan zdążył już zabić jednego wroga i zanim Balthus zdążył opuścić topór, dzikus runął na ziemię przeszyty mieczem barbarzyńcy. Zwracając się ku ostatniemu wojownikowi, Balthus ujrzał go leżącego z rozszarpanym gardłem. Siekacz stał nad nim szczerząc zakrwawione kły.

Bez słowa patrzyli na zmasakrowane ciała podróżnych. Oboje byli bardzo młodzi; kobieta niewiele starsza od dziecka. Zrzędzeniem losu Piktowie zostawili jej twarz nietkniętą; była piękna nawet w chwili śmierci. Jednak jej młode ciało zostało okrutnie zmasakrowane ciosami noży. Patrzącego na to Balthusa coś ścisnęło za gardło. Ogarnięty głębokim żalem miał ochotę sięść na ziemi i zapłakać.

— Młoda para chcąca się usamodzielnąć — powiedział Conan, beznamiętnie ocierając ostrze swego miecza. — Podążali do fortu, gdy napadli ich Piktowie. Chłopak pewnie chciał się zaciągnąć, albo osiąść nad rzeką. Taki los czeka każdego mężczyznę, kobietę lub dziecko po tej stronie granicy, jeżeli szybko nie znajdą się w Velitrium.

Na uginających się nogach Taurańczyk podążył za Conanem. Ten szedł pewnie, długim, elastycznym krokiem. Istniało jakieś nieuchwytnie podobieństwo między nim, a wielkim, wychudzonym zwierzęciem pomykającym obok niego przez gąszcz. Siekacz już nie warczał i nie nastawiał uszu. Najwidoczniej w pobliżu nie było smągłoskórych wojowników.

Znad rzeki wciąż dobiegały wrzaski i Balthus osądził, że fort jeszcze się broni. Conan zatrzymał się nagle, klnąc siarczyście.

Pokazał Aquilończykowi szlak odchodzący na północ od głównego traktu. Zarośla porastające wąską ścieżkę nie zdążyły się jeszcze wyprostować. Cymmerianin spojrział na głęboko

odciśnięte, szerokie szlaki kół w miejscu, gdzie wozy skręciły z głównej drogi.

— To osadnicy. Pojechali po sól — mruknął. — Do słonego jeziora, leżącego jakieś dziewięć mil stąd, na skraju bagien. Niech to diabli! Wyrzną ich do nogi! Słuchaj! Jeden człowiek wystarczy by ostrzec rodziny osadników. Pobiegniesz, pobudzisz wszystkich i poprowadzisz do Velitrium. Ja spróbuję dostać się do tych przy solance. Z pewnością obozują przy jezioru. Nie wrócimy drogą, ale pójdziemy prosto przez las.

Bez dalszych komentarzy Conan zszedł ze szlaku i pośpieszył wąską ścieżką, a Balthus, odprowadziwszy go długim spojrzeniem ruszył w swoją stronę. Pies został z nim, cicho podążając przy nodze. Po kilku krokach Taurańczyk usłyszał jego głucho warczenie. Okręcił się na pięcie i spojrzał na rozdroże, gdzie rozstał się z towarzyszem. Drgnął, widząc dziwne, niesamowite światło znikające w lesie, w tym samym kierunku, w jakim udał się Cymmerianin. Siekacz warczał wściekle, jeząc sierść i wybałuszając zielone, płonące ślepie.

Balthus przypomniał sobie ponurą zjawę, która właśnie gdzieś tutaj porwała głowę Tiberiasa — i zawahał się. Widmo najwidoczniej tropiło Conana. Jednak gigantyczny Cymmerianin kilkakrotnie udowodnił, że sam umie zadbać o siebie, a poza tym Taurańczyk czuł, że jego obowiązkiem jest K ostrzec bezbronnych ludzi, nie spodziewających się nadciągającego niebezpieczeństwa. Koszmarny widok dwojga zmasakrowanych ludzi przytłumił obawę o los kompana.

Pomknął drogą, przekroczył strumień i wreszcie zobaczył przed sobą pierwszą chatę osadnika — długi, niski budynek z nieociosanych bali. Po chwili stanął na progu i załomotał w drzwi. Senny głos zapytał o co mu chodzi.

— Wstawać! Piktowie przeszli przez rzekę!

Te słowa wywołały natychmiastowy skutek. W chacie rozległ się cichy krzyk przerażenia i drzwi otworzyły się, ukazując stojącą w nich kobietę w skąnym stroju. Długie włosy w nieładzie opadały na jej nagie ramiona; w jednej ręce trzymała świecę, a w drugiej lekki topór.

Jej twarz była biała jak kreda, a oczy rozszerzone ze strachu.

— Wchodź! — zaprosiła. — Będziemy się bronić.

— Nie. Musimy dotrzeć do Velitrium. Fort długo się nie utrzyma. Może już go zdobyli.

Nie trać czasu na ubieranie się. Łap dzieci i chodź.

— Ale mój mąż! Pojechał z innymi po sól! — jęknęła, załamując ręce. Zza jej pleców wyglądało troje dzieci — zaspanych i rozczochranych.

— Conan pobiegł ich ostrzec. Poprowadzi ich do Velitrium przez las. My musimy się pośpieszyć i ostrzec innych.

Na jej twarzy odmalowała się ulga.

— Dzięki ci, Mitro! — krzyknęła. — Jeżeli Cymmerianin jest z nimi, to z pewnością wyprowadzi ich z puszczy!

Budząc się do życia porwała najmłodsze dziecko na ręce i razem ze starszymi opuściła chatę. Balthus wziął od niej świeczkę i zgasił, wdeptując w ziemię obcasem. Nasłuchiwał przez chwilę. Od drogi nie dolatywał najlżejszy nawet dźwięk.

— Czy masz konia?

— W stajni — jęknęła. — Och, szybciej!

Trzęsącymi się rękami gmerała przy ryglu. Balthus odsunął ją na bok, wyprowadził konia i posadził dzieci na jego grzbiecie, każąc trzymać się grzywy i siebie nawzajem. Patrzyły na niego poważnie, bez cienia uśmiechu czy płaczu. Kobieta wzięła konia za uzdę i ruszyła w drogę. Wciąż ścisnęła w drugiej ręce topór i

Aquilończyk wiedział, że osaczona będzie walczyć z rozpacziwą odwagą pantery.

Szedł za nią nasłuchując. Gnębiła go myśl, że fort został już wzięty szturmem; że hordy dzikich pędzą już drogą do Velitrium, pijane żądzą krwi i mordy. Spadną na bezbronnych jak stado wygłodniałych wilków.

Wreszcie zobaczyli przed sobą następną chatę. Kobieta zamierzała krzyknąć ostrzegawczo, ale Balthus nie pozwolił jej na to. Podeszedł do drzwi i załomotał. Odpowiedział mu kobiecy głos. Powtórzył ostrzeżenie i niebawem z chaty wyskoczyli mieszkańcy: staruszka, dwie kobiety i czwórka dzieci. Tak jak poprzednio, ich mężowie dzień wcześniej udali się po sól, nie podejrzewając wcale niebezpieczeństwa. Jedna z kobiet była oszołomiona, druga zaś bliska hysterii. Jedyne staruszka, dzielna weteranka pogranicza, uciszyła ją ostro; pomogła mu wyprowadzić dwa konie z komórki przy budynku i wsadzić na nie dzieciaki. Balthus nalegał, żeby sama wsiadła na konia, ale ona tylko potrząsnęła głową i kazała jechać jednej z młodych kobiet.

— Jest w ciąży — mruknęła. — Ja mogę iść, a jeżeli będzie trzeba, to i walczyć.

Gdy ruszali jedna z kobiet powiedziała: — Tuż przed zmrokiem przejeżdżała tędy młoda para; radziliśmy im, żeby spędzili noc w naszej chacie, ale chcieli dotrzeć jeszcze dziś do fortu. Czy...?

— Spotkali Piktów — odparł krótko Balthus i dziewczyna jęknęła ze zgrozą.

Ledwo oddalili się trochę od chaty, gdy gdzieś z tyłu rozległo się przeciągłe, odrażające wycie.

— Wilki! — wykrzyknęła jedna z kobiet.

— Pomalowane i z toporami w dłoniach — mruknął Balthus.
— Dalej! Obudźcie wszystkich wzdłuż drogi i zabierzcie ze sobą.
Będę was osłaniał.

Stara kobieta bez słowa popędziła swoje podopieczne. Gdy znikali w ciemnościach Balthus dostrzegł jeszcze białe owale dziecięcych twarzy, spoglądające na niego z końskiego grzbietu. Przypomniawszy sobie swoją rodzinę w Tauranie i na chwilę ogarnęła go bolesna tęsknota. Ogarnięty słabością usiadł z jękiem na drodze. Muskularnym ramieniem objął potężny kark Siekacza; poczuł na twarzy wilgotne dotknięcie psiego jęzora.

Podniósł głowę i uśmiechnął się z wysiłkiem.

— Chodź, stary — powiedział wstając. — Mamy coś do zrobienia.

Nagle zobaczył czerwony blask ognia wśród drzew. Piktowie podpalili chatę osadnika.

Balthus wyszczerzył zęby w uśmiechu. Jakże pieniełby się Zogar Sag gdyby wiedział, że jego wojownicy dali upust swym niszczycielskim instynktom. Łuna ostrzeże innych. Mieszkańcy dalej leżących chat zbudzą się i będą gotowi kiedy dotrą do nich pierwsi uciekinierzy. Jednak wciąż trapiły go niewesołe myśli. Kobiety poruszały się zbyt wolno, podążając pieszo lub na objuczonych koniach. Zanim przejdą milę, szybkocondzy Piktowie dogonią ich — chyba że...

Zajął pozycję za stertą kłoców drewna leżących przy trakcie. Łuna pożaru oświetlała drogą z zachodu i kiedy Piktowie nadciągnęli zobaczył ich pierwszy; czarne, ruchliwe sylwetki na tle różowej poświaty. Napiął łuk, wypuścił strzałę i jedna z figurek upadła. Reszta wtopiła się w las po obu stronach drogi. Pies skomlił cicho, ogarnięty żądzą mordy. Między drzewami na poboczu szlaku pojawił się czarny cień skradającego się

wojownika. Siekacz wyskoczył z ukrycia i długim susem wpadł w gąszcz. Krzaki zatrzęsły się gwałtownie i po chwili pies wrócił do Balthusa — z zakrwawionym pyskiem.

Piktowie nie wychodzili już na drogę. Balthus obawiał się, że przekradają się lasem.

Słyszając szmer z lewej, wypuścił strzałę na oślep. Zaklął pod nosem, słyszając jak pocisk wbija się w pień, lecz Siekacz pomknął jak duch i za moment powietrze przeszył wrzask agonii.

Pies wrócił natychmiast i otarł się przyjaźnie o ramię przyczajonego Aquilończyka. Krew z długiej rany na boku zlepiła mu sierść, ale Piktowie wycofali się.

Wojownicy kryjący się w krzakach domyślili się widocznie jaki los spotkał ich towarzysza i zdecydowali, że otwarty atak będzie lepszy niż narażanie się na spotkanie z niewidzialną bestią. Może domyślali się, że za kłodami kryje się tylko jeden człowiek; w każdym razie całą gromadą wypadli z gęstwiny i pomknęli ku Balthusowi. Trzech padło przeszytych strzałami i pozostali dwaj zawahali się. Jeden zawrócił i uciekł drogą, lecz drugi przeskoczył stertę drzewa i — błyskając białymi zębami i białkami oczu — zamachnął się toporem. Balthus zerwał się na równe nogi, ale potknął się ó jeden z bali. To uratowało mu życie. Spadające ostrze musnęło mu włosy i Pikt, straciwszy równowagę, potoczył się po ziemi. Zanim zdołał się podnieść, Siekacz rozszarpał mu gardło.

Nastąpił długi okres napiętego oczekiwania. Balthus zastanawiał się czy wojownik, który uciekł, był ostatnim członkiem bandy. Najwidoczniej natknął się na niewielką grupkę wojowników, którzy zrezygnowali z udziału w bitwie o fort, lub też podążali na czele większego oddziału. Pocieszała go myśl, że z każdą upływającą chwilą rosły szansę kobiet i dzieci

uciekających do Velitrium.

Nagle, bez ostrzeżenia, grad strzał ze świstem spadł wokół jego kryjówki. Wzdłuż leśnej drogi podniosły się przeraźliwe wycia. Ostatni Pikt musiał pobiec po posiłki, albo przypadkiem natknął się na inny oddział. Chata osadnika wciąż płonęła rozpraszając nieco mroki nocy. Chmara wojowników ruszyła na Aquilończyka, kryjąc się za grubymi pniami.

Balthus wypuścił ostatnie trzy strzały i odrzucił zbyteczny łuk. Jakby wyczuwając to, Piktowie umilkli nagle i z tupotem bosych stóp skoczyli ku niemu.

Balthus mocno uścisnął łeb wielkiego psa, wiercącego się u jego boku i mruknął: Dobra, daj im bobu! — po czym zerwał się na równe nogi i wzniósł topór nad głową. Banda wymachujących nożami i toporami dzikusów dotarła do sterty drzewa i runęła na Aquilończyka.

..7..

OGNISTY DEMON

Porzucając szlak wiodący do Velitrium, Oonan przygotował się na dziewięciomilowy bieg. Jednak nie przebył jeszcze czterech mil, gdy usłyszał przed sobą odgłosy świadczące o zbliżaniu się grupki ludzi. Z hałasu jaki czynili wywnioskował, że nie mogą to być Piktowie.

Pozdrowił ich okrzykiem.

— Kto tam? — zapytał szorstki głos. — Nie ruszaj się z miejsca, albo naszpikujemy cię strzałami!

— W tych ciemnościach nie trafiłbyś słonia — rzucił niecierpliwie Cymmerianin. — Chodźcie tu, głupcy; to ja: Conan. Piktowie przeszli przez rzekę.

— Tak podejrzewaliśmy — odparł przywódca małej gromadki roślących i barczystych Aquilończyków. — Jeden z nas zranił antylopę i szedł za nią prawie do Czarnej Rzeki.

Usłyszał ich wrzaski i pobiegł do obozu. Zostawiliśmy wozy i sól, puściliśmy muły w las i natychmiast ruszyliśmy z powrotem. Jeżeli Piktowie szturmują fort, to inne oddziały zaatakują nasze chaty wzdłuż drogi.

— Wasze rodziny są bezpieczne — — mruknął Conan. — Mój towarzysz pobiegł by wszystkich ostrzec i zaprowadzić do Velitrium. My musimy iść lasem. Jeżeli wyjdziemy na trakt, możemy wpaść na główne siły nieprzyjaciela. Idźcie. Będę was osłaniał.

Po chwili cała gromada maszerowała na południe. Conan szedł nieco wolniej, trzymając się z tyłu. W duchu klął osadników za hałas jaki robili idąc; taka sama grupa Piktów lub Cymmerian przemknęłaby przez las nie czyniąc więcej zamieszania niż wiatr

wiejący wśród gałęzi.

Właśnie przechodził przez małą polankę, gdy instynktownie wyczuł, że ktoś go śledzi.

Odwrócił się błyskawicznie i zamarł w bezruchu. Odgłosy umykających osadników ucichły w dali. Nagle usłyszał słabe wołanie dochodzące z kierunku, z którego przyszedł.

— Conanie! Conanie! Zaczekaj na mnie!

— Balthus! — wykrzyknął z niedowierzaniem i dodał trochę ciszej. — Tu jestem!

— Zaczekaj na mnie, Conanie! — głos wyraźnie przybliżał się. Marszcząc brwi, Cymmerianin wyszedł z krzaków.

— Co tu robisz, do diabła...? Na Croma!

Barbarzyńca cofnął się, zdjęty nagłym przestrawem. To nie Balthus wyłaniał się z zarośli.

Przez listowie przebijała dziwna poświata. Wolno płynęła do Cymmerianina, jarząc się upiornie zielonym, magicznym ogniem.

Zjawa zatrzymała się kilka stóp przed Conanem, który daremnie wycęzał wzrok, próbując rozróżnić jej niewyraźne kształty. Pełzające płomienie kryły jakąś postać; zielonkawa poświata była tylko zasłoną okrywającą jakąś nieziemską istotę — lecz Cymmerianin nie mógł jej przeniknąć spojrzeniem. Wtem zaszokowany barbarzyńca usłyszał głos wydobywający się z głębi ognistego obłoku, — Czemu stoisz jak wół czekający na rzeź, Conanie? Stwór mówił wprawdzie głosem człowieka, ale pobrzmiwały w nim dziwnie nieludzkie tony.

— Wół!? — wściekłość przemogła chwilowy przestraw Conana. — Myślisz, że boję się jakiegoś nędznego, bagiennego diabła? Słyszałem głos przyjaciela.

— To ja zawołałem cię jego głosem — odparła zjawa. —

Ludzie, którzy idą przed tobą, należą do mego brata; nie odbiorę mu przyjemności wytoczenia z nich krwi. Ale ty jesteś mój! O głupcze, przybyłeś tuz dalekich, szarych gór Cymmerii by znaleźć śmierć w leśnych ostępach Conajohary!

— Miałeś już wcześniej okazję — warknął Conan. — Dlaczego nie próbowałeś mnie zabić wtedy?

— Mój brat nie pomalował dla ciebie ludzkiej czaszki na czarno i nie wrzucił jej do ognia, który płonie wiecznie na ołtarzu Gullah. Nie szeptał twego imienia czarnym duchom zamieszkującym Krainy Ciemności. Lecz później nad Wzgórzami Zmarłych przeleciał nietoperz i krwią nakreślił twój wizerunek na skórze białego tygrysa wiszącej przed długą chatą Czterech Braci Nocy. U ich stóp wiją się wielkie węże, a w ich włosach gwiazdy płoną jak iskry ognisk.

— I czemu to bogowie ciemności skazali mnie na śmierć? — warknął Cymmerianin.

Z płonącej mgły wyciągnęła się jakaś szponiasta łapa i nakreśliła na ziemi zawiły rysunek.

Znak błysnął i znikł, ale Conan zdążył go rozpoznać.

— Ośmieliłeś się użyć znaku jaki tylko kapłani Jhabbal Saga ośmielają się kreślić. Grom przetoczył się nad Wzgórzami Zmarłych i ofiarną chatę Gullah wywrócił wicher wiejący z Otchłani Duchów. Nadleciał kruk, który jest posłańcem Czterech Braci Nocy i wyszeptał mi do ucha twoje imię. Tutaj kończy się twoja droga. Jesteś już martwy. Twoja czaszka zawiśnie przy ołtarzu mego brata. Twoje ciało pożrą czarno — skrzydłe, ostrodziobe Dzieci Jhila, — Kim jest twój brat, do diabła? — spytał Conan. Trzymając w jednej ręce obnażony miecz, drugą nieznacznie sięgał po topór.

— Mój brat to Zogar Sag; potomek Jhabbal Saga, który wciąż

odwiedza swe świątynie.

Kobieta z Gwawela nocowała raz w jednym z jego grobowców i urodziła Zogar Saga. Ja również jestem synem Jhabbal Saga, zrodzonym z ognistego łona w innym świecie. Zogar wezwał mnie z Ziem Mroku. Zaklęciami i magią własnej krwi zmaterializował mnie na swojej planecie. Związani niewidzialnymi więzami, jesteśmy jednością. Jego myśli są moimi myślami; gdy ktoś uderzy jego, ja również czuję ból. Jeśli ja się zranię, on też krwawi. Jednak powiedziałem już dość. Niebawem twój duch będzie rozmawiał z duchami Ziem Mroku i one opowiedzą ci o dawnych bogach, którzy nie śpią, lecz spoczywając w niezgłębionych otchłaniach oczekują czasu swego powrotu.

— Chciałbym zobaczyć jak naprawdę wyglądasz — mruknął Conan wydobywając topór zza pasa. — Ty, który zostawiasz ptasie ślady, płoniesz jak ogień i mówisz ludzkim głosem.

— Ujrysz mnie — odparł głos z płomieni — ujrysz i zabierzesz ten widok ze sobą do Ziem Mroku.

Płomienie buchnęły i przygasły, chwiejąc się i migocąc. Z ognia wyłonił się niewyraźny kształt. Z początku Conanowi wydawało się, że to sam Zogar Sag stoi przed nim w płaszczu płomieni. Jednak ta postać była większa — i miała w sobie coś demonicznego. Cymmerianin zauważył wcześniej niezwykle rysy Zogar Saga: skośne oczy, spiczaste uszy i nienaturalnie wąskie wargi. Wszystkie te cechy w jeszcze większym stopniu uwidoczniły się u stojącego przed nim, ognistej zjawy. Jej oczy jarzyły się niesamowitym, czerwonym blaskiem — jak rozżarzone węgle.

Zauważył inne szczegóły; wąską pierś, przypominającą ludzką, lecz pokrytą węzową łuską, niekształtne ramiona i długie,

żurawie nogi zakończone trójpalczastymi, ptasimi stopami. Na monstrualnych członkach pełgały niebieskawe płomyki. Stwór wydawał się okryty nimi jak błyszczącą szatą.

Nagle znalazł się tuż przy Cymmerianinie, nie uczyniwszy żadnego ruchu. Długie ramię, zakończone ostrymi jak brzytwa, zakrzywionymi szponami, uniosło się i opadło z rozmachem. Z dzikim okrzykiem barbarzyńca otrząsnął się z odrętwienia i odskoczył, ciskając jednocześnie toporem. Z niewiarygodną szybkością demon uniknął ciosu uchylając wąską głowę i z sykiem płomieni znów runął na Conana.

Strach zawsze pomagał mu zabijać wskazane ofiary — lecz ten Cymmerianin nie lękał się.

Dobrze wiedział, że każdego nawet najstraszliwszego potwora można zabić zimnym żelazem.

Cios szponiastej łapy strącił mu hełm z głowy. Trochę niżej a zdjąłby mu ją z karku.

Jednak w tej samej chwili barbarzyńca z dziką radością zatopił miecz w pachwinie potwora.

Odskoczył, unikając ostrych szponów i wyszarpując ostrze z ciała wroga. Zakrzywione pazury przeorały mu pierś i rozdarły kolczugę jak starą szmatę, ale Conan nie zwracając na to uwagi ponownie doskoczył do przeciwnika. Zanurkował pod spadające ramiona potwora i wbił mu miecz w brzuch. Poczł straszliwą siłę demona drącego mu kolczugę na plecach, miażdżącego go w uścisku; oślepił go niebieskawy, zimny jak lód płomień; wreszcie wyrwał się ze słabnących łap i zadał potężny cios.

Demon zachwiał się i runął na ziemię z niemal całkowicie odrąbaną głową. Spowijające go płomienie buchnęły żywym, czerwonym jak krew ogniem, kryjąc potwora przed wzrokiem Cymmerianina. Wokół rozszedł się smród spalonego mięsa.

Ocierając z czoła krew i pot, Conan odwrócił się i chwiejnie pobiegł za towarzyszami. Krew sączyła mu się z licznych ran.

Gdzieś na południu dostrzegł nikłą łunę pożaru; pewnie paliło się jakieś domostwo. W oddali narastało przeciągłe wycie dzikusów, zmuszając do zwiększonego wysiłku.

..8..

KONIEC CONAJOHARY

Pod murami Velitrium i wzdłuż Rzeki Gromu toczyły się zaciekle walki; lasy rozbrzmiewały szczękiem żelaza i wrzaskami zabijanych; i wiele chat legło w zgliszczach nim odparto piktyjską nawałę.

Później zapadła dziwna cisza — jak po burzy. Ludzie zbierali się grupkami i mówili przyciszonymi głosami; w nadbrzeżnych tawernach mężczyźni o surowych spojrzeniach w milczeniu pili swoje piwo.

Do Conana z Cymmerii, ponuro pociągającego z ogromnego kufla, podszedł chudy drwal z głową owiniętą bandażem i ręką na temblaku. Był jedynym, który ocalał z załogi Fortu Tuscalan.

— Byłeś z żołnierzami na ruinach fortu? — zapytał. Conan skinął głową.

— Ja nie mogłem — mruknął pytający. — Obyło się bez walki?

— Piktowie umknęli za Czarną Rzekę — Odparł Cymmerianin.
— Coś ich musiało przestraszyć, chociaż tylko ich piekielni bogowie wiedzą co.

Drwal zerknął na swoje zabandażowane ramie i westchnął.

— Mówią, że nie znaleźliście żadnych trupów. Conan znów kiwnął głową.

— Tylko popioły. Piktowie zostawili ciała swoich i ludzi Vallanusa w forcie i podpalili go zanim wrócili za rzekę.

— Vallanus zginął jako jeden z ostatnich obrońców — rzekł drwal — w bezpośrednim starciu, kiedy Piktowie wdarli się do fortu. Próbowali wziąć go żywcem, ale zmusił ich by go zabili. Wzięli mnie do niewoli razem z ostatnimi dziewięcioma obrońcami, bo byliśmy już tak wyczerpani, że nie mogliśmy

walczyć. Innych zamordowali od razu. Wtedy umarł Zogar Sag i udało mi się uciec.

— Zogar Sag nie żyje?! — wykrzyknął Conan.

— Tak. Widziałem jak zginął. To dlatego Piktowie nie szturmowali Velitrium z takim zapałem jak Fort Tuscelan. To było bardzo dziwne. Czarownik nie odniósł w bitwie żadnej rany. Tańczył wśród trupów wymachując toporem, którym zamordował przed chwilą ostatniego z moich towarzyszy. Wyjął jak wilk podbiegł do mnie — i nagle zachwiał się, wypuścił topór i zaczął biegać w kółko, rycząc nieludzkim głosem. Upadł na ziemię koło ogniska na którym zamierzali mnie usmażyć, krztusząc się i tocząc pianę z ust. Po chwili zesztynniał i jego współplemieńcy krzyknęli, że nie żyje. Wybuchło niesamowite zamieszanie. Skorzystałem z tego, uwolniłem się z więzów i uciekłem do lasu.

— W blasku ognia bardzo dobrze widziałem jego ciało. Nikt go nawet nie dotknął, a jednak miał krwawe rany w pachwinie i brzuchu — a głowę prawie odrąbaną od tułowia. Co o tym sądzisz? Conan nic nie odpowiedział i drwał, znając powściągliwość barbarzyńców w pewnych sprawach, ciągnął dalej: — Żył z czarów i przez nie zginął. Jego tajemnicza śmierć odebrała Piktom ducha. Żaden z wojowników, którzy to widzieli, nie brał udziału w walkach nad Rzeką Gromu. Uciekli do swoich wiosek. Na Velitrium pociągnęli inni; ci którzy wyruszyli wcześniej. Jednak było ich zbyt mało by zdobyć miasto. Wiedząc, że nic mnie nie ściga, poszedłem wzdłuż drogi za głównymi siłami wroga, przekradłem się między oddziałami i dotarłem do miasta. Tobie udało się przeprowadzić osadników, a kobiety z dziećmi dotarły do Velitrium tuż przed hordami tych diabłów. Gdyby Balthusowi i staremu Siekaczowi nie udało się ich na

chwile powstrzymać, wymordowaliby nasze rodziny. Przechodziłem obok miejsca, gdzie stoczyli ostatnią walkę. Leżeli obok sterty martwych Piktów — naliczyłem siedmiu zarąbanych przez Balthusa lub rozszarpanych przez psa — a na drodze leżało jeszcze paru innych, przeszytych strzałami. Cóż to musiała być za walka!

— Balthus był prawdziwym mężczyzną — rzekł Conan. — Piję za jego pamięć i pamięć psa, który nie znał strachu.

Pociągnął tęgi łyk wina i dziwnie pogańskim gestem wylał resztę na podłogę, po czym rozbił kufel.

— Dziesięciu Piktów zapłaci życiem za jego śmierć, a siedmiu za śmierć psa, który był większym wojownikiem niż wielu ludzi.

Patrząc na ponury błysk w niebieskich oczach Cymmerianina drwał wiedział, że barbarzyńca dotrzyma przysięgi.

— Nie odbudują fortu?

— Nie. Conajohara jest stracona. Granica Aquilonii przesunęła się na południe. Rzeka Gromu będzie nową Unią graniczną.

Drwał westchnął i spojrzał na swoją spracowaną dłoń, pokrytą odciskami od styliska topora. Conan sięgnął długim ramieniem po dzban z winem. Aquilończyk spoglądał w milczeniu na Cymmerianina, porównując go z innymi ludźmi; z mężczyznami w tawernie; z innymi, którzy zginęli nad rzeką, i z dzikimi Piktami. Conan zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi.

— Barbarzyństwo to normalny stan ludzkości — rzekł wreszcie drwał, patrząc posępnie na Conana. — To cywilizacja jest czymś nienaturalnym, dziwnym zbiegiem okoliczności. Barbarzyństwo zawsze musi w końcu zatryumfować.

przełożył: Zbigniew A. Królicki